

NAJLEPSZA POLSKA FANTASTYKA SCIENCE FICTION

NUMER 10(10)2001

ISSN 1641-4292 INDEX 36360X

CENA **4.99** zł
w tym 7% VAT

ZIEMIAŃSKI ACHAJA

KOZAKOWSKI
NIE BĘDZIESZ SAM

ŚWIDZINIEWSKI
POLICZCIE
PIRAMIDY

PIEKARA
W OCZACH BOGA

ZIEMKIEWICZ
CAŁA KUPA
WIELKICH BRACI

MISZTAŁ
SEMPER FIDELIS

ŻAK
WŁADCA PIERŚCIENI
A SPRAWA POLSKA

RAGUS
MAŁE DZIEWCZYNKI
SMAKUJĄ NAJLEPIEJ

IMPORT: **PROZOROW**

SUKCES OPERACJI „GENIUSZ”

KOMIKS: GAJOWY NIKITYCZ, PRZEZNACZENIE MIECZA FUTUREAMA: INNI
PRZED PREMIERĄ: MINORITY REPORT RECENZJE: NOWOŚCI WYDAWNICZE
IMPERIAL CITY: STRONA MIŁOŚNIKÓW GWIEZDNEJ SAGI



opowiadania

Aleksander Prozorow
SUKCES OPERACJI „GENIUSZ”

Andrzej Ziemiański
ACHAJA

Jacek Piekara
W OCZACH BOGA

Rafał A. Ziemkiewicz
CAŁA KUPA WIELKICH BRACI

Eryk Ragus
MAŁE DZIEWCZYNNKI SMAKUJĄ
NAJLEPIEJ

Ewa Misztal
SEMPER FIDELIS

Wojciech Świdziniewski
POLICZCIE PIRAMIDY

Andrzej „Soulless” Kozakowski
NIE BĘDZIESZ SAM

komiks

Tomasz Samojlik
WIEDŹMUN – PRZEZNACZENIE MIECZA

Max Bogdanowski
OPOWIEŚĆ GAJOWEGO NIKITYCZA

Witajcie po raz dziesiąty i ostatni zarazem, w tym roku, rzecz jasna.

Końcówka roku to dobry moment na podsumowania. Zatem i ja zrobiłem mały rachunek sumienia, którego owocami podzielić się z teraz z Wami.

Jednym z powodów założenia „Science Fiction”, była chęć promowania polskiej fantastyki. Znałem wielu autorów osobiście, razem tworzyliśmy kiedyś grupę literacką, wydawaliśmy klubowe piśmko, które mogę to powiedzieć bez kozery, było protoplastą pisma, które trzymacie w dłoniach. „Tly” a później „No Vave”, we wczesnych latach osiemdziesiątych było jednym z niewielu miejsc, w którym pokazywały się opowiadania Andrzeja Ziemiańskiego, EuGeniusza Dębskiego, czy, rzadko ostatnio piszącego, Andrzeja Drzewińskiego. Teraz, po latach wracając na rynek z podobną formułą magazynu sprawiliśmy, zgodnie z obietnicami zresztą, że udział polskiej fantastyki w mediach wzrósł w stosunku do roku minionego, niemal dwukrotnie (jak badana zawartość cukru w cukrze:-). Tylko na łamach „Science Fiction”, pojawiło się od lutego czterdzieści pięć nazwisk, połowę z nich, a nawet więcej stanowili papierowi debiutanci (mieli już za sobą publikacje w sieci). Przeważali mężczyźni, w gronie autorów można dopatrzeć się jedynie sześciu pań, ale patrząc na zawartość katalogów z opowiadaniem czekającymi na druk, mogę powiedzieć jedno: te proporcje na pewno się zmieniają.

Zestawienie bibliograficzne z roku 2000, które na potrzeby Asocjacji Autorów wykonał Gienio Dębski obejmowało 91 tekstów, jakie ukazały się w całej polskiej prasie oraz zbiorach opowiadań. „Science Fiction” przedstawiło 79 dłuższych opowiadań oraz 22 shorty, co daje skromną liczbę 101 tekstów (nie licząc rzecz jasna Rosjan!). A pamiętajcie, że nie wystartowaliśmy na początku roku i udało nam się wydać zaledwie dziesięć numerów.

Patrząc na te wyniki mogę z czystym sumieniem powiedzieć, iż nie rzuciłem słów na wiatr i zakładany plan został osiągnięty. Teraz musimy dbać o to, by magazyn nasz stał się jeszcze bardziej atrakcyjny. I właśnie dlatego, po Nowym Roku wprowadzimy szereg ciekawych zmian. Podniesiemy cenę dwukrotnie, zmniejszając objętość o połowę... tak mówią zawistni nam osobnicy, których jak się okazuje, nie brakuje. Ale to żart, przepraszam, jeśli ktoś zakrztusił się kanapką albo zachłysnął kawą. Na razie nie planujemy większych zmian, tak w cenie, jak i objętości pisma. Wprawdzie rozważany jest pomysł wydawania co kwartał grubszego numeru, w którym pomieściłaby się 150-200 stronicowa mikropowieść - bowiem tego typu utworów zebrało się już kilkanaście, a większość jest naprawdę znakomita - oraz kilka krótszych opowiadań. W takim wypadku cena nie poszła by jednak w górę o więcej niż 1-1.20 złote. Podkreślam, jest to tylko pomysł, i nie ma on absolutnie żadnego związku z serią książkową, która zbliża się milowymi krokami. Okładkę pierwszej z książek możecie już podziwiać na ostatniej stronie tego numeru. Termin ukazania się jest już tylko zależny od podpisania umowy na dystrybucję w kioskach Ruchu. Mam nadzieję, że nastąpi to w pierwszych dniach stycznia i rozpoczniemy rok z dużym hukiem.

Kolejnym pomysłem, nad którym pracujemy, jest stworzenie działu publicystycznego. W chwili obecnej kilka znanych osób przygotowuje materiały do felietonów. Myślę, że sięgając po numer styczniowy mile się zdziwicie, widząc te nazwiska, ale sza, nie uprzedzamy wydarzeń. To już tylko miesiąc niespełna...

Poczta już wystartowała, każdy z publikowanych listów wart będzie książki jaką prześlemy jego autorowi. Wydaje mi się, że to wystarczająca zachęta, by przesłać na nasz adres ocenę pisma i zawartych w nim tekstów, zarówno pocztą elektroniczną, jak i tradycyjną. Ostatniej z przygotowywanych niespodzianek nie mogę na razie zdradzić, konkurencja czuwa, a będzie to coś, na co zapewne wiciu z Was czeka. Uzbrojcie się zatem w cierpliwość i zajmijcie się lekturą bieżącego numeru. W nim długi fragment najnowszej powieści Andrzeja Ziemiańskiego - całość utrzymana w wyjątkowej stylistyce charakterystycznej dla tego autora - powinna pojawić się w przyszłym roku w naszej serii książkowej. Prócz nowelki Andrzeja, z dużą przyjemnością prezentujemy dwa absolutnie świeże opowiadania weteranów: Rafała A. Ziemkiewicza (redaktor Rafał Aleksandrowicz powraca) oraz Jacka Piekary. Debiutantem numeru jest Eryk Ragus, ale myślę, że jego opowiadanie wcale nie okaże się najsłabszym punktem numeru, podobnie jak krótka prezentacja humoru Tomka Samojlika, który dla własnej przyjemności parodiuje przygody Wiedźmina. Z przesłanych do nas albumów wybrałem najkrótszy kawałek, pozostałe historie rozrysowane są na kilkunastu stronach i zastanawiamy się jak je zaprezentować, by nie zajęły zbyt wiele miejsca.

Na koniec zostawiłem jeden tekst, który pewnie narobi trochę zamieszania. Chodzi o felieton, a w zasadzie, opowiadanie, imitujące felieton o Tolkienie. Chcąc pomóc autorowi w tej mistyfikacji, opublikowaliśmy go na kolorowych stronach, traktując to jako doskonały żart, ale jak się nad tym zastanowić głębiej... Coraz częściej w pewnych kręgach mówi się, iż Harry Potter to powieść wręcz satanistyczna oraz spadkobierca biblii satanizmu jaką jest „Mistrz i Małgorzata”. Grzegorz Żak należy do tych ludzi, których takie gadanie denerwuje, dlatego zadał sobie trud sparafrazowania kilku takich skrajnych opinii i dopasował je do „Władcy Pierścieni”. Moim zdaniem doskonale naśladując styl kilku znanych wówczas i teraz autorów. Ciekawe czy rozpoznacie te osoby? Wskazówki są dość wyraźne...

Robert J. Szmidt

SUKCES OPERACJI „GENIUSZ”

Jodły pachniały po prostu odurzająco. Jakby ktoś, podsunął pod nos pojemnik z odświeżaczem powietrza i wypuścił za jednym razem całą jego zawartość. Z tym zapachem mieszała się woń smoły, mchu, trawy, ozonu i wielu, wielu jeszcze rzeczy, których nazw nawet nie znam. Gruba warstwa igieł pod nogami sprężynowała niczym perski dywan z wytwórni w Pskowie, a ogromne syberyjskie cedry, do objęcia których potrzebnych by było dwóch drwali, cichutko poskrzypywały poruszane podmuchami wiatru, jak stary plastik w przeciągu.

Jeśli ktoś nie wie: syberyjskie cedry to sosny o wspaniałych charakterystykach budowlanych, poza tym rodzą bardzo smaczne orzeszki.

Na dodatek nad głową niemal od razu rozbrzęczały się komary. Nie te normalne, wielkości kursora i koloru pojemnika z uranem, ale jakieś czarne, jak dekoracyjny kineskop, i brzęczące niczym niesterowany moduł lądujący. A poza tym potwory te miały klujki wielkie jak igła strzykawki i stale usiłowały te igły wykorzystać.

Wszystkiemu jest winien Anton, zaraza. „Nie możemy zastosować żadnej dezynsekcji, żadnych fitoncydów! Jeśli wszystkie komary i muchy będą od ciebie uciekały, to tubylcy zaczną coś podejrzewać”. Niechby teraz tu siedział, walił się własnoręcznie po głbie... To znaczy - z powodu komarów:

- Wszystko w porządku, Arkady - szepnął głos w moim uchu. - Przerzut odbył się bez zakłóceń, dokoła spokój, do wsi masz jakieś dwa kilometry.

- Nie mogłeś bliżej mnie wyrzucić, bydlaku? - ryknąłem, zabijając jednocześnie dwa komary pompujące krew z mojego nosa.

Jeśli ktoś nie wie: bydlaki to niewykształcone warstwy społeczeństwa.

- Nie można było bliżej - Anton nie zwrócił uwagi na moje wyrzuty. - We wsi mogliby zauważyć błysk.

- Szkoda, żeś się sam tu nie przerzucił. - Dźwięcznie plasnąłem się w policzek i przyspieszyłem. Może pęd powietrza je zmiecie?

- Ciągnij trochę w lewo - poradził mi Anton - bo spudłujesz. Dobrze mu tam - siedzi sobie w laboratorium przed monitorem i radami sobie rzuca. Kierownik, szlag by...

Jeśli ktoś nie wie: szlag by trafił - eufemizm wyrażenia... Krótko mówiąc - eufemizm.

Muszę przyznać, że operację „Geniusz” rozpracowywaliśmy razem. Jeśli mam być szczery, to ja natrafiłem na pomysł w jednej ze starych powieści. Chodzi o to, żeby wyciągać z przeszłości geniuszy, którym los nie dał szansy. Ludzkość przecież od wieków odczuwa brak talentów. Weźmy, na przykład,

naszego naczelnego inżyniera: czy utrzymałby się na swoim stołku, gdyby normalni, mądry ludzie nie byli zajęci ważnymi sprawami? Tak więc - planowaliśmy z Antonem - pozbieramy sensownych ludzi z minionych wieków i może znajdzie się wreszcie na każde stanowisko odpowiednia osoba. A nasz inżynier pójdzie zamiatać ulice, zamiast robota. Zresztą, w tej chwili też można by było zamienić ich miejscami, nikt by nie zauważył różnicy. Chyba że będzie gorzej pozamiatane.

W sumie - pomysł był ciekawy. A na dodatek natknąłem się jeszcze na artykuł o wiejskim „samorodku”. W jakiejś głuchej części tajgi, we wsi noszącej nazwę Tiumonia, ośmioletnia dziewczynka Oksana sama nauczyła się rozwiązywać równania drugiego stopnia. Jeśli przypomnimy sobie, że w tych czasach dzieci zaczynały czytać w siódmym roku życia, to dziewczynka wydała się nam nader obiecującym obiektem. Okazało się, że miała ściany wychodka wyklejone stronami z podręcznika algebry, więc się „naczytała”.

Rosyjski wiejski wychodek to rzecz unikatowa. Po pierwsze, zawsze miał dwie kondygnacje, to nie był mały domek nad dziurą, jak przyjęto go przedstawiać; poza tym zawsze był ocieplony - w końcu w domu się znajdował, a nie na ulicy. Najciekawsza była metoda odwiedzania: po pobycie w nim wieśniak ciskał w dół siano albo świeżą trawę. Dzięki temu w domu nie czuło się specyficznego zapachu, a przy tym znacznie przyspieszał się proces fermentacji. Zewnętrzna ścianka pierwszego poziomu przybytku zazwyczaj otwierana była na zewnątrz, i gospodarz domu miał możliwość, w miarę zapełniania się przestrzeni użytkowej, opróżniania jej i wykorzystywania jako bazy dla nawozu naturalnego. Z tego klasycznego rosyjskiego wychodka dwaj nasi praktykanci dyplomy zrobili; żona Antona, choć specjalizująca się w ginekologii, napisała i obroniła doktorat, zaś Amerykanie, którzy najpierw się przykleili do naszego projektu „Geniusz”, wycwanili się i dwa patenty zgłosili, i teraz chcą po jednym cencie z każdej chałupy capnąć. Z tego powodu żeśmy się z nimi poprzytykali.

Co prawda, zanim powiedzieliśmy sobie „good bye”, dowiedzieliśmy się, że jankesi w tym rejonie wyrzucili oddział komandosów, no a reszta to sprawa techniki: Anton wygrzebał w archiwach informację o tym, że onego roku radziecka rakietą straciła szpiegowski samolot, i „nasi” usiłowali z niego wyjąć blok pamięci. Potem stało się coś, co do tej pory jest utajnione, a może i archiwa poginęły, diabli wiedzą, bo potem już ani o dziewczynce-matematycznym geniuszu, ani o kapitanie Pachomowie nigdzie nic nie mogliśmy znaleźć.

A szukaliśmy uczciwie. Anton znalazł list akademika Abałkina, w którym ten wyrażał żal z powodu braku kontaktu z niejaką Oksaną Prudnikową, a ja pojechałem do Pieczorskiego Archiwum Wojskowego. Zaprowadzili mnie tam do ciemnego zimnego bunkra, pokazali stertę papierowych teczek, wyższą ode mnie, i powiedzieli, że to, co mnie interesuje, gdzieś tu jest. Kajam się - splunąłem i nawet nie próbowałem szukać.

Zresztą, dostaliśmy polecenie „wykonać” na bazie tego, co już mieliśmy, i od tego momentu Anton zaczął z dumą nosić identyfikator z napisem: „Kierownik laboratorium”, a ja-^ "Pilot projektu «Geniusz»". Anton, jako kierownik, zaczął skanować płaszczyznę czasową, a ja przygotowywałem się do przerzutu. Nie wiem tylko, po co Anton wziął sobie dwóch praktykantów? Na monitor nie może sam patrzeć, czy jak? A na dodatek jego żona cały czas się tu kręci. Ginekolog, nawiasem mówiąc, a doktorat obroniła z klasycznego rosyjskiego wychodka.

- Arkady, celuj bardziej w prawo - rozległ się znowu szept w moim uchu.

- Przecież mówiłeś, że w lewo? - zdziwiłem się, ścierając z twarzy burą powłokę z komarów.

- Nie masz, Arkasza, żadnego wyczucia kierunku - protekcyjnie oświadczył Anton. - Nic dziwnego, że zabłądziłeś.

Mądrała. Po tajdze ganiać to nie to samo, co na monitorze trasę kontrolować. Niechby sam naciągnął na siebie robocze ubranie i gumki, i przyleciał tu. Popatrzyłbym wtedy na to jego „prawo-lewo”.

Jeśli ktoś nie wie: ubranie robocze jest koloru niebieskiego albo zielonego, albo szarego, z grubej tkaniny, wkładane na stanowiskach roboczych czy w wolnym czasie, gdy zachodzi niebezpieczeństwo zabrudzenia się lub uszkodzenia powłoki skóry. Jeśli ubranie miało kolor błękitny, to nazywało się „jeansy” i wykorzystywane było jako strój wyjściowy lub reprezentacyjny. Gumki - wysokie buty z połączonych warstw gumy i tkaniny.

- Już jesteś blisko - pośpiesznie rzucił Anton. - Zostało ci ze dwieście metrów. Podsumujmy, znajdujesz Oksanę Prudnikową, nakładasz jej na rękę retonoblizer, jutro razem idziecie do miasta, po drodze na wasz tabor napadają amerykańscy komandosi, i w tym zamieszaniu wyciągamy was. Jasne?

- Powtarzaliśmy to dziesięć razy! - Cholera mnie wzięła: - Ile razy jeszcze będziesz truł?

- Uważaj, nie pokręć! - plótł dalej Anton, nie zwracając uwagi na moje słowa. - Kiedy zaczną wybuchać błyskoszumowe granaty z gazem łzawiącym, to będzie znaczyło, że zostaliście napadnięci!

- Wiem, nie jestem durniem.

- I ostatnia rzecz - mamrotał niezrażony Anton. - Nie zapomnij: nazywasz się Pachomow, Siemion Siergiejewicz, kierownik wydziału w przedsiębiorstwie numer trzysta siedemnaście. Poszedłeś do lasu dwudziestego piątego lipca i zabłądziłeś. Znalazłem wczoraj w archiwum protokół o rozpoczęciu

poszukiwań tego Pachomowa, tak więc, jakby co - sprawa czysta, nie przyczepią się.

- A jak sprawdzą? Może już wrócił?

- Jak sprawdzą? Tam nie tylko światłowodów nie ma, tam nie ma prądu! Mogą się dowiedzieć tylko w mieście, a tam już nie dotrą.

- A jak...

- Uwaga, zaczynamy!

W tym momencie, wyszarpnąwszy się z objęć jakiegoś krzewu, dosłownie wypadłem na wąską ścieżkę, zatrzymałem się z ulgą i zacząłem otrząsać z siebie liście i szpilki. Ubranie pokryte było niezliczoną ilością smolistych plam, do każdej fałdki i do wszystkich kieszeni nasypało się szpilek, a na dodatek po tkaninie pełzały jakieś żuczki i pajęczki. Dobrze przynajmniej, że nie musiałem się obawiać konsekwencji ukąszeń: przed przerzutem wpompowali we mnie trzy megaszczepionki, po każdej tydzień musiałem leżeć w łóżku. Potem Stiopa, nasz biotechnik, powiedział, że można było zrobić jedną, bezbolesną, ale okres aktywności ma o półtora roku krótszy. Dodałem mu za to środka przeczyszczającego do pomarańczowego soku, mądrała się znalazł. Niech sobie posiedzi, pomyśli.

Nie było sensu tu tkwić, dlatego, oczyściwszy wnętrze butów, poderwałem się, odpędziłem stado komarów i ruszyłem dalej, ale nie minęło dziesięć sekund, jak usłyszałem surowy głos:

- Stój, kto idzie!?

- Pachomow, Siemion Siergiejewicz - zameldowałem dokładnie i wyraźnie. - Kierownik działu zakładu produkcyjnego numer trzysta siedemnaście. Dwudziestego piątego lipca poszedłem na grzyby i zabłądziłem.

- Idiota... - rozległ się w uchu jęk.

- Sam idiota! - odgryzłem się.

- Kto idiota?! - zdziwił się surowy głos.

- Sam idiota jestem - powtórzyłem. - Mam na myśli siebie. Poszedłem na grzyby i zabłądziłem.

- Czy ty aby, wujku, nie sfiksowałeś? - zapytał głos.

- Tak - zgodziłem się szybko. - Dwa tygodnie w lesie siedzę, zmęczony jestem, zdenerwowany.

- Coś za bardzo rumiany jesteś i dobrze odżywiony, jak na dwa tygodnie w lesie - rzucił powątpiewająco głos.

- Odżywiałem się surowymi grzybami i jagodami - podałem przygotowaną wcześniej wersję. - Piłem wodę z czystych źródłanych strumyków.

Odpowiedziało mi długie milczenie. Potem surowy głos zapytał:

- Dokumenty są?

- Skąd niby?! - zdziwiłem się. - Kto bierze ze sobą do lasu dowód osobisty?

Jeśli ktoś nie wie: dowód osobisty to coś jak numer identyfikacyjny, tyle że na papierze. W Muzeum Rosyjskim są takie eksponaty, trzy różne typy.

- Odwróć się plecami i podnieś ręce - zażądał głos. Usłyszałem. Po chwili usłyszałem ostrożne kroki. Po kilku

sekundach poczułem na karku ciężki gorący oddech, moje ciało zaczęły oklepywać pachnące dymem dłonie.

- Dobra, niech będzie.

Opuściłem ręce i obejrzałem się: surowy głos należał do chudego chłopaka, jakieś piętnaście lat na oko. Miał na sobie jasnozielony strój, z niebieskimi paskami na ramionach, na szyi wisiał automat.

Jeśli ktoś nie wie: automat - rodzaj broni, coś jak blaster, ale nie ma samonaprowadzania i strzela małymi metalowymi kapsułami. W muzeum artylerii pozwolili mi „walać” z takiego - do tej pory ramię mnie boli.

- Idziemy - powiedział chłopiec i wskazał ścieżkę.

- Idziemy - zgodziłem się i sprecyzowałem na wszelki wypadek: - A do wojska nie biorą aby od osiemnastego roku życia?

- Du ist szpik inglisz?! - niespodziewanie ryknął chłopak.

- Co-o? - nie zrozumiałem go.

- Nic - surowo rzucił chłopiec. - Sprawdzam cię. Zadajesz dziwne pytania.

- A o co zapytałeś?

- Pytałem, czy mówisz po angielsku.

- Aa... - zacząłem, ale w tym momencie w uchu rozległ się wściekły szepot Antona:

- Milcz, idioto!!!

- Sam idiota! - odgryzłem się.

- Co powiedziałeś? - nastroszył się chłopak.

- Powiedziałem, że idiota - opanowałem się. - Poszedłem na grzyby i zabłądziłem. - I dodałem na wszelki wypadek: - Pachomow, Siemion Siergiejewicz, kierownik działu zakładu produkcyjnego numer trzysta siedemnaście. Dwudziestego piątego lipca poszedłem na grzyby i zabłądziłem.

- Tak - skinął głową chłopak i poklepał się po kieszeniach. - Masz co palić?

- A co to takiego?

- Tfu! - splunął chłopak. - Przecież cię przeszukiwałem! Przez tę rozmowę i ja zaraz sfiksuję. Idziemy, co tak stoisz!

Wieś Tiumonia składała się z pięciu dość daleko od siebie położonych chat.

Jeśli ktoś nie wie: rosyjska chata to wysoka, prostokątna, drewniana budowla, bardzo podobna do standardowego modułu na rodzinny sterowiec, ma jakieś osiem metrów szerokości, pięć wysokości i około trzydziestu długości. W późnych informatycznych źródłach przyjęto chatę przedstawiać jako coś małego, o powierzchni trzydziestu-czterdziestu metrów, ale takie małe chaty pojawiły się dopiero w drugiej połowie dwudziestego wieku i były wykorzystywane przede wszystkim przez ludzi z miast jako czasowe schronienie na czas wypoczynku; powinno się je rozpatrywać raczej jako stacjonarne namioty, a nie jako domy.

Każdą z chat otaczał duży ogród, niewysokie krzewy jagodowe i rzadko rosnące, ale ogromne jabłonie. Żadnych płotów, siatek i opłotków nie

widziałem, chociaż ich istnienie było dobrze potwierdzone dokumentami z piątego-szóstego wieku. Coś tam się mówiło o trzech żerdziach, czy o wysokości... Nie pamiętam. Zresztą, na to odludzie może jeszcze te przepisy nie dotarły.

- Oto, towarzyszu kapitanie, zatrzymałem przestępcę. - Chłopiec niedbale machnął dłonią obok skroni. - Szedł w stronę wsi.

- Dobra, Stiopa. Jesteś wolny.

- Yhy - skinął głową chłopak i oddalił się.

- Nie „yhy”, a „tak jest”! - krzyknął za nim kapitan i wstał z ganku.

Dowódca różnił się od chłopaka wiekiem, bardziej sztywnym i ciemniejszym ubraniem i mnóstwem małych gwiazdek na ramionach. Na okrągłej rumianej twarzy ciemniały gęste wąsy, a bujne ciemne loki dziwnie otaczały dużą łysinę. Trzymanym w ręku niewielkim żelaznym nożykiem wycinał coś z wierzbowej gałązki. - Kim jesteś, skąd się tu wzięłeś? - zapytał, nie patrząc na mnie.

- Pachomow, Siemion Siergiejewicz - powiedziałem po raz trzeci. - Kierownik działu zakładu produkcyjnego trzysta siedemnaście. Dwudziestego piątego lipca poszedłem na grzyby i zabłądziłem.

- No i ile czasu tam „błądziłeś”?

- Dwa tygodnie.

- Zmęczony pewnie jesteś, głodny?..

- Bardzo zmęczony - przytaknąłem. - I głodny.

- Ale wyglądasz - pierwszy raz popatrzył na mnie kapitan - jakbyś z wczasów przyjechał.

- Przecież mamy sierpień - powiedziałem. - W lesie dojrzały jagody, grzyby. A większość tych gatunków roślinności nadaje się do konsumpcji w stanie surowym. Na dodatek nie nadeszły jeszcze mrozy, a opadów ostatnio nie było.

- A masz lusterko, gościu z lasu? - uśmiechnął się kapitan.

- Nie - wzruszyłem ramionami. - A bo co?

- A to - kapitan wstał - że gdybyś się żywił jagodami, to miałbyś usta czarne, jak topielec.

- A ja jadłem grzyby. Tylko prawdziwki. Jest ich tam tyle, co gwiazd w galaktyce.

- Powiedz mi jeszcze, że popijałeś je wodą ze strumyków - uśmiechnął się jeszcze szerzej kapitan i zaczął obmacywać kołnierz mojego ubrania. - Nie kryjesz tu ampułki?

- Jakiej ampułki?

- Zwyczajnej. Z cyjankiem potasu.

- Ale co pan?! - wzdrygnąłem się. - Przecież to straszna trucizna! Nie wolno jej pod żadnym pozorem nosić w ubraniu!

W tym momencie kapitan cofnął się o krok i popatrzył na mnie z ogromnym zainteresowaniem, po czym zapytał:

- Nie chodziłeś do kina? Książek o szpiegach nie czytałeś?

- Jak to - nie czytałem? I widziałem ich mnóstwo razy. W skafandrach...

- To nie ci!!! - zaryczał szeptem Anton w moim uchu. - On ma na myśli ziemskich, dwunożnych...

- Aaa... - dotarło do mnie. - Macie dwunożnych szpiegów?

- Ty, chłopie, aby nie nażarłeś się muchomorów zamiast prawdziwków? - Kapitan w zamyśleniu skubnął się w ucho.

- Nie, nie jadłem, nie wolno ich jeść - ostrzegłem go. - Zawierają dużą ilość amanityny i falloidyny. Są niebezpieczne nawet po długotrwałej obróbce termicznej.

Teraz kapitan zamilkł na długo. Potem zadał mi podchwytliwe pytanie: ?

- Jak się nazywa główna ulica w naszym mieście?

- Nijak - wzruszyłem ramionami. - Nie ma innej ulicy. Od stacji - do fabryki.

- A gdzie mieszkasz?

- W hotelu robotniczym.

Jeśli ktoś nie wie: hotel robotniczy - tani hotel samoobsługowy.

- A gdzie stoi pomnik Lenina?

- Przed przychodnią!

- A czapkę ma w ręku czy na głowie?

- Czapkę... - podrapałem się po głowie. Standardowe rozplanowanie takich osad poznałem dość dobrze, ale czapek mapy nie ujmowały...

- Aha! - złowieszczym basem przeciągnął kapitan. - Nie wiesz.

- A bo i nie patrzyłem nigdy na niego! - spróbowałem się jakoś bronić. - Po dziesięć takich stoi w każdej wsi!

- A jak się nazywa wasz dyrektor?

Nie wiem ile czasu jeszcze trwałoby to przesłuchanie, ale nagle drzwi chaty otworzyły się i na ganek wyskoczyła dziewczynka w krótkiej białej sukience, z dwoma warkoczami w kolorze suchej słomy:

- Wujku Kola, babcia woła jeść!

- Dziękuję, Oksano. Zaraz przyjdę.

- Oksana? - zdziwiłem się. - Nie Prudnikowa przypadkiem?

- Prudnikowa - skinęła głową zdziwiona dziewczynka. - A skąd pan mnie zarta?

- Przecież o tobie był artykuł w powiatowej gazecie! „Matematyczny geniusz” się nazywał!

- Naprawdę? - szczerze zdziwiła się Oksana. - Nawet nie wiedziałam! Pokaże mi go pan?

- Niestety - wzruszyłem ramionami. - Nie zabieram gazet na grzyby. Mam ją w mieście...

- A my przecież jutro do miasta jedziemy! - Ucieszona dziewczynka plasnęła w dłonie. - Słowo pioniera.

- No to spróbuj rozwiązać tę łamigłówkę. - Zdjąłem z nadgarstka retonoblizer i nałożyłem jej na przegub. - Tu jest taki sprytny zameczek. Jak ci się uda otworzyć przed miastem - podaruję ci ją na zawsze.

- Naprawdę? Hurra! - Podniosła rękę do oczu i zaczęła uważnie wpatrywać się w urządzenie.

Retonoblizer zbudowany jest na siedmiowarstwowych czipach i zalany korundem. Na pierwszy rzut oka przypomina bransoletę wysadzaną półszlachetnymi kamieniami i - jak na mój gust - jest dość ładny. Wstawiono węł gładkokontaktowy zamek, po włączeniu można go już potem tylko rozpiłować.

- Pewnie sporo kosztuje taką zabaweczkę? - zainteresował się kapitan i wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć bransoletę.

- A, nawet nie wiem - wzruszyłem ramionami. - To nasze zakładowe złote rączki z odpadów toczą.

Jeśli ktoś nie wie: zakłady przemysłowe, które nie miały nazwy, a tylko numer - to były syntezatory narzędziowe, które wykonywały niebezpieczne dla życia i zdrowia zamówienia, dlatego pytanie o nie w dwudziestym wieku uważano za łamanie prawa.

Kapitan przemilczał moją odpowiedź, wydał z siebie tylko takie: „hm-hmy?”, a potem wskazał mi głową drzwi:

- Chodźmy, skosztujesz świeżej rybnej zupy. Wyciągnąłem z rana takie trzy bolenie, że hej! - Odmierzył na rękę mniej więcej pół metra. - Ucha mi wyszła naprawdę znakomita... Jeśli rzeczywiście jesteś szpiegiem, to będziesz miał co w kryminale wspominać.

- Kto szpieg? - spróbowałem skonkretyzować jego słowa.

- Potem się dowiesz - obiecał kapitan i pierwszy wszedł do

Jeśli ktoś nie wie: sień w rosyjskiej chacie to coś jak termiczna śluza, zazwyczaj oddziela pomieszczenia mieszkalne od ulicy i podwórca.

Stół w jadalni przykryty był białym obrusem, stały na nim głębokie talerze, kilka mętnych szlifowanych szklanek, zielona butelka, leżało kilka łyżek z surowego drewna. Stół otaczały dość toporne taborety z heblowanych desek.

- Jak sądzisz, dziadku, warto karmić amerykańskiego szpiega rosyjską zupą rybną?

- A czemu mielibyśmy nie dać człowiekowi zjeść po tak długiej drodze? - wzruszył ramionami niewysoki staruszek w zielonej koszuli w kratę, z krótką jasną bródką i opaloną, pokrytą drobnymi zmarszczkami twarzą. - Niech wie, jak normalni ludzie sobie żyją.

- Nie jestem szpiegiem - uprzedziłem ich. - Szpiegdy w ziemskiej atmosferze bez skafandrów wytrzymują co najwyżej dziesięć minut. A siedmionodzy - góra trzy minuty.

- Ale zasuwa! - nie wiadomo dlaczego ucieszył się kapitan. - Warto za takie gadanie wypić.

- Warto, pewnie, że tak - zgodził się staruszek. - Po małuchu jabłkowego możemy...

- Jakiego tam jabłkowego?! - zjadliwym tonem zapytała siwiutka staruszka, która akurat wpłynęła do izby z saganikiem w ręku. - Przecież pędzisz go ze zgniłych kartofli! Specjalnie żeby zgniły, zaraza jedna, mokre zadołował!

Jeśli ktoś nie wie: saganek to garnek z żeliwa w kształcie cebuli.

- To inny - usiłował usprawiedliwić się staruszek. - A ten jest naprawdę z jabłek.

- Nie lżyj. - Babunia odstawiła saganek na deseczkę na środku stołu. - Jabłka w zeszłym roku nie obrodziły.

- A milcz-no trochę! Żebyś się jabłkiem zadławiła! - rozeźlił się dziadek. - Przez cały czas chce mi apetyt zepsuć.

Zdecydowanym gestem chwycił butelkę, szybko rozlał do szklanek nieco mętnawą, podobną do chlorowanej wody wodociągowej, ciecz.

- Spróbujcie sami! Czy to może być kartoflany?

Po czym zdecydowanie i on, i kapitan, wypili. Ja też podniosłem szklankę z dziwnie pachnącym napojem do warg i zacząłem go pić, starając się robić to tak samo sprawnie jak gospodarze. Przez kilka łyków wszystko było w porządku, a potem poczułem, że z moim gardłem dzieje się coś strasznego -jakby mi je ktoś podpalił, jak lutlampę, i zaraz miałem zacząć dyszeć ogniem. Potem zrozumiałem, skąd się wzięło to uczucie, choć może było już za późno - dopiłem szklankę do końca, zanim jeszcze pojąłem, że nie należało tego robić.

- No i jak - zapytał dziadek, wzdrygnąwszy się lekko. - Kartoflany?

Nie odpowiedziałem, bo nie mogłem, tylko z oczu popłynęły mi dwie lodowate łzy.

- Ten-tego... - zakrzętnął się dziadek. - Zakąszaj. Dawaj, uchy skosztuj.

Przysunąłem do siebie talerz, chwyciłem łyżkę i zacząłem szybko zalewać zupą usta, usiłując ugasić szalejący w nich pożar.

- Jabłkowy, jabłkowy, dziadku - z przekonaniem oświadczył kapitan. - Jeszcze po jednym?

- Obowiązkowo - skinął głową dziadek i odwrócił się do staruszki. - Strzelisz sobie, żonuś?

- Trzeba będzie - ciężko westchnęła zapytana. - Bo przecież sami to się do końca spijecie, kochani moi.

Oni wypili po szklance, a ja w tym czasie wychleptałem zawartość talerza i gorączkowo obmacywałem stół, żeby jeszcze coś zamówić, ale nie mogłem znaleźć ani jednego sensora.

- No i coś ty, zarazo jedna, najlepszego zrobił? - staruszka, widząc moje wysiłki, plasnęła w dłonie; sama ani drgnęła po wypiciu szklancy. - Człowiek z miasta, miękki jest, a ty go tą swoją berbeluchą trujesz. Żal ci żurawinówki, czy co? Poczekaj, kochaneczku, zaraz ci przyniosę kapustki kwaszonej.

Wyszła i po chwili wróciła z miską jasnożółtej kaszy i małym dzbankiem; nalała mi z niego ciemnoczerwonego napoju.

- Tym, kochaniutki, sobie popij.

Zapiłem i zrozumiałem, że i to było błędem. Jednakże myśli moje płynęły już gęsto i wolno, dlatego wcale się nie zaniepokoiłem, a bardzo mądrze przypomniałem sobie, że muszę sprawdzić, czy dokonałem właściwego wyboru.

- Gdzie tu jest wychodek? - zapytał rzeczowo i wstałem od stołu. - Ten z podręcznikami... Muszę fakty

wtórne sprawdzić i... wracam. Wy tu na razie, nie utylizujcie... tego... ja migiem...

- Ach, dziadu, dziadu - powiedziała i pokiwała głową z wyrzutem staruszka.

- To nie to - pokojowo wtrącił się kapitan. - On dwa tygodnie szlajał się po lesie, zmęczony, to i go zmorzyło.

- A kibelek na podwórku - dodał dziadek. - Zaraz przy sieni.

Jeśli ktoś nie wie: podwórzec - to część chaty z ziemną podłogą, zazwyczaj dzielony na poszczególne sekcje, wykorzystywane do hodowli bydła, przechowywania gospodarczego inwentarza i drew. Część podwórca między dachem i mieszkalną sekcją chaty wiejscy mieszkańcy wypełniali sianem i często wykorzystywali jako miejsce dokonywania chromosomowo-genetycznych transplantacji. Wygląda, że ważną rolę spełniał tu aromat polnych traw i ziół, który prócz tego był aktywnie anty-bakteryjny i tworzył stały mikroklimat, w którym warunki sprzyjające przebiegowi procesu były o wiele lepsze niż mieszkalne sekcje w chacie.

Wiejski wychodek był małym pokoikiem, mniej więcej zero siedem metra kwadratowego, z drewnianym parapetem naprzeciwko drzwi. Na środku parapetu wykonano wąskie wycięcie. Spuściłem spodnie, odwróciłem się, usiadłem i rozejrzałem się. Na ścianach dokoła bieleło mnóstwo papierowych kartek, pokrytych drobnym drukiem i wyraźnymi rysunkami.

- Świetnie! - ucieszył się w moim uchu Anton. - Zgadłeś!

- A co myślałeś?! - odpowiedziałem z dumą, czując rodzącą się w duszy urazę. - No nie, dlaczego świat jest tak urządzony, co? Oto, na przykład, to, co pode mną. Dlaczego jedni z tego tematu robią dyplomy, inni zarabiają dolary, twoja żona, chociaż jest ginekologiem, habilitację zaliczyła, a ja mam tylko siedzieć z gołym tyłkiem w przeciagu i obsrywać cudze prace naukowe? Gdzie tu sprawiedliwość?

- Sprawiedliwość polega na tym - radośnie odparował Anton - że ty w komputerze nie posunąłeś się poza blok gier, a moja żona, chociaż jest ginekologiem, w blokach pamięci stale grzebie.

- W czym grzebie? - Nie dosłyszałem ostatnich słów, ale w tej samej chwili pokoiak tak się kiwnął, że zwałem się na bok, głową huknąwszy w ścianę. Usiłowałem wstać, ale pokoiak natychmiast wahał się w przeciwnym kierunku.

- Trzęsienie ziemi! - wrzasnąłem. - Uciekać na ulicę! Wskoczyłem do sieni, udało mi się dobiec niemal do drzwi,

ale dom kiwnął się ponownie i wykonałem na podłodze koziołka. Wszystkie myśli wymieszały mi się kompletnie. Dość długo leżałem na podłodze, dochodząc do siebie, dopiero po chwili podjąłem wysiłek i wstałem.

Kapitan, dziadek i staruszka stali o dwa kroki ode mnie i w zamyśleniu patrzyli, jak posuwam się wzdłuż ściany.

- Trzęsienie ziemi - uprzedziłem ich. - Szybciej, uciekajcie na ulicę.

Jednakże zamiast ratowania własnej skóry staruszka odwróciła się do dziadka i dźwięcznie go spoliczkowała. Potem zdecydowanie chwyciła mnie za ramiona i przeciągnęła do czystego, pachnącego mentolem pokoju z dużym niklowanym łóżkiem pod ścianą, zręcznie mnie rozebrała i ułożyła w pościeli.

- Śpij.

- Przecież trzęsienie ziemi... - powtórzyłem niepewnie.

- Nic to, dom jest mocny, wytrzyma - pocieszyła mnie staruszka. - A przed świtem się skończy.

Rozumiałem, że po prostu mnie pociesza, że wszyscy możemy w każdej chwili zginąć, ale byłem tak zmęczony, że i tak nie mogłem wstać, zamknąłem więc po prostu oczy, odwróciłem się na brzuch i mocno wczepiłem w łóżko.

Słońce uderzyło w zamknięte powieki i odpędziło resztki snu.

- Obniżyć jasność - poleciłem, ale nic się nie zmieniło. - Obniżyć jasność! - powtórzyłem głośniejszym głosem, i ponownie - nic się nie stało.

- Obniżyć jasność! - krzyknąłem, otwierając oczy i podnosząc głowę. Oślepiałem, widząc niemal nad samą głową małe kwadratowe okienko z białymi haftowanymi firankami.

- Już się oczmychałeś? - Przez szparę w drzwiach wsunął głowę wczorajszy kapitan, ubrany tym razem w białą koszulę bez kołnierzyka. - Widzicie go: trzęsienie ziemi! Wstawaj, zjemy śniadanie i za godzinę ruszamy.

Musiałem wstać i wciągnąć na siebie zniechęcone wczorajszego dnia robocze ubranie.

- Już wiemy, co się z tobą wczoraj stało - gorączkowo zaczął szeptać mi w ucho Anton. - To było zatrucie alkoholowe. Głowa cię nie boli?

- Odczep się - warknąłem, z trudnością poruszając suchym i gorącym językiem.

- Żona mówi, że to normalne zjawisko.

- Specjalistka od ginekologii? Ta, co to habilitację z kibli zrobiła? Niech komu innemu opowiada o zatruciu alkoholowym.

Jeśli ktoś nie wie: zatrucie alkoholowe to zatrucie alkoholem. W sieni spotkałem staruszkę.

- Masz, kochaneczku, poczujesz się lepiej - podała mi spoconą szklaną bańkę z brązowym roztworem, w którym wyraźnie pływały jakieś strzępy w białym, żółtym i czerwonym kolorze. Normalnie to nie wziąłbym czegoś takiego do ręki, ale w tej chwili tak chciałem zwilżyć gardło czymś zimnym, że machnąłem na wszystko ręką, chwyciłem słoik i podniosłem do ust. Roztwór był przyjemny w smaku, nieco przesolony, wyraźnie czuło się w nim kwas askorbinowy.

- Smaczne - powiedziałem. - Odświeżające. Jak to się robi?

- Normalnie - wzruszyła ramionami gospodyni. - Marcheweczka, trochę chrzanu, odrobina cukru. Najważniejsze, to kapustę w odpowiedniej chwili ścąć, nie przegapić, żeby była zwarta i twarda.

- Aha - skinąłem głową, nic nie rozumiejąc. - Koniecznie muszę zrobić.

- Ja ci, kochaneczku, przepis napiszę, jak przyjdziemy do miasta.

- Poproś teraz - szepnął Anton. - Spróbujemy odtworzyć to w laboratorium.

- A pani też do miasta leci? - zdziwiłem się, pokazując Antonowi figę w kieszeni.

- A jakże inaczej? - z dumą kiwnęła głową staruszka. - Wszak wnuczkę do szkoły odprowadzamy. Idź, synku, do stołu, tam kartofelki już gotowe.

- Już - zgodziłem się. - Tylko się odświeżę po śnie.

Ku mojemu zdumieniu, jedynym środkiem transportu, jaki mógł przemieścić nas do miasta, była furmanka. Zbudowana z dość topornie ociosanych grubych żerdzi, szczodrze wymoszczona sianem, z drewnianymi kołami i prawdziwym koniem między długimi dyszlami.

Jeśli ktoś nie wie: dyszle również wykonuje się z żerdzi.

- Siergiejew i Farkten - do przodu. Tołuszkina i Czajkina - za nami! - zdecydowanie polecił kapitan.

Młodzieńcy, w tym samym wieku jak ten, który mnie spotkał wczoraj na ścieżce, skinęli głowami i rozeszli się. Kapitan uważnie rozejrzał się dookoła i wskoczył na furmankę, obok staruszki.

- Jedziemy!

Dziadek cmoknął i potrząsnął długimi brązowymi lejcami. Furmanka, skrzypiąc, wolno ruszyła do przodu.

- Jak przyjedziemy na miejsce, przypomnij mi, żebym ci dał smaru - skrzywił się kapitan. - Nie znudziło ci się jeszcze to skrzypienie?

- A, co tam - machnął ręką dziadek. - Za jakieś pięć godzin przyzwyczaisz się i przestaniesz zauważać.

- Leniwy ci jest, ten pasożyt! - pogardliwie prychnęła staruszka. - Od kilku lat nie może się zebrać by to nasmarować. - Odwróciła się do wysokiej młodej kobiety z drugimi jasnymi włosami. - Wsiadaj, Siergiejewna, nóg na loterii nie wygrałaś.

- Na razie, Zinaido Nikitiszyna, przejdę się trochę - odpowiedziała i popatrzyła na Oksankę. - Może ty chcesz wsiąść?

Ale dziewczynkę pochłonęła całkowicie moja bransoletka. Kręciła nią tak i siak, wysuwając w zdenerwowaniu język. Trącała coś paznokciem, pocierała palcami, patrzyła pod światło.

- Nie potknij się - poradziłem.

Oksanka pociągnęła nosem, zerknęła na mnie i wróciła do rozwiązywania łamigłówek.

- Aleś jej zagadkę zadał, synku - pokręciła głową staruszka. - Nie spała całą noc! Może podpowiesz jej, gdzie tkwi haczyk?

- Nie - burknęła dziewczynka. - Ja sama.
- A pan jest ojcem? - zapytała kobieta.
- Nie - odpowiedziałem. - Nie mam dzieci, żony też.

Jestem Pachomow, Siemion Siergiejewicz, kierownik wydziału zakładu produkcyjnego trzysta siedemnaście. Dwudziestego piątego lipca poszedłem na grzyby i zabłądziłem.

- Jak to? - zdziwiła się kobieta.
- Nie wiem - wzruszyłem ramionami. - Jakoś tak samo wyszło. A pani kim jest?

- Och, przepraszam. Tatiana Siergiejewna Załumina. Jestem nauczycielką w miejscowym kołchozie. Wiozę dziś Oksankę do Moskwy, do akademika Abałkina.

- Do tego Abałkina? - odegrałem zachwyty. - To wspaniale!

- Tak - skinęła głową nauczycielka. - Nie byłam nigdy w Moskwie! A pan?

- Ja mam tam flanowy stopler - pochwaliłem się. - Co prawda - tylko na glicynym bazironie.

- Co ty pleciesz! - eksplodował w moim uchu głos Antona. - Jaki baziron? Jaki stopler?! Dookoła ciebie dwudziesty wiek!

- Przepraszam, nie dosłyszałam? - pokręciła głową Tatiana Siergiejewna.

- Chciałem powiedzieć - poprawiłem się szybko - że uczyłem się tam, na politechnice.

- Przestań kupidonić panienkę - warknął Anton. - Przypominam ci plan działania: gdy się zacznie zadyma, wyłączam pole rewersywne i Oksana zostanie przerzucona do nas. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ty włączasz swój retonoblizer i zwijas się. Jeśli coś nie zagra, to obejmujesz dziewczynkę, a ja spróbuję wyciągnąć was oboje. Słyszysz mnie?

Najwyraźniej okropnie mi zazdrościł. Tania była nie tylko bardzo miłą i sympatyczną kobietą, ale i bardzo kontaktową, na dodatek przebijającą z niej taka miła dziecinna naiwność. Dowiedziawszy się, że mieszkałem w Moskwie, omal nie zaczęła klaskać w dłonie i zaczęła rozpytywać mnie o Mauzoleum.

Jeśli ktoś nie wie: Mauzoleum to miejsce, gdzie przechowywana jest atrapa jednego z proroków, założyciela marksizmu, który, co prawda, nie nazywa się Marks, a Lenin. Jeśli wydaje się wam, że „Lenin” to jego drugie nazwisko - macie rację. Tyle że pierwsze nazwisko proroka też do niczego nie pasuje: Włodzimierz Iljicz Uljanow, na dodatek zostało to całkowicie naukowo udowodnione.

Od rozmów o religii, starając się nie urazić jej przekonania, ostrożnie przeszedłem na rozmowy literackie, przypomniałszy sobie Czechowa i Bułhakowa, dwu genialnych pisarzy, którzy na pewno żyli w dwudziestym wieku. Czechowa moja rozmówczyni знаła, a Bułhakowa - nie wiadomo dlaczego - nie. Przy tym opowiadała o jakichś Gorkich i Tołstojach, ale jakoś tak mętnie, że nabrałem przekonania o istnieniu więcej niż jednego Tołstoja. A gdy zaczęła mówić o Majakowskim nie jako o malarzu, ale o poecie - zupełnie straciłem kontenans i zacząłem się płatać. W końcu, po tym, jak powiedziałem, że

Ostrowski był utalentowanym fizykiem, otworzyła szeroko oczy i zapytała mnie, jakie miałem oceny w szkole podstawowej.

Na szczęście przypomniałem sobie kilka wzorów Ostrowskiego z grawitacyjnej kinematyki, szybko wykreśliłem je w przydrożnym kurzu i powiedziałem, że miałem średnią - osiem i siedemset czterdzieści trzy. Ona się jakoś tak skonfundowała, poczerwieniała nawet, po czym szepnęła, że chyba mówimy o różnych rzeczach. A potem zapytała, gdzie mieszkam.

- Milcz - syknął Anton. - Nie zapominaj, że jesteś kierownikiem wydziału w dwudziestym wieku. Powiedz, że masz małą trzypokojową sekcję w hotelu robotniczym obok domu kultury.

Podśłuchuje, znaczy się, mitochondria żonata! Na pewno zazdrości.

No i tak sobie mijał czas i droga. Szlak prowadził między czystymi połyskującymi jeziorami, wspinał się na wzgórza, omijał wiatrołomy, ciągnął się przez rzadkie, rozświetlone sosnowe lasy, zagłębiał się w gęste krzewy, gdzie czasem gałęzie niemal całkowicie zakrywały drogę i trzeba je było rozsuwać rękoma. Dwukrotnie drogę i jej brody przecinały wąskie rzeczki. Kobiety za każdym razem wskakiwały na furmankę, a ja za pierwszym razem wskoczyłem, a za drugim nie chciało mi się i poszedłem na piechotę. Ku mojemu niebotycznemu zdziwieniu ubranie przemokło jak chusteczka do nosa i długo potem ociekało wodą. Kłamałem i usiłowałem wyżyć wodę ze sztywnych nogawek, a Anton w uchu cicho i zjadliwie chichotał. Na szczęście droga znowu zrobiła się piaszczysta i prowadziła przez nasłoneczniony rzadki sosnowy las; zbliżaliśmy się do płaskiego wzgórza.

- Proszę mi powiedzieć, Siemionie Siergiejewiczu - nauczycielka zeskoczyła z furmanki - a do was do miasta przyjeżdżają jakieś teatry na występy?

- Owszem - skinąłem głową i wybrałem najbardziej bezpieczny wariant: - „Hamleta” niedawno przywieźli.

- Nie byłam w teatrze już od kilku lat - westchnęła Tania. - Jak ja panu zazdroszczę!

- Nic straconego - uśmiechnąłem się czarująco. - Następnym razem na pewno panią zaproszę.

Ku mojemu zdziwieniu Anton nie zareagował w żaden sposób na moją obietnicę. Aż się zaniepokoiłem, czy nadajnik jest sprawny.

- Prrr, Sawrasku! - pociągnął za lejce dziadek. - Poczekaj chwilę, pozwól staremu rozprostować kości.

Koń parsknął niezadowolony, a dziadek dość raźnie zeskoczył na ziemię, pogłaskał się po brodzie i pomaszerował w kierunku krzaków, jakieś sto metrów od drogi.

- Co on robi? - zdziwiłem się.
- No, pewnie musi - Tania nie wiadomo dlaczego zarumieniała się.

- Słyszysz mnie, Arkasza? - cicho zapytał Anton.
- Yhy - burknąłem cicho, żeby nie zwracać na siebie uwagi.
- Zaraz się zacznie.
- Co? - nie zrozumiałem go w pierwszej chwili.

- Mam! - krzyknęła triumfująco Oksana, jedną ręką machając rozpiętą bransoletą, a drugą odpychając od siebie pysk konia. - Udało się!

W tym momencie coś tak huknęło, że aż nogi się pode mną ugięły. Furmanka szarpnęła się do przodu, Tania skoczyła do tyłu. W nosie i oczach szczypało, po chwili ponownie huknęło, a na dodatek błysnęło, na głowę sypnęło piaskiem, gałązkami i jakimiś śmieciami - wszystko to razem jakimś dziwnym echem odbiło się w moim brzuchu, skręciło mi żołądek, więc - póki nie stało się coś gorszego - migiem zaktywizowałem swój retonoblizer.

- Zakropcie mu oczy - poważnym tonem kierownika polecił Anton; czyjeś mocne ręce odgięły mi głowę do tyłu i w kącikach oczu poczułem miły chłód. Już tak mocno nie szczypało.

- Szkoda, że cię tam nie było - nie wytrzymałem i przypomniałem mu sarkastycznie: - „Uważaj, nie pokręć. Kiedy zaczną wybuchać błyskoszumowe granaty, to będzie znaczyło, że zostaliście napadnięci!”. Akurat można te grzmoty z czymś pomylić!

- A kto mógł wiedzieć, że huk będzie większy, niż mogą przenieść głośniki? - usprawiedliwiał się Anton.

Pewnie - mogłem go zdławić moralnie, tknąć nosem w błędy i niedoróbki, ale radość z sukcesu pierwszego doświadczenia popchnęła mnie ku wielkoduszności.

- Dobrze - niedbale uśmiechnąłem się, pomrukałem trochę, żeby sprawdzić, czy oczy nie boją, odsunąłem rękę pielęgniarki i usiadłem w fotelu. - Wszystko to detale. Wiedziałem, czym ryzykuję! Natomiast teraz wiadomo, jakimi jesteśmy zuchami! Znaleźliśmy w gęstwinie czasu taki talent! Prawdziwy geniusz! Nie, no tylko sobie wyobraź - potrafiła rozpiąć retonoblizer!

- To już wiem - ponuro skinął głową Anton.

- Skąd? - zdziwiłem się.

- To nie było trudne.

Anton odsunął się i odsłonił drzwi do komory przerzutowej. W środku komory stał koń.

Przekł. EuGeniusz Dębski

ACHAJA

Batalion piechoty posuwał się niespiesznie w stronę lasu. Cała jednostka została zreformowana i składała się teraz z dwóch wzmocnionych kompanii piechoty oraz kompanii specjalnej, składającej się z plutonu sztabu i dwóch plutonów saperów, trzysta dziewczyn w pancerzach z mieczami i kuszami, bo piki kazano im zostawić. Przy sztabie był pluton Achai, za nim, w odległości jakichś trzystu kroków, posuwał się batalion kawalerii. Dalej za nimi na wzgórzu stały pozostałe dwa bataliony pułku jako odwody i zabezpieczenie.

Okolica przedstawiała ponury widok. Od rana posuwały się przez teren dotknięty pożarem. Najpierw były jeszcze jakieś pola uprawne, wioski... Potem już tylko „las” wypalonych pni, jakieś malutkie krzaczki i trawa, a teraz tylko suche kikuty drzew. Chusty, które każdy żołnierz musiała założyć na twarz, przydały się już tutaj, bowiem wszystko wokół pokrywał świeży popiół, który poruszony nogami dusił, nie gorzej od dziwnego „dymu” obcych...

Major piechoty przygalopowała do zwiadu i zasalutowała Achai.

- Wchodzimy z marszu, proszę pani. Jakież sugestie? Była wyraźnie wściekła, że musi jeździć na posyłki i pytać

oficera równego sobie stopniem tylko dlatego, że tamta była w zwiazie i... była księżniczką.

- Mam jedną. - Achaja sięgnęła do juków i wyciągnęła swój bukłak. - Sugeruję, żeby pani wzięła łyka....

Kobieta roześmiała się. Przyjęła naczynie i ściągnawszy najpierw chustę z twarzy, pociągnęła ostro. Jakież tam niewielkie lody zostały przełamane.

- Co to za wojsko? Major oddała bukłak.

- Same weteranki. Tak jak było w rozkazie... - westchnęła ciężko. - Ale ci w dowództwie... - zawahała się.

- Proszę się nie krępować w używaniu dowolnych określeń dotyczących naszego dowództwa.

Znowu uśmiech.

- To naprawdę są weteranki. Ale... wszystkie zostały wycofane z luańskiego frontu, jak zostały ranne, na urlopy... i tak dalej. Nigdy nie walczyły razem, jako jeden oddział.

- O, bogowie... - jęknęła Harmeen. - Napisałyście testamenty, dziewczyny?

- To dobrzy żołnierze! - wtrąciła major piechoty. - Jak się rozpierzchną w ucieczce... to naprawdę nie będzie ich wina!

- Świetnie - Harmeen przejęła bukłak Achai. - Zginę z winy dowództwa... Czyli, jak zwykle!

- A dużo już razy zginęłaś? - spytała Lanni.

- Słuchajcie, szlag! - Achaja odebrała im bukłak i sama pociągnęła. - Spróbujmy wynieść z tego jakoś nasze tyłki! Pani major, czy możemy podciągnąć pluton zwiadu w pobliże dowództwa operacji?

- Myślę, że spotka się to z dużą przychylnością... Wzmocnienie plutonu sztabowego jest w tej sytuacji wysoce wskazane.

- Dobra. Lanni, rusz ludzi do przodu! Shha! Każ napinać kusze! Harmeen, my dwie do sztabu!

Puściły konie w galop, mijając saperów prowadzących muły obciążone beczułkami. Każda z beczulek zawierała smołę, każda była przywiązana do zwierzęcia dość krótkim sznurem. Wystarczyło ją zrzucić z grzbietu, wybić dziurę ciosem siekiery i podpalić. Muł, podgrzewany od tyłu, zaczynał biec, rozlewając płonąca smołę i podpalając las. Wredne rozwiązanie, jeśli chodzi o zwierzęta. Wrednie skuteczne rozwiązanie, jeśli chodzi o podpalanie lasu. Przynajmniej na ćwiczeniach.

- Pani pułkownik! - zasalutowała Achaja, zatrzymując konia.

- Pani major, moja księżniczko! - odpowiedziała na salut pułkownik piechoty.

- Wchodzimy z marszu?

- Płytkie rozpoznanie. Chyba że pani woli użyć swojego plutonu!

Achaja stłumiła przekleństwo.

- Podciągnęłam go w pobliże sztabu. Jakby te weteranki z piechoty zaczęły nagle pierzchać...

Błąd. Pani pułkownik zacisnęła szczęki.

- To dobre wojsko, pani major. Ale cieszymy się ze wzmocnienia kompanii waszym plutonem... Dadzą bogowie, będziemy miały czas przynajmniej się pomodlić!

Achaja przymknęła oczy. Czy w każdej armii muszą istnieć animozje pomiędzy poszczególnymi formacjami? Zwróciła się do Arnne:

- Pozwoli pani... Czy pani coś czuje?

- Owszem - odparła czarownica. - Zmęczenie!

- A... - wskazała ruchem głowy na las - ...obecność tam jakichś czarowników?

- Nie wyczuję żadnego czarownika, jeśli ten nie użyje magii. W tej chwili jest tam pusto jak na targowisku w środku nocy.

- Dziękuję paniom - mruknęła pułkownik - za wyczerpujące informacje, jakich dostarczył nam zwiad... Jak zwykle zresztą... posprząta po was zwykła piechota!

Achaja usiłowała trzymać usta zamknięte na skobel. Harmeen patrzyła gdzieś w bok. Oficerowie wokół uśmiechali się lekko.

- Dobrze! - pułkownik odezwała się głośnie. - Porucznicy do swoich plutonów! Pani kapitan, pani obejmie dowództwo szpicy. Pani major podciągnie saperów w pobliże. Wchodzimy!

Rozległy się ostre gwizdki chorążych i sierżantów. Pierwsza kompania zagłębiała się w las. Kurwa!!! Achaja przypomniała sobie atak luańskiej piechoty, podczas kiedy jej oddział był ukryty między drzewami. Podjechała do czarownicy.

- Czy...

- Zechce pani powstrzymać emocje! - Arnne przerwała jej w pół słowa. - To mi przeszkadza!

- Chciałam spytać, czy może pani przekazać im jakieś informacje?

- Jakie?

- Że chcemy się dogadać.

- A komu?

- No... mieszkańcom Wielkiego Lasu.

- A w jaki sposób?

- O kurwa jebana w dupę mać!!! - Achaja zawróciła konia, wracając do plutonu. - Dziewczyny! Trzymać tyłki ściśnięte, napiąć kusze i wykonywać rozkazy! Wszystko jasne?

Shha skinęła głową z uśmiechem.

- A czemu nie dziś? - spytała. - Czym niby ten dzień różni się od dnia naszej śmierci? A może właśnie to już, co?

- Kocham cię, Shha!

- Nie jestem co prawda chłopcem... Ale doceniam, siostrzyczko!

Uśmiechnęła się. O ile mogła ocenić na oko, pluton był średnio trzeźwy. Zwiad, w porównaniu z piechotą, zawsze miał większe możliwości zdobycia wódki. Większy żołąd, większy spryt, większy strach, jaki wywoływał u pokątnych kupców... A może i dobrze? W końcu nie było prawa, że trzeba umierać będąc trzeźwym! Nawet wredni bogowie czegoś takiego nie ustanowili. Jakaś tam łaska, choćby szczątkowa, została jednak ludziom dana. '

- No, baby... pokażemy im, że jesteśmy najlepszym plutonem dywizji górskiej! Pieprzyć zwiad! Pokażemy tym głupim gnojom z lasu, że nasza macierzysta jednostka wysłała nas tutaj, żeby im uzmysłować wreszcie, gdzie ich miejsce! Żeby im pokazać, że lizanie naszych butów ma być odtąd ich głównym zajęciem!!!

- Yyyyyyyyyyyyyyyyyy!!! - zawył pluton.

- Tak! Nasza Królowa powiedziała mi wyraźnie... Achaja, masz wziąć swój pluton i pokazać tej swoloczy, jak mają lizać nasze buty!!! Powiedziała mi wyraźnie! Proszę... powiedziała, żeby nie zabić ich wszystkich pierwszego dnia, bo przyjemności nie będzie! Powiedziała to dwa razy! Powiedziała: Acha- ja, kurwa twoja mać, jak ich wszystkich zapierdolicie od razu, to wam kości porachuję!

- Yyyyyyyyyyyyyyyyyy!!! - wrzasnął pluton.

- Ale ja was zwalniam z tego przyrzeczenia... Róbcie, co chcecie dziewczyny! Róbcie, co chcecie! Wielki Las leży przed wami. Wasz!!! Cały wasz!!! A

jakby was ktoś o łaskę prosił, to powiedzcie, że kredyt wczoraj, niestety, cofnęli... Powiedzcie im, że to, co czują w swoich ustach, to nie jest fasola! Ten dziwny smak, to są ostrza waszych mieczy! I nawet jak wyjmiecie, to i tak nic im z dalszego życia nie zostanie!!! Po prostu... pokażcie im, że ich kochacie. Że ich kochacie tak, jak śmierć kocha człowieka. Szczerze!

- Aaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!

Achaja zawróciła konia i ruszyła ku linii drzew. Harmeen dogoniła ją jednak.

- To była jedna z ciekawszych mów, jakie słyszałam przed bitwą.

- Dzięki. Filozof Theu zawsze twierdził, że do wojska należy mówić w sposób wulgarny.

- Nie wiem, jak filozof Theu... Ale te twoje baby trochę wytrzeźwiały. Nie chodzi mi o wódkę, raczej o strach...

- Czas pokaże...

Wjechały pomiędzy pierwsze drzewa. Ogarnął je lekki chłód. Zrobiło się ciszej - po prostu wiatr nie docierał między splątane gałęzie.

- Ale gęstwina... - Achaja podjechała bliżej do oficerskiej świty.

Arnne zrównała z nią konia.

- Przykro mi, ale mam już naprawdę dosyć pani wulgarnych wyzwisk! - warknęła.

- Przepraszam - powiedziała Achaja ugodowo. - Ale proszę zrozumieć, że to jest wojsko. A poza tym zadanie i nerwy...

- Ach - przerwała jej tamta - patii się zastanawia, czy przejąć dowodzenie?

Achaja oniemiała.

- Skąd pani wie, że mam ten papier? Czyta pani w moich myślach?

- Owszem - uśmiechnęła się Arnne. - Ale proszę mi wierzyć, nie trzeba do tego ani trochę sztuki czarnoksiężkiej!

- Chyba nie rozumiem.

- To proste. Jest pani jedynym oficerem, który jechał dłużej czas trzymając palec w ustach... Ja pani nie cierpię, ale muszę uczciwie przyznać, że nie wygląda pani na kogoś, kogo można przestraszyć albo zahukać... Stąd prosty wniosek, że skoro aż tak nie mogła pani opanować odruchów, to była to jakaś bardzo poważna kwestia. A reszta to już wyłącznie czysta kalkulacja. Major zwiadu, a do tego księżniczka, pod rozkazami pułkownika piechoty. Trudno sobie wyobrazić bardziej dziwną zależność, chociaż od strony służbowej nie można jej niczego zarzucić. Ci, którzy panią tu wysłali, a konkretnie pan Biafra, to naprawdę inteligentni ludzie. Jeśli akcja się nie uda, będzie to wina piechoty... Jeśli się uda, zwiad przejmie dowodzenie i położy swoje ciężkie łapsko na dalszym rozwoju spraw. - Arnne uśmiechnęła się cynicznie. - Jeśli mogę coś radzić... Niech pani nie przejmuje dowodzenia do samego końca. Jeśli już zamierzacie zrobić to świństwo pani pułkownik, niech to będzie świństwo konsekwentne!

Achaja potrząsnęła głową. Również nie cierpiała czarownicy, ale musiała przyznać, że tamta jest dość trzeźwa w swoich przemyśleniach. Dłuższą chwilę jechały w milczeniu. Potem Arnne zerknęła na nią spod oka.

- Chce pani wiedzieć, co się stanie, prawda?

Achaja nie odpowiedziała. Jeszcze w Troy rozmawiała wielokrotnie z czarownikiem Meredithem o sprawach magii. Wiedziała, że przyszłości nie da się przewidywać. Wielki mag mógł czasem doznawać „błysków”, sięgać w przyszłość nawet o tysiące lat... ale to nie była „prawdziwa” przyszłość - to były tylko możliwości... Nikt nie znał słów, żeby to dokładnie określić. Sami czarownicy nazywali to „teoretycznie możliwą przyszłością” i również śmiali się z tego określenia. Czasem można było porozumieć się z nienarodzonym jeszcze człowiekiem. Nie słowami, oczywiście. Można było poczuć jego bliskość, jeśli było się w miejscu, gdzie tamten pojawi się za setki lat i na przykład głęboko zamyśli. Nikt nie wiedział, czy taki człowiek narodzi się rzeczywiście. Ale... mógłby się narodzić, a sam fakt kontaktu mógł pokazać pewne konfiguracje... „teoretycznie możliwe”, cha, cha, cha...

Arnne odchyliła się w siodle i przyknęła oczy. Błysk? Ona naprawdę sama potrafi wywołać błysk i nim pokierować? Meredith twierdził, że to niemożliwe! Ale on był mężczyzną. Babska magia wyglądała zupełnie inaczej. Jak to określał: „prowokowała więcej możliwości - aż tyle, że można było zagubić się w ich gąszczu”. Czarownica podrapała się w policzek. Ciekawe czy to jakiś rytuał, czy zwykły komar? Podrapała się w szyję, potem w brew i w kark. Mrówki ją oblażyły? Drgnęła nagle i otworzyła oczy. A potem zrobiła minę, jakby zobaczyła coś obrzydliwego. Spojrzała na Achaję trochę nieprzytomnie.

- Z... zobaczyła pani coś? - zaniepokoiła się księżniczka.

- Tak - Arnne skrzywiła się jeszcze bardziej. Wyglądała na kompletnie rozbitą.

- Aż tak źle?

- N... nie... Nie wiem, co się stanie - zająknęła się. - Zobaczyłam siebie samą na tej drodze poza lasem - wskazała kciukiem kierunek za plecami. - Siebie... kompletnie nagą!

Eeeeeee... To nie żaden błysk, pomyślała Achaja. Zwykle fantazje seksualne, a raczej „niezwykłe”, bo chodziło o dziewczę. Kompletnie goła na drodze... Podniecało ją to? Zaraz. Chloe, przynajmniej jak twierdziła Shha, też była dziewczą. Trzeba ją spytać, czy kiedykolwiek wyobrażała sobie siebie samą gołą na publicznym trakcie.

- Przepraszam na moment... - Achaja zawróciła konia. Szybko podjechała do swojego plutonu.

- Shha, załóż mi tę rękawicę. - Chodź bliżej.

Wyjęła żelastwo z juków i zaczęła montować je na lewej ręce siostry.

Achaja nachyliła się i szepnęła:

- Słuchaj, czy Chloe naprawdę jest dziewczą?

Shha jak stara, doświadczona spiskowczyni, pochyliła głowę, żeby ukryć usta:

- No! - tchnęła jej wprost do ucha. - Jest! A co?

- A mogłabyś ją delikatnie wybadać, co ona sobie wyobraża... no wiesz... Czy kiedykolwiek widziała siebie gołą na drodze, co?

- Na drodze, gołą? O żesz ty... Pani pułkownik o to pytała? Achaja potrząsnęła głową, zdziwiona.

- Nie. Ja chcę wiedzieć.

- Dobra. Sama nie spytam, bo mnie, małpa, nie lubi. Ale posłę Sharkhe. One się coś skumały ostatnio.

- Tylko, kurde, żeby cały pluton o tym nie gadał!

- No! Nie ma sprawy...

- A może lepiej Mayfed wysłać? Ona jest taka rozsądna.

- Nie. Mayfed jest skumana z Zarrakh. A jak Zarrakh się dowie, to zaraz cała armia Arkach będzie o tym gadać. Nawet w Luan po karczmach będą o tym śpiewać minstrele... A Król Troy każe to wyryć na kamiennych tablicach. Ona ma język po kolana! I ostry jak dahmeryjski miecz. Jak się Chloe wygada, to ją zabij a potem ozorami!

- Dobra...

Nie dokończyła. Oddział stanął nagle i z przodu rozległ się dźwięk trąby.

- Szlag! Później pogadamy.

Achaja szarpnęła uzdą i pogalopowała do sztabu, słysząc jak herold ogłasza mieszkańcom lasu przybycie poselstwa z Arkach. Łgał jak pies. Żadnego posła nie było. Ale... Pułkownik miała swoje pełnomocnictwa, a Achaja (choć ukryte głęboko w torbie) swoje...

Atmosfera, jaka panowała w sztabie, nie miała nic wspólnego z przyjmowaniem poselstwa.

- Pani kapitan, skąd wieje wiatr?

W lesie nie czuć było żadnego podmuchu. Rozległy się za to trzy ostre, przenikliwe do granic słyszalności gwizdki. Spod lasu, od pozostawionych tam oddziałów, dobiegł ich modulowany dźwięk innego gwizdka.

- Z zachodu, pani pułkownik!

- Dobrze. Pani major, muły z beczkami na lewą stronę. Niech saperzy trzymają siekiery w pogotowiu!

- Tak jest!!!

- Niech zbliżą batalion piechoty do samej granicy lasu!

- Tak jest! - nowy modulowany gwizd.

- Pierwsza kompania... Wachlarz! Druga kompania... Rygiel!

- Tak jest! Okopujemy się?

- Tu? Czy pani śni na jawie?

- No to... - odważyła się major - to po co nam drugi batalion przy lesie?

- Żeby wyrąbać korytarz w razie czego. Nie będę ściągać ich strzał na siebie, bo i tak przez te gałęzie niewiele strzał przeleci! - Pułkownik odwróciła głowę. - Pani major zwiadu! - zawołała. - Moja, psiakrew, księżniczko!

- Tak jest! - zameldowała się Achaja.

- Czy jest pani w stanie zrobić płytkie rozpoznanie?

Kurwa!!! Ta głupia cipa chce wystawić jej ludzi! Niedoczekanie, krowo!

- To niemożliwe w tych warunkach, pani pułkownik!

- Znam regulamin równie dobrze jak pani! Pytam, czy może pani wysłać kilku żołnierzy do kontroli terenu?!!!

- Tak jest!!! - ryknęła Achaja. - Sierżant Shha, do mnie! Sama jednak powodowała wierzchowcem tak, żeby oddalić

się od sztabu choć o kilka kroków.

- Na rozkaz! - zameldowała się Shha.

- Przekaż Lanni, że rozkaz to lipa... dwa kroki, nie więcej, i chodu nazad - szepnęła. - Rozsypać pluton!!! - zawyla na użytek oficerów sztabu. - Porucznik Lanni, do mnie!

- Na rozkaz! - krzyknęła Lanni.

- Płytki zwiad dwójkami w trzech kierunkach. Rozpoznać teren na sześćdziesiąt kroków!

- Tak jest!!!

Shha na szczęście zdążyła doskoczyć i szepnąć coś Lanni do ucha. Sześć dziewczyn ze zwiadu ruszyło w krzaki. Sześć trupów mniej... Wszystkie ukryły się jak mogły, odczekały i wróciły, meldując, że teren czysty.

- Ty małpo! - syknęła pułkownik do Achai tak, żeby inni nie słyszeli. - Jeszcze porachuję się z tobą, pizdo!

Dobrze wiedziała, jak naprawdę wyglądał zwiad. Ale czego chciała? Sześciu niepotrzebnych trupów? Każdy, kto nie był urodzonym idiotą, wiedział, że po zapowiedzi herolda obce siły zacisną wokół krąg. A ich liczebności dwójkowy zwiad i tak by nie odkrył.

- Saperzyyyy! Dziesięć kroków w przód!

Porucznik pierwszego plutonu saperów pocałowała jakiś amulet i poszła pierwsza ze swoimi ludźmi. Za nią drugi pluton i ubezpieczenie.

- Harmeen...

Kapitan zwiadu podskoczyła natychmiast.

- Jak się zacznie - szepnęła Achaja - przejmiesz mój pluton. Lanni jest fajna, ale za młoda. Poniesie ją, uderzy frontalnie i straci ludzi... Naprawdę wiem do czego jest zdolne to za bardzo odważne dziecko!

- Dobra, kotku.

- I jeszcze jedno. Jak tylko poczujecie dziwny zapach... Wszystkie zsiadajcie z koni!

- Bogowie! To wbrew regulaminowi!

- Zamknij się, Harmeen. To ja czytałam tajne papiery, nie ty! Jak już zsiadziecie, to przypiecznie koniom mieczami po zadach, niech ruszą w panice i zdeorganizują tamtych. Potem róbcie jak w rozkazach dla piechoty, siadajcie na ziemi, plecami do siebie, kusze... i tak dalej. Nie macie tarcz. Wiem. Ale pamiętaj. Będziesz miała za plecami wyrąbany korytarz. Pułkownik się wygadała! Myślę, że są umówione z majorem z drugiego batalionu. Harmeen, pamiętaj. Drugi batalion będzie wyrąbywał korytarz, cokolwiek się stanie! Tak se wcześniej piechociarki ustaliły. Więc uratuj te moje siksy z plutonu. Proszę cię.

- Dobra, kotku. Niech mnie potem pod sąd nawet... za złamanie regulaminu w obliczu nieprzyjaciela.

- Harmeen. Nikt nie będzie świadczył przeciwko tobie! To są naprawdę fajne dupy. Tylko szepnij słówko Lanni, a... jak się z Lanni nie uda, to powiedz sierżantowi. Ona niezbyt inteligentna, więc wytrumacz jej powoli i dokładnie, a potem cały pluton zezna, co będziesz chciała!

- Nie ma sprawy, kotku. A ty?

- Ja muszę być przy tej obsranej czarownicy, której się zwiduje własny tyłek wystawiony na drodze! Ale nie bój się, nie zamierzam położyć tu głowy...

- Trzymaj się, kotku! - Harmeen zawróciła konia i dołączyła do plutonu.

Achaja zawróciła znowu do sztabu. Robiło się coraz ciemniej, wieczór zapadał powoli. Drzewa wokół przybierały coraz bardziej fantastyczne kształty. Saperzy rozgrzewali w przenośnych piecykach żelazne pręty, które miały służyć do rozpalenia tych dziwnych świec z magnezu. Herold nawoływał znowu. Nikt w sztabie nie miał jednak wątpliwości, co do skuteczności jego krzyków i trąb... Inaczej na sprawy patrzy się siedząc w pałacu w stolicy, inaczej stojąc w lesie, z mieczem w garści naprzeciw nieznanym potworów. Być może dogadanie się i układy były naprawdę jedynym rozsądnym wyjściem według praw logiki stosowanej, którą uprawiał sztab generalny. W lesie, wśród drzew, patrząc zza własnej trzymanej coraz bardziej spotniałą dłonią tarczy, miało się wrażenie, że wszystko wygląda jednak inaczej.

Herold umilkł w pół słowa. Zakrzuszył się... od strzały tkwiącej w gardle.

- Zaczyna się - powiedziała pani pułkownik spokojnie.

- Nie... - mruknęła Achaja - to tylko ich zwiad. Jakiś szczył odpalił z łuku, bo mu nerwy zagrały...

Pułkownik zerknęła na nią spod oka.

- Może i tak... W każdym razie gadać nie chcą. Pani Arnne - zwróciła się do czarownicy - niczego pani nie czuje?

- Kompletnie.

- Dobra. Cofamy się.

- Rygiel w tył! Wachlarz na moją prawą! - ryknęła kapitan. Pułkownik wsadziła dwa palce do ust i gwizdnęła na dowódcę saperów.

- Odcinać baryłki! - krzyknęła, a potem dodała ciszej do otaczających ją oficerów: - No, drogie panie, zaraz tu się będzie ślicznie palić...

Saperzy odcięli rzemienie i baryłki ze smołą opadły z grzbietów zwierząt. Teraz łączyły je z mułami jedynie dość krótkie sznury. Siekiery i specjalne piecyki były przygotowane. Żołnierze napinali wielkie kusze z kilkoma strzałami każda, o specjalnych palnych końcówkach zamiast grotów.

- Co tak śmiesz? - spytała pułkownik.

- Śmiesz? Szlag! - Achaja odruchowo pociągnęła nosem, ale niczego nie czuła od czasu, jak Krótki załatwił jej nos tym swoim specyfikiem. - Jednak atakują!

- Co? - Pułkownik zawahała się tylko przez króciutki moment. - Odpalać! Odpalać wszystko!!! - ryknęła. - Pierwsza i druga kompania... Jeż!!!

Saperzy uderzeniami siekier wybili dziury w beczułkach, a potem zapalili smołę... Sześćdziesiąt demonów ognia runęło w las, dając początek sześćdziesięciu płonącym potokom. Chwilę potem saperzy odpalili z kusz ogniste pociski.

- Siadać, siadać!!! Formować jeże!!! - krzyczeli oficerowie do żołnierzy piechoty. - Szmaty na twarz! Spokój! Wszyscy spokój! Nic się wam nie stanie, żołnierze!

Achaja zeskoczyła z konia wraz z resztą sztabowców batalionu. Podczas kiedy adiutanci pętali konie, zawiązywała sobie na twarzy grubo zwiniętą, zmoczoną w wodzie szmatę. Stojąca tuż obok major piechoty dostała strzałę i upadła na wznak, rozkładając ręce.

- Padnij!

Obie z Arnne opadły na kolana i obie naraz zarobiły dwie następne strzały. Arnne dokładnie pomiędzy piersi, a Achaja w tyłek. Dzięki nieprawdopodobnemu wręcz szczęściu grot przeznaczony dla Arnne ześliznął się po zawieszonym na szyi żelaznym amulecie, tyłek Achai przykryła skórzana torba grubo wypchana tajnymi papierami... Chwilę później piechociarki osłoniły je tarczami.

- O, mamusi!!! - jęczała Arnne, wyciągając strzałę. - Mamo...

Achaja chwyciła swoją strzałę, która przebiła wypchaną torbę i weszła w pośladek... może na głębokość połowy paznokcia raptem.

- Jesteśmy w czepku urodzone - szepnęła.

- Mamo, mamo...

Robiło się coraz ciemniej. Gryzący w oczy dziwny dym rozprzestrzeniał się coraz bardziej. Achaja usiadła za Arnne i przycisnęła szmatę mocniej do jej ust.

- Nic nie mów teraz! Spokojnie...

Rozpalone tymczasem pochodnie zaczęły nagle gasnąć.

- Rozpalać magnez!!! - krzyknęła pułkownik.

Saperzy wyjmowali z piecyków rozpalone żelazne pręty i wkładali je do specjalnych metalowych tulei. Żadna z magnezjowych pochodni nie chciała jakoś zapłonąć. Widoczność była coraz gorsza. Mrużąc łzawiące oczy można było dostrzec człowieka, który znajdował się najwyżej kilka kroków dalej. Dym przypominał gęstniejącą mgłę, był chłodny, jakoś dziwnie duszący... Ale to nie było szczególnie przykre uczucie. Tak jakby coś miękkiego stanęło w gardle, albo jakby się dostało lekkiej chrypki. Kilka osób obok rozkaszało się jednak.

- Opanujcie się! - warknęła pani pułkownik. - Nie wdychać tego świństwa!

Czyjś koń dostał strzałę i zaczął szaleć. Pozory spokoju w sztabie pękły momentalnie.

- Kurwaaaa!!! Niech ktoś go opanuje!

- Dobić!

Krag tarcz piechociarek rozerwał się momentalnie. Zaświszczały kolejne strzały. Nie widać było już kompletnie nic. Jeśli się wyciągnęło rękę do przodu, to własna dłoń niknęła w nieprzeniknionym mroku. Każdy znalazł się w indywidualnym, kompletnie nieprzejrystym kokonie ciemności. Z szalejącym z bólu koniem w pobliżu, ze zrywającymi się pozostałymi, wśród panikujących, duszących się ludzi, Achaja miała nadzieję, że pozostałym kompaniom powodzi się lepiej. Arnne chciała się wyrwać, ale trzymała ją żelaznym chwytem. Teraz właśnie nie wolno było się ruszać.

Pułkownik piechoty pokazała jednak klasę. Usłyszały jej donośny głos:

- Żołnierze, kolby kusz oprzeć o ziemię! Podniesienie na łokieć. Uwagaaa... Strzelaj!

Świst beltów prujących powietrze złał się z kilkoma okrzykami trafionych. Achaja domyślała się, skąd to dziwne ustawienie kusz. Tamta nie chciała, żeby dostało się żołnierzom z innych kompanii. Ale jeśli ktoś właśnie atakował i był o kilka kroków, zarobił na pewno. Coś wpadło między i tak szalejące konie. Ktoś strzelił w panice. Achai wydawało się, że strzała przeleciała tuż obok jej twarzy. Wywróciła się, pociągając za sobą Arnne.

- Czujesz coś? - syknęła.

- Tak! Boli mnie strasznie mostek!

- Czy czujesz jakichś czarowników, krowo?!

- Pierdol się! - Arnne pokazała, że plugawe przekleństwa wbrew pozorom wcale nie są jej obce. - Odwal się, ty suko!

Coś wpadło pomiędzy żołnierzy i zaczęło ich zabijać. Rozległy się ostre gwizdki oficerów.

- Do mnie! Do mnie! Żołnierze, do mnie!

Ktoś płakał głośno. Ktoś jęczał, ktoś wył z bólu. Parę osób kaszało, ktoś ciągle wzywał pomocy... Czyjaś stopa nadepnęła Achaję, świsnął miecz, ale na szczęście obie z czarownicą leżały płasko na ziemi. Właścicielem miecza musiał być żołnierz piechoty, a nie potwór - powtórny cios nie padł, poprawki nie było.

- Tu druga kompania! Tu druga kompania! - rozległy się krzyki w oddali. - Nie strzelać! Wycofujemy się...

Coś świsnęło nad głową Achai. Nie miała pojęcia co. Ściągnęła z ust szmatę i puściła Arnne - to coś, co odurzało w dymie, nie powinno już działać...

- Tu druga kompania! Koleżanki!!! Nie strzelajcie!

Niby kto miał strzelać? Kompania sztabowa stanowiła jedno wielkie kłębowisko wpadających na siebie i przewracających się ciał. Coś mordowało żołnierzy, ale nawet ci, którzy skupili się wokół ocalałych oficerów, nie byli w stanie temu przeciwdziałać. Rzeczywista walka niezbyt przypominała symulację...

- Tutaj! Tutaj! - krzyczała pułkownik. - Wszyscy, co żyją, niech biegną w stronę drugiej kompanii!

- A gdzie to, kurwa, jest? - spytała Achaja.

- Kapitan! Czy jest tu kapitan?

- Jestem... - rozległ się czyjś zduszony głos. Dziewczyna musiała być ranna.

- Masz jeszcze gwizdek? - Mam!

- Podaj komendę do drugiego batalionu: Strzelać na mnie!!! Niech strzelają w miejsce, skąd gwizdziesz... - pułkownik kaszlnęła nagle, potem jęknęła. Musiała czymś dostać. - Wszyscy niech... strzelają w moje pozycje! - powiedziała jeszcze zduszonym głosem.

Dźwięk gwizdka nie był tak przenikliwy jak poprzednio... Dym musiał go głuścić. Był jednak wystarczająco głośny, bo po chwili usłyszały gwizdki batalionu, który został pod lasem.

- Bogowie... jak to: strzelać w nas? - jęknęła jakaś dziewczyna. - Przecież nie jesteśmy okopane...

- Kryć się pod tarczami!!! - ryknęła Achaja. - Jak ktoś zgubił tarczę, brać najbliższego trupa na plecy i biegiem do drugiej kompanii!

- Ale, kurwa, gdzie to jest?!!! - ktoś powtórzył jej poprzedni okrzyk.

Trzysta strzał zaświszczało w powietrzu. Większość zatrzymała gałęzie, ale i tak śmiertelny deszcz opadł na ziemię. Rozległy się okrzyki trafionych, nikt nie miał pojęcia, żołnierzy Arkach czy obcych... Usłyszały z daleka nowe gwizdki. Trzeci batalion dołączał do drugiego. Bogowie! Sześćset strzał naraz!

- Chodu!!! - ryczała Achaja. - Wychodzić spod ostrzału!!!

Ktoś wpadł na kogoś tuż obok. Usłyszała charakterystyczny cichy odgłos miecza uderzającego o pancerz. Dym rzedniał na szczęście. Wytrzeszczając oczy aż do bólu można było dostrzec słabe ogniki... To płonął las po lewej. Nie udało się go zgasić czarodziejskimi sztuczkami... Przynajmniej taka satysfakcja.

- Oddział! Do drugiej kompanii... Przebijać się!!!

Sześćset strzał z kuszy! Już słyszała ich zabójczy świst! Pociągnęła czarownicę i upadła na ziemię, zwijając się w kłębek. Co za upiorny świst... Coraz bliżej! Skuliła się. Znowu większość zatrzymała się na drzewach, ale... Nowy morderczy deszcz opadł na ziemię. Wyraźnie stepił atak mieszkańców lasu. Nikt nie lubi ginąć nie widząc sprawcy swojej śmierci! Makabryczny atak został spowolniony! Nie było już krzyków mordowanych dziewczyn. Żołnierki ukrywały się za tarczami, pod ciałami koleżanek... one wiedziały skąd strzelają, atakujący nie!

- Teraz!!! - ryknęła Achaja. Dym rozwiewał się. - Do drugiej kompanii... Biegiem!!!

Szarpnęła za włosy Arnne i pociągnęła ją za sobą. Ktoś biegł z boku. Słyszała wyraźnie. Atakujący uderzyli z tyłu. Znowu krzyki. Te potwory naprawdę widziały po ciemku! To już po nas... Dym rzedniał na tyle, że można było zobaczyć pożar w całej okazałości. Już po nas... pomyślała Achaja. Nawet nie wyciągnęła miecza.

- Kurwy!!!! - rozległo się z tyłu. - Teraz was widzimy... Odwróciła się. Harmeen na czele nietkniętego plutonu

zwiadu szykowała żołnierzy do strzału. Pomysł ze spłoszeniem koni musiał wypalić, poza tym były z tyłu... trzydzieści pocisków z kusz uderzyło w atakujące cienie! Chwilę później sześćset strzał ze straszliwym świstem przecięło powietrze, większość w drzewa, ale te, które się przedostały... uderzyły w to, co znajdowało się w miejscu, które przed chwilą zajmowały resztki trzeciej kompanii... Achaja potrzęsła głową. Desperacka, zabójcza taktyka piechoty przynosiła jednak efekty. Miały chwilę oddechu, przeciwnik był zdezorientowany.

- Harmeen! Bosko to zrobiłaś, laleczko!!! - krzyknęła. - Piechota! Do drugiej kompanii... Macie na to tylko moment, siksy!

To, co żyło jeszcze i mogło choć jako tako się poruszać, runęło w stronę takiego ślicznego widoku... Stu kobiet w półpancerzach, klęczących za swoimi tarczami, z wystawioną kuszą i lewą nogą, tą w metalowej nagolennicy...

- Tu trzecia kompania! Nie strzelajcie, koleżanki! Kilkanaście osób, w większości rannych, wpadło pomiędzy

tarcze. Kapitan, dowódca drugiej kompanii, była zszokowana.

- Bogowie... tylko tyle was zostało?

- A skąd... - warknęła Achaja. - Reszta rżnie w karty tam dalej!

- Bogowie...

- Zrób przejście dla zwiadu i wyślij patrol, żeby zebrać rannych, złotko. Albo nie... - zmieniła zdanie. - Stracimy patrol.

- A pułkownik?

- Nie wiem.

Przerwały, bo pluton zwiadu z kilkoma ocalałymi saperami dołączył do kompanii.

- Harmeen! Powinni cię mianować bogiem za to, że utrzymałaś zwartą jednostkę! Lanni! Jesteś najfajniejszą dupką wśród oficerów! Jesteście świetne! Jesteście najlepsze!!!

- Yyyyyyyyyeaaaaaaa!!! - zawył pluton.

- Nauczyłyśmy ich czyścić nam buty! - krzyknęła Bei i wyciągnęła rękę, w której trzymała uciętą głowę potwora... Niby człowiek, ale z kłami, wyraźnie wystającymi spod warg, i jakby bez oczu.... - Jesteśmy elitarną jednostką! - wrzeszczała. - Jesteśmy najlepsze!!!

Piechociarki na widok uciętej głowy zaczęły wyć.

- Brawo zwiad!!! Fajnie!!!

- Bei!... - krzyknęła Achaja. - Jak mi załatwisz drugą taką głowę, to zostaniesz kapralem!

- Ty mnie, szlag, od razu mianuj generałem. Dostaniesz sto takich głów, mała! Specjalnie dla ciebie...

Nastroje w piechocie zaczęły się poprawiać. To, że nie każdy poddawał się panice, działało kojąco. To, że ktoś potrafił żartować w tym morzu trupów, ustawiało powoli rzeczy na ich właściwych miejscach. I to kto? Mała Bei... Szesnastoletni żołnierz Arkach.

- Pani major... - kapitan podeszła z boku - ...zaraz uderzą.

- Wiem. Spróbujemy przenieść strzały tych dwóch batalionów na nasze pozycje. Niech żołnierze kryją się za tarczami. Potem będzie korytarz...

- Wiem o tym korytarzu - powiedziała kapitan. - Pułkownik się dogadała z majorem, ale czy wejdą w głąb na tyle, żeby umożliwić nam przejście, to wątpię! Wątpię po tym, co widziałam...

- Co pani widziała?

- Źle się wyraziłam. Raczej słyszałam... - Kapitan zaklęła szpetnie. - Słyszałam zagładę całej pierwszej kompanii. Nikt nie został przy życiu. Myśmy były w ryglu i w ruchu, a potem batalion zaczął szyc i się nam udało... Przypadek.

- Zdaję sobie z tego sprawę. W najgorszym razie niech każdy biegnie w stronę korytarza. To trochę jak rzut kością. Ale... na miejscu przeciwnika zakleszczyłabym naszą pozycję od strony wyjścia z lasu i uderzyłabym z tyłu albo z boku. Tyle tylko, że oni nie mają pojęcia o planowanym korytarzu. Oddział zakleszczający dostanie w plecy zniemacka! Tego nie przewidzą...

- Myśli pani, że znowu pojawi się ten dym?

- Wątpię. Nie mogą go utrzymywać zbyt długo. A poza tym mają tu bardzo małe siły.

- Bardzo małe? Bogowie!

- A jak pani myśli? Nie mają tylu ludzi, żeby utrzymywać większe oddziały na całej granicy lasu. Dam sobie rękę uciąć, że nie atakuje nas więcej niż stu żołnierzy! Trochę już poszarpanych...

- Stu???

- Może stu trzech? - zażartowała Achaja. - A może tylko pięćdziesięciu...

Podeszła do ocalałych saperów.

- Możecie coś rozpałić?

- Pożar we własnej dupie! - mruknęła osmolona porucznik z pierwszego plutonu. Cud, że ocalała.

- A te pochodnie z magnezu?

- Nie rozpałiły się! - Machnęła ręką. - Zostały nam trzy...

- No, to...

- Nie mamy już rozżarzonych prętów. Nie mamy pieców. Wszystko zawiodło.

- Ty mi, kurwa, tak nie odpowiadaj, dupo! Rozpal ognisko i spróbuj rozżarzyć miecz albo własny nos, idiotko!

- Bo co? Sąd polowy mi tu zrobisz???

- Nie... - Achaja przystawiła jej do twarzy metalową rękawicę. - Tak cię pierdolnę w mordę, że się posikasz nosem!

Achaja wróciła do kapitan.

- Dobra. Zaraz naprawdę zaatakują. Niech pani przekaże, żeby dwa bataliony strzelały w nasze pozycje. Potem korytarz.

- Tak jest! - Po chwili rozległ się modulowany dźwięk gwizdka.

- Kryć się pod tarczami, dziewczyny!!!

Ktoś się przedzierał do stanowisk oficerów. Jakaś porucznik usiłowała zatrzymać intruza.

- Mam tajne materiały wywiadowcze! - krzyknęła Shha, osadzając młodszą oficer. - Rozkaz samej Królowej!!!

Trudno było jej nie przepuścić. Sierżant przypadła do Achai.

- No, więc Chloe nigdy nie wyobrażała sobie siebie samej nago na drodze, siostrzyczko...

Achaja o mało nie ryknęła śmiechem. W takiej chwili! Miała ochotę pocałować swoją sierżant.

- Ale wiesz... Śniła raz, że jest w karczmie... I przychodzi taki jeden facet i ją rozbiera przy wszystkich i... no, wiesz...

- Dzięki, Shha! Bardzo mi pomogłaś.

- No, nie ma sprawy, siostrzyczko. Po to jestem! Achaja popatrzyła za odchodzącą sierżant. Szlag! Może i

była głupia. Może nie nadawała się na nic więcej niż sierżant w jednostce specjalnej... Ale z całą pewnością była najlepszym człowiekiem, jakiego spotkała Achaja na swojej drodze...

Nie mogła jednak sobie darować pewnej małej satysfakcji. Podeszła do Arnne i szepnęła:

- A wracając do tej pani wizji...

- Do błysku?

- Tak - Achaja nachyliła się bliżej. - Nie widziała pani samej siebie w karczmie...

- Nie! - przerwała jej tamta.

- Chwila... Siedzi pani w karczmie i w pewnej chwili przychodzi taki strasznie przystojny mężczyzna... I... podchodzi do pani. I... rozbiera panią, tam, na oczach wszystkich. I... No, wie pani...

Z satysfakcją obserwowała rozszerzające się oczy tamtej. Czarownica niczego nie powiedziała. Przełknęła ślinę. Potem oblała się rumieńcem.

- Ty świni! - szepnęła wreszcie.

Achaja dopiero teraz zdała sobie sprawę, że słucha ich kapitan stojąca tuż obok. Wyraźnie widziała minę oficer piechoty. „Ten zwiad to ma naprawdę porąbane w głowie!!!!”.

- Fajnie było? - szepnęła jeszcze do czarownicy.

- Z czym?

- No, z tym facetem w karczmie?

- Ty suko jedna!

Świst nadlatujących strzał przerwał na szczęście dalszą wymianę zdań. Achaja przyskoczyła do żołnierza piechoty, usiłując się ukryć pod jej tarczą. Dziewczyna zrobiła jej trochę miejsca, wystawiając swoją nogę, tę w nagolennicy. Uśmiechnęła się nawet, choć ciągle szczękając ze strachu zębami. Strzały uderzyły w ziemię. Kilkanaście zagrzechotało w nadstawione tarcze.

- Atakują!!! - krzyknęła kapitan. - Spokój! Spokój!

Tak jak przewidziała Achaja, oddział zakleszczający pojawił się od strony wyjścia z lasu. Atak wyprowadzono z boku. Kilku żołnierzy padło od strzał, ale reszta trzymała się w szyku, kiedy coś rąbnęło o tarcze. Widoczność znowu się pogorszyła, tym razem z

powodu naturalnego dymu od wznieconego przez wojsko pożaru lasu. Sześćset nowych strzał z ubezpieczających batalionów poszybowało w niebo. Te, które przeszły przez gałęzie drzew, tym razem idealnie uderzyły w oddział zakleszczający. Aaaaaaaach! Dwa bataliony, które- nawet nie widziały przeciwnika, zrobiły większe spustoszenie niż wszystkie dotychczasowe akcje! Ilość! Ilość! Kurde, tu się nie liczy, który żołnierz lepszy, który ma cudowne zdolności... Ilość, taktyka użycia sprzętu, konsekwencja i regulamin! Śmierć przeszła przez szeregi wroga, robiąc wielkie wyrwy wśród cieni! Tak właśnie stało w instrukcji! To nie czary, to instrukcja użycia sześciuset kusz w taktycznej skali kierowała krokami śmierci! Achaja zerwała się nagle.

- Strzelać!!!

Piechociarki wypaliły do atakujących cieni. Zza tarcz, celując spokojnie i regulaminowo wstrzymując oddech przy ściąganiu spustu. Aaaaaach! Boli was, potwory? Kompania piechoty wstała nagle, wyciągając miecze.

Gwizdy oficerów powstrzymały ostrzał własnych pozycji z zewnątrz. Krzyki z daleka wskazywały, że dwa bataliony runęły do ataku, usiłując otworzyć korytarz. Operacja, z grubsza przynajmniej (nareszcie!), zaczęła przypominać to, co opisywano w instrukcji działań piechoty.

- Pluton A, klin na czołe! Pluton B, rygiel wsteczny po lewej! Pluton C, rygiel wsteczny po prawej! Pluton zwiadu ubezpiecza lewe skrzydło!!! - Achaja ruszyła z żołnierzami. Tę taktykę pamiętała jeszcze z nauk pobieranych w Troy, choć tam były inne jednostki.

Dostały strzałami z lewej. Kilku ludzi upadło, ale była na to przygotowana. O kurde! Nareszcie jak w podręczniku!

- Pluton B, tarcze w górę, siłę uderzeniową zapewnia pluton zwiadu!

Kapitan piechoty też poczuła, że jednak mają jakąś szansę! Krzyki daleko z przodu świadczyły, że korytarz właśnie się otworzył. Trójkąt utworzony przez drugą kompanię piechoty atakował swoim najszerszym bokiem wprost na majaczące w ciemności cienie! Szlag! Taki maleńki momencik... taka krótka chwilka, kiedy wojna wydawała się piękna! Z prawej pożar lasu, z lewej wzmocnienie dodatkowym plutonem, z przodu pierzchające cienie, a przed nimi pierwsze błyski pochodni dwóch batalionów wsparcia!

- Yyyyyyyyyeaaaaa!!!! - zaczęła wrzeszczeć kompania. Żołnierze, jeszcze nie tak dawno przestraszeni, zszokowani wrogą akcją i utratą tylu koleżanek, teraz atakowali jak pancerny taran, jak sama wściekłość. Już blisko! Już blisko! Jeszcze kilkadziesiąt kroków i wpadną w ramiona całych, całusiękich, świeżutkich dwóch batalionów! Jeszcze trochę!

Wróg jednak nie był ani głupi, ani pokonany. Dostały taki ostrzał z lewej, że linia zaczęła pękać. Strzały nie mogły co prawda przebić ani tarcz, ani nawet nagolennic, ale obcy strzelcy musieli być

półbogami! Pluton B stracił połowę stanu na przestrzeni jakichś dziesięciu kroków...

- Kurwa, zatrzymają! - warknęła kapitan.

- Widzę - syknęła Achaja. - Niech pani weźmie saperów i resztki trzeciej kompanii, proszę sformować pluton i wesprzeć lewe skrzydło.

Jeszcze pięć kroków. Dosłownie pięć. Pluton B właściwie nie istniał. Żołnierze zwiadu kładli się na ziemi strzelając z kusz.

- Całość staaaaa!!!! Lewy zwrot! Tyłem do ognia, przodem do wroga, przykłąk, pozycja powstrzymująca.

Piechociarki mało nie wyły z wściekłości. Tak mało ich dzieliło od dwóch świeżutkich batalionów! Tylko Achaja i kapitan piechoty wiedziały, że rozsmarują ich na dystansie o połowę krótszym.

Rygiel zresztą nie udał się tym razem. Dostały ostrzał z tyłu, plutony mieszały się fatalnie, stając się jeszcze lepszym celem. Harmeen wyprowadziła zwiad poza linię, dziewczyny odpaliły z kusz, niezbyt celnie, wróciły szybko za porządkowane przez kapitan szeregi. Dosłownie chwile dzieliły je od ataku dobrze już ustawionego wroga. Na twarzach piechociarek, które co chwilę zerkwały na oficerów, odbijało się to samo pytanie. Dlaczego nie biegniemy? To tylko kilkadziesiąt kroków. Dlaczego nie biegniemy do naszych? Achaja jednak służyła w górskiej dywizji, w lesie. Wiedziała, że kilkadziesiąt kroków biegu wśród drzew może być zagładą oddziału. Pani kapitan nie służyła w lesie... Wiedziała jednak również, że mają cień szansy tylko jako choć w miarę zorganizowana jednostka. Jeśli puszcza dziewczyny do bezładnego biegu... Może dwóm, trzem się uda... A może i nie. Obie, Achaja i kapitan, usiłowały uporządkować plutony, wiedząc dobrze, że tylko za twardą linią będą mogły doczekać czołówki korytarza. Nie było sensu porównywać poharatanej kompanii z dwoma batalionami. To tamci powinni się ruszać. Dziewczyny jednak, dość dobrze zdyscyplinowane do tej pory, zaczęły dawać odpór oficerom. Strach, szok i wściekłość o to, że nie pozwalano im przebiec tych kilkadziesiąt zbawczych, jak sądziły, kroków, sprawiały, że oddział coraz bardziej się rozpręgał.

- Pluton zwiadu, dziesięć kroków w tył! - warknęła Achaja przez zaciśnięte zęby.

Na szczęście Harmeen nie straciła nerwów. Zrozumiała, co jej dowódca ma na myśli. Cofnęła pluton zwiadu poza własne linie.

- Kuszeeee... ładuj!

Trzydzieści strzał wylądowało na łożach.

- Kolbyyyyyyyy... o biodrooooo... oprzyj! Dziewczyny ze zwiadu zacisnęły zęby. Już wiedziały! Na

rozstawionych nogach mierzyły wprost w plecy koleżanek z piechoty. Piechociarki zrozumiały w chwilę później.

- Kurwy! Suki! Tchórze... Nie zrobicie tego, co? Koleżanki... - rozległy się okrzyki.

- Do strzaluuuuuuu... gotuj się! - wrzasnęła Harmeen. Dziewczyny ze zwiadu patrzyły to na nią, to na Achaję.

Piechociarki były o włos od odwrócenia własnych tarcz, ale w przypadku kusz i tak małej odległości, niewiele by im to dało. Zresztą... W plecach miałyby wtedy strzały wrogów z lasu. Kapitan piechoty wskoczyła między pomieszane szeregi.

- Linię formuj!!! Równaaaaaj!!!

- Dzięki, Harmeen - szepnęła Achaja, widząc, że zdecydowana, choć tak strasznie wredna akcja zwiadu, przynosi jednak efekt. Linię klęczących za tarczami piechociarek udało się sformować. Resztki saperów i trzeciej kompanii, które ciągle tkwiły w środku ich oddziału, usiłowały wesprzeć najbardziej poszarpane lewe skrzydło. Ale nikt ich nie atakował.

Wrzaski, szcęk metalu i gasnące pochodnie powiedziały wszystkim, że oddziały przebijające korytarz zostały zatrzymane.

- No to... chyba już po nas. - Kapitan piechoty dołączyła do Achai i Harmeen. - A może rzeczywiście zaczniemy biec?

- Ile pani przebiegnie? Dwadzieścia kroków?

-No to róbmy jeża i chodźmy... Kurwa!!! -Pani oficer naprawdę była doświadczona. Jeż w wykonaniu kompanii mógł mieć szansę... Na równym, bezleśnym polu. - No, to..., biegnijmy przez ogień z tyłu, co?

- Ile pani przebiegnie w płonącym lesie? - spytała tym razem Harmeen. - Dziesięć kroków?

- Kurwa, zróbmy coś! Przecież szło już tak dobrze... Może niech jazda ruszy?

- Jazdą w lesie tośmy się zajmowały w górskiej dywizji - mruknęła Achaja. - Jeden pluton potrafił powstrzymać atak jazdy na nasz pułk.

- To co? Stoimy i czekamy?

- Możemy się modlić - mruknęła Harmeen.

- Albo tamte bataliony się przebijają, albo nie - dodała Achaja. - Jak nie... To niech każdy robi co chce! Bez znaczenia...

- Nasi wrogowie musieli ściągnąć posiłki - powiedziała Harmeen. - Nawet bez dymu, nawet w lesie, zatrzymanie dwóch batalionów...

- Skąd wiesz, co tam się dzieje? Może, kurde, przybliżymy się do tego pożaru?

- To nam tyłki spłoną! Szlag! Cemu nie atakują?

- Zajęci z przodu. Spoko, spoko, zaraz nas rozwalą...

- Achaja otarła twarz z potu. - Pani kapitan... Co przewiduje podręcznik piechoty w takiej sytuacji?

- Jeśli oddział zachował zdolność bojową, należy ruszyć do ataku!

- O, żesz... Kto pisał ten podręcznik?

- Pewnie jakieś krówska siedzące w zimową noc przy kominku, z dużą wódką w jednej ręce i piórem w drugiej!

- Podręcznik pisali mężczyźni... - wtrąciła Harmeen.

- Pan Biafra nakazałby teraz atakodwrot ze szczególnym uwzględnieniem zdecydowanego natarcia i panicznej ucieczki...

- Mamo, co to znaczy?

- Pewnie nic. Ale każdy facet, jak nie wie, co zrobić, to mówi sprzeczności...

- A kobieta mówi sprzecznościami nawet jak wie, co robić... - zakpiła Achaja.

- Ty co? Jesteś chłopak przebrany w kieckę, że trzymasz z nimi?

- Jakbym wiedziała, co zrobić, to bym tu nie sterczała jak dupa wystawiona na kopniak!

Wrzaski i odgłosy bitwy cichły wyraźnie. Ponieważ było nieprawdopodobne, żeby ktoś tak szybko pokonał dwa bataliony, więc znaczyło to, że bitwa oddala się. Piechota była spychana, albo realizowała jakiś manewr. Wychodziło na jedno.

- No, to po nas... koleżanki.

- No! - Achaja splunęła i zaklęła. Podskoczyła do swojego plutonu. Szybko odnalazła sierżanta: - Słuchaj, Shha, żegnaj siostrzyczko...

- Już żeśmy się żegnały, jak cię Virion chciał zabić... Teraz też nie dadzą rady!

- Teraz dadzą, siostrzyczko - szepnęła. - Pamiętaj... jak się zacznie, trzymaj się największej grupy i biegnij do naszych. Wiesz, jak jest w lesie. Bogowie strzały noszą! Cię szansy masz!

- Nie pójdę bez ciebie, malutka!

- Pójdziesz. Ja też będę biegła, ale... jak będziemy na siebie patrzeć, to nas obie skoszą. Daj, małpeczko, z siebie wszystko, co?

- No, nie ma sprawy... Jeszcze się napijemy razem! Na pohybel tym skurwielow!

-No! Cześć, dziewczynko...

- Cześć, malutka. Trzymaj się i nie pękaj... Achaja wróciła do oficerów.

- I co?

- Jakieś cienie zbierają się chyba. Gównu widać - mruknęła kapitan piechoty.

- Arnne? - Achaja podeszła do czarownicy. Ta jednak siedziała na ziemi z podkulonymi nogami, obejmując rękami kolana. Była kompletnie załamana. - Słuchaj... czujesz coś poza ciężarem bytu?

- Nic! Odczep się wreszcie! Achaja wróciła do oficerów.

- No, to co... Biegniemy?

- Trzeba to było zrobić wcześniej! - warknęła kapitan piechoty.

- Wcześniej? Nie... Zaczekamy, aż nas zaatakują. Wtedy żołnierze przeciwnika pomieszą szyki ich łucznikom. Ze dwie, trzy dziewczyny będą miały swoją szansę. Inaczej by nas wymietli strzałami!

- Może i ma pani rację... - zreflektowała się kapitan. - Zapowiedzieć ludziom?

- Nie. Po co dezorganizować... Jak pani ryknie: „Chodu!” w odpowiedniej chwili, wszystkie pojma!

Stały niepewne, obserwując ledwie widoczne pomiędzy drzewami cienie. Pożar za plecami dawał trochę światła, ale... bardziej mamił wzrok, niż pozwalał coś dojrzeć wyraźnie. Achaja usłyszała z tyłu cichą uwagę rzuconą przez porucznik saperów:

- No, ładnie! To teraz jesteśmy same, mając za jedyną osłonę tę śliczną dupeczkę ze zwiadu! Niech im powie, kurwa, że jest księżniczką, może przepuszczają...

Achaja potrząsnęła głową. Była odpowiedzialna za tych ludzi? Po raz pierwszy w życiu poczuła ciężar dowództwa. Właściwie nie była, ale... Była. Miała najwyższy stopień. Była. Trochę inaczej to wyglądało naprawdę niż podczas studiowania podręczników w pałacu w Troy. Jakie to wtedy było łatwe... Poświęcić setkę dla osłony skrzydła, puścić korpus do frontalnego ataku - przewidywane straty czterdzieści od sta, w tej formie działań. A jak się szło z tymi ludźmi? Co wtedy znaczyło czterdzieści od sta? Albo, jeszcze lepiej, sto od sta? Ile od sta znaczyła Shha, Mayfed, Zarrakh, Lanni, Harmeen, Bei, Shar-khe, Chloe i ta, fajna w sumie, kapitan piechoty? Ile od sta znaczyła ta nieznana piechociarka, która pozwoliła jej się ukryć pod swoją tarczą, wystawiając przy tym własną nogę... Psia-mać... Przypomniała sobie Viriona, który śmiał się w jej głowie. Przypomniała sobie Krótkiego. Hekke mówił: „Uczyłem cię tego, co uczyłem... Ja jednak stanąłem naprzeciw Nolaana! Bez żadnych szans!” No, dobra, chłopaki! Może i wiem, co chcecie mi powiedzieć... Tym swoim śmiechem, milczeniem i przypomnieniem bezsensownej walki z Nolaanem. Może i wiem!

- No, dobra, dziewczyny! - wyszła na środek małej przestrzeni zajmowanej przez oddział. - Zaraz zaczniecie biec. Rzucać wtedy tarcze. Rzucać kusze... Miecze musicie mieć ze sobą. Walcie do naszych batalionów i powiedzcie... Niech podpalają to kurestwo. Nie wiem, ilu się uda! Ale może...

Harmeen podniosła pytający wzrok. Kapitan piechoty zmęła przekleństwo. Uśmiechnęła się nagle.

- No, to teraz... wóz albo przewóz, co?

- Ano, jak mówią... strzały bogowie noszą. Nie sądzę, żeby bogom chciało się dzisiaj biegać za szybko po ciemku!

Ktoś się roześmiał. Achaja wyciągnęła swój miecz.

- A pani - zerknęła na usmoloną porucznik saperów - musi biec również... Mając za jedyną osłonę „śliczną dupkę ze zwiadu”!

Odwróciła się na pięcie, roztrąciła szereg i wyszła wprost na rozpędzające się właśnie do ataku cienie.

- No co, kurwa?! - ryknęła. - Co tak po ciemku biegniecie???

Skoczyła do przodu. Walczy tylko ciałem, mówił Virion. Cios... uuuuuuu... ładnie! Czyjaś ręka szybowała w powietrzu, zupełnie odłączona od ciała, którego jeszcze przed chwilą była częścią. Upadła na plecy, odbiła się i chlasnęła płasko. Nie trafiła. Walczyła, naprawdę nic nie widząc. Upadła znowu. Odbiła się, nowy cios, w próżnię! Zamach nogą, zwód, cios. Jest! W coś trafiła. I nie było to drzewo - za miękkie! Ktoś skoczył na nią od tyłu, więc poddała się, upadła, przygniatając go własnym ciężarem, uderzyła oboma łokciami w tył, żebra nie mogły być tak wytrzymałe. Na pewno pękły! Odbiła się. Kurwa, żeby widzieć cokolwiek! Przy takim machaniu na oślep, nawet jej brakowało już oddechu. Tamci mieli jednak

pecha. Ktoś wpadł na nią od przodu. Przytuliła go... Mocno! Pewnie już nie wstał. Dostała mieczem w bok. Syknęła z bólu. Miała jeden skurcz, w łydce - spokojnie... Kucnęła, obrót, zwrot (to nie balet - pamiętaj!), walnęła mieczem w pustkę... Walnęła lewą ręką, trafiła! Ten ktoś miał pecha z powodu żelaznej rękawicy. Dostała w plecy! Ból, szok, ciepło, odwinęła się, nie trafiła, dostała znowu w bok, ciepło, odwinęła się, nie trafiła. Znowu upadła na plecy, płaskie zawinięcie, pustka, tamci naprawdę widzieli w ciemności, ona nie! Wstała, dostała w nogę, lewe udo, o mało nie usiadła na ziemi. Kości jej nie złamali! Odbiła się lekko i ciachnęła płasko. Znowu nie! Sukinkoty uchylały się przed jej horyzontalnymi zamachami! Nie, to nie. Zarobiła w pupę... szlag! Odwinęła się. Pustka. Rzucała się w bok, coś walnęła nogą, ale co?

Nagle stał się cud. Porucznik saperów, zamiast biec, pokazała jednak, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu! Rozpaliła magnezjową pochodnię! W upiornym, nieprawdopodobnie białym świetle zobaczyła ich... a właściwie je... nagie kobiety z mieczami, bez oczu. To już po was, dziewczyny! Skoczyła do przodu. Były naprawdę niezłe. Wszystkie uskokowały! Poza tą, oczywiście, którą przebiła Achaja! Zwrot, wyrwała miecz, zarobiła cios w bok, psiamać, trzeci w to samo miejsce! Płaski zamach... Tym razem ofiara nie zdołała go uniknąć! Achaja padła na plecy, widząc dziesiątki albo setki strzał szybujących na porucznik saperów. Szlag! Odbiła się z pleców, doskoczyła, szybki cios mieczem. Jedna mniej. Szybki cios żelazną rękawicą, trafiła, poprawka mieczem, również trafiła.

Porucznik musiała upaść. Blask zmniejszył się. Potem ktoś musiał zasypać pochodnię ziemią. Znowu kompletna ciemność. Achaja zarobiła w brzuch. Pochyliła się. Potem w plecy. Ale boli! Auuuuuuuuu! Szlag! Odwinęła się, nie trafiła. Dostała w bok, ale drugi. Jak ciepło i miętko...

- Daj im wycisk, siostrzo! - usłyszała krzyk.

Nad jej głową znowu pojawiło się światło. To Arnne, płacząc jak dziecko, stała z tyłu, unosząc ręce. Płakała, była zasmarkana, prawie nieprzytomna ze strachu, ale sprawiła, że Achaja znowu mogła coś dostrzec. Straszny pech... dla dwóch obcych, którzy stracili życie zanim zrozumieli, co się dzieje.

Ktoś rzucił się na nią z boku. Lekki zakrok. Tylko pięć skurczów. Cios. Trup. Coś eksplodowało w jej głowie. Straciła wzrok! Nie, nie... tylko jedno oko! Usiłowała zetrzeć krew z twarzy, ale zapomniała, że na lewej dłoni ma żelazną rękawicę - tylko powiększyła ból. Znowu dostała w plecy, posikała się! Kurwa! Jednak! Skoczyła do przodu, przewróciła się, podłożyła komuś nogę i gdy padał, nadstawiła miecz. Teraz już wiecie, co to jest szermierz natchniony???

Usłyszała dalekie krzyki. Dwa bataliony pewnie znowu ruszyły do ataku. Ale ona, nawet gdyby ją puścili, nie mogłaby już nigdzie biec... Nadziała na sztych kolejnego napastnika. Dostała w lewe udo... Szlag! Aż ją obróciło! Teraz to już na pewno złamana

kość. Upadła. Już się nie podniesie. Trudno. Uderzyła kogoś prawą nogą. Nie przewrócił się, świnia! Światło nad jej głową zgasło, ale za to pożar lasu był coraz większy! Płomienie rozświetlały gałęzie, nadając im jakieś zupełnie nieprawdopodobne, fantastyczne barwy. Tak kolorowo! Było tak kolorowo... Dobrze, że nie biegła do tamtych batalionów... I tak nie było szans, a tu jest tak pięknie... Kurde, nie śpij! Nie śpij!!! Zarobiła znowu w plecy. Ale głęboko! O mało nie zwymiotowała. Usiłowała się przewrócić i dostała znowu w brzuch. Jakoś nisko. Właściwie w podbrzusze. Ale pięknie... Ale ślicznie jest wokół. Jakie wspaniałe kolory, pełgające ogniki. Jaki śliczny jest świat! Jaki śliczny!!! Dostała w plecy, gdzieś pod łopatkę, płytko. Syknęła z bólu. Co za niesamowite barwy! Żeby tylko tak nie bolało... Dostała cios w lewą rękę. To się przeliczyli, idioci. Tam nic nie czuła. Patrzyła jednym okiem na lejącą się krew. Było jej ciepło. Aż się spociła. Odwróciła się na wznak. Wbili jej miecz w brzuch. I co mogła zrobić? Taki piękny ognek pełgał na ostrzu... tak błyszczał. Ktoś nachylił się nad nią.

- I co? Myślisz, że już po mnie? - szepnęła tak cicho, że nie mogli jej słyszeć. - Że już jestem załatwiona?

Czuła, jak po brodzie cieknie jej krew. Nie śpij! Nie śpij! Nie śpij jeszcze!!! Wygięła kręgosłup, nie mogła już unieść miecza, ale wyszarpnęła nóż i wbiła w szyję tego czegoś, co się nad nią nachylało. Dostała w twarz, samym ostrzem, poczuła, jak krew jej własna i jej ofiary zalewa jedyne oko. Usiłowała przekręcić się na brzuch, dostała znowu w plecy. Zwymiotowała gwałtownie. Ktoś uderzył ją w prawy nadgarstek, usłyszała, jak chrupnęło... Ale, kurwa, pięknie, tak czerwono! Dostała w nogę, potem znowu w plecy. Zwymiotowała jeszcze raz, samą krwią i śliną. Rozkaszała się, zaczęła płakać... Nie wiadomo dlaczego, wcale nie było jej smutno.

Ktoś kucnął tuż obok. Jak przez mgłę widziała czyjeś kolana, stopy, brzuch...

- Ale wybiła naszych... - z wyraźnym podziwem. Ledwie mogła zrozumieć słowa, tak dziwny był akcent.

- Zdechła?

- Nie... Dobij szybko!

- Ty... - poprosiła Achaja ledwie słyszalnym głosem - obetrzyj mi twarz... Nic nie widzę.

- Jeszcze gada! No, dobijcie ją!

- Po co? Zdycha już...

Nie czuła, jak coś dotyka jej twarzy. Nie czuła już prawie niczego. Zauważyła szmatę, którą ktoś ścierał jej krew. Coś jednak widziała. Szkoda, że tylko jednym okiem.

- Powiem wam... - Rozkaszała się. Pulsowało jej w głowie. - Wiecie, że zwycięża się... nawet... - Znowu zwymiotowała i o mało się nie udusiła. Zaczęły jej się zwidywać jakieś archaiczne, nieprawdopodobnie oświetlone miasta sprzed tysięcy lat. Było żółto, ślicznie, szczęśliwie... To już nie drzewa. To antyczne budynki wyrastały wokół. - Nawet jak... nie można już... niczym ruszyć?...

Widziała wszystko jak przez mgłę. Jedyne zarys postaci, która kuciała tuż obok. Teraz musiała zebrać wszystkie siły.

- Pomóż mi, siostrzyczko - szepnęła.

- Teraz o łaskę prosisz... Co?

- Nie... Chcę cię zabić... Szczerze mówię, jak jest!

- Zdychasz, obca! Niczym już ruszyć nie możesz!

- Ale ciebie jeszcze zabiję...

- Zesrasz się! To tak!

Nie śpij! Nie śpij! Takie piękne miasta zamiast drzew... Nie zasypiaj jeszcze!, łajęła się w myślach. Ugryzła się w język. Z całej siły! Poczuła krew w ustach. Ból otrzeźwił ją trochę. Ale ciepło... Płacząc, wyciągnęła przed siebie lewą rękę i oparła o brzuch tamtej. Na nic więcej nie było jej już stać.

- To najbardziej wulgarny gest u nas! - szepnęła.

Tamta usłyszała. Uwierzyła. Z całej siły uderzyła dłonią we wnętrze żelaznej rękawicy, żeby ją odrzucić... Sprężynowy mechanizm zadziałał, wbijając długie ostrze prosto w jej brzuch!

- Cha, cha, cha... - Achaja przekręciła ręką jak mogła najszerzej. -No i co, krowy?

To był jej ostatni wysiłek. Usłyszała, jak ostrze miecza przebija jej płuco. Nie czuła już niczego. Odpywała gdzieś w ciemność... Daleko!

Obudziła się z krzykiem! Właściwie nie krzykiem, ale wyciem, jakimś zwierzęcym skowytom, dochodzącym skądś z głębi trzewi! Ile ciosów zarobiła? Bok, kilka razy, plecy, kilka razy, brzuch, co najmniej dwa ciosy, przebito jej płuco, twarz, wybito oko, dostała w tyłek, zgruchotali jej prawy nadgarstek, złamali kość udową i... szlag! Pewnie jeszcze parę innych cięć, których nie pamiętała...

Jeśli więc obudziła się po czymś takim... Znaczy to, że nie żyje. O, mamó! Co teraz? Usiłowała się nie ruszać. Co z nią zrobią bogowie? Kraina Wiecznego Płacz? To głupie tak leżeć bez ruchu... mimo wszystko.

Otworzyła oczy. Ale szaro! Jednolita prawie szarzysta, bez większych błysków światła, bez czerni, bez bieli... Szarość. Zaraz... Oczy? Naprawdę otworzyła oczy? Dotknęła dłonią powiek. Miała obydwie? Przecież jedno jej wybito! No, tak... Ale teraz już nie żyje. Jasne. Poruszyła palcami lewej dłoni, tymi, które przedtem, za życia, były nieczynne. Oczywiście mogła nimi ruszać. Ruszać palcami lewej dłoni... Pewnie. Skoro już nie żyła. Czemu nie?

No, ale... Powinna płakać. Kraina Wiecznego Płacz! Dlaczego nie płacze? Nie wiedziała. Nie było jej smutno. Zerknęła w bok. Jakieś rośliny (takie strasznie szare), trawa, małe krzaki (ale jakieś... bez koloru), coś lazło po jej nagim biodrze. O kurde blade!!! Żuczek! Normalny żuczek lał po jej gołym tyłku! Czy on też umarł? Czy w krainie zmarłych też są żuczki?

Coś ją zaswędziało. Odruchowo podrapała się w policzek.

- Auuuuuu!

Zobaczyła na rękę krew. Swoją własną. Co??? Zamknęła oczy, potem otworzyła je znowu. Oż kurwa mać! Zamiast normalnych paznokci miała wielkie szpony! Krogulcze pazury jak u dzikiego zwierza! No, ładnie... Gdzieś czytała, że według jednej z teorii człowiek, który za życia wyrządził wiele złego, po śmierci zostanie zamieniony w demona! No, to ją załatwili bogowie! Była demonem...

Gorączkowo obmacała własne stopy, ale tam paznokcie były normalne. Dotknęła zębów... Tak!!! Miała wielkie kły. Olbrzymie, zwierzęce kły! No, szlag! Za co? Za co?... Naprawdę nie zrobiła aż tyle złego! No, co wy... Bogowie! Dobra, trochę świństw narobiła w życiu, ale żeby zaraz zamieniać w demona?... Kurde blade, poszaleliście?

Chciała się rozplakać, ale nie mogła. Oparła się na rękę i usiadła. Coś ją uwierało w tyłek, ale nie miała ochoty sprawdzać, co... Popatrzyła na niebo. Aż ją oczy zakłuły od blasku gwiazd. W pierwszej chwili nawet nie zrozumiała, co widzi. Gwiazdy świeciły tak, że wszystko zlewało się w jedną szarą płaszczyznę... No pewnie. Jako demon będzie się teraz bała światła... O, mam! Za co? Co ona takiego zrobiła, żeby karać aż tak okrutnie?

No, szlag! I co teraz? Ma iść straszyć ludzi w pobliskiej wiosce? Po pierwsze, gdzie jest najbliższa wioska? Po drugie, nie miała ochoty kogokolwiek straszyć! No, ale... jako demon musiała. Kurza dupa! I niby jak się straszy? Ukryć się za rogiem chałupy, wyskoczyć na kogoś i krzyknąć: „Uuuuuuuu!!!!”? Nie miała pojęcia. Demon z niej był jak z koziej dupy trąba.

Wstała lekko. Coś otarło się o jej łydkę. Zerknęła do tyłu, ale niczego nie zauważyła. Za co? Za co jej to zrobili? Popatrzyła na swoje szpony, językiem wymacała kły... O, żeby was jasna zaraza wy tłukła! Teraz będzie straszyć dzieci w kołyskach... Jak długo? Kurde, może przez całą wieczność! Zdenerwowała się. Coś uderzyło ją w jedną łydkę i drugą. Odwróciła się gwałtownie. Nic! Zdenerwowała się jeszcze bardziej. Miękkie ciosy w łydki zaczęły się powtarzać coraz szybciej. No, szlag! Odwróciła się jak mogła najszybciej! Nic!!! Coś ją jednak przy obrocie pociągnęło za tyłek, czuła wyraźnie. No, dobra... Sprężyła się. Obrót, chwyt szponiastą dłonią, szybkie spojrzenie... Jęknęła cicho. O mało nie zemdlała... Usiadła na miękkich nogach, trzymając w dłoni swój własny ogon!

Patrzyła tępo przed siebie. Demon... No pewnie. Jak demon to demon. Nie słyszała co prawda, że mają ogony, ale teraz widać, że mają! Zdenerwowała się, ogon drgnął w jej rękę. O, mam... Puściła go. Im bardziej była wkurzona, tym bardziej drgał, tak jakby chciał uderzać to w jedną nogę, to w drugą. Zerknęła jeszcze raz. Był pokryty króciutkim futrem, jak u geparda albo lwa... Zaklęła cicho. Ogon palnął ją w bok i to wcale mocno. O, nie... Została zwierzątkiem! Ale

zaraz... Miała przecież normalne, ludzkie ciało (no, trochę przynajmniej normalne, jeśli nie liczyć kłów, pazurów i ogona)... Zerknęła po sobie. Nie miała żadnych blizn po ranach. Dotknęła tyłka... Uuuuuu! Blizna po wypaleniu niewolniczego piętna została na swoim miejscu. Nie mogła dostrzec, oczywiście, swoich policzków, ale kosząc oczy, zerknęła na nos... Kurewski tatuaż miała w dalszym ciągu!

Czegoś tu nie rozumiała. No, dobra. Została demonem, czy wręcz zwierzęciem, ale... skoro zniknęły wszystkie blizny, skoro odzyskała władzę w rozwalonej ręce, to dlaczego został jej tatuaż i niewolnicze piętno? Bogowie zwracali uwagę na takie pierdoły?

Ostrożnie pociągnęła nosem. Już wiedziała. To coś, co sprawiało, że była ledwie przytomna, to... zapachy! Po raz pierwszy czuła je tak intensywnie! W takim nadmiarze! Tak nieprawdopodobnie mocno!

Jęknęła...

- Ty! Obca! - odezwał się ktoś z tyłu.

Achaja poderwała się na równe nogi. Tuż za nią stała dziewczyna. Kompletnie naga, z ogonem, z kłami jak u tygrysa, ze szponami, bez oczu... Nie! Miała oczy. Ale... Kurde, całe czarne. Bez białka! Jakby same żrenice, jakby dwa węgle włożone w oczodoły. Ale niesamowity widok!

- Ty... - Achaja czuła, że zaraz zwymiotuje - czy... ja też mam takie oczy?

- Mhm - obojętnie skinęła głową tamta.

- O, zesz ty... To dlatego tak mnie razi słońce?

- Jakie słońce? - Akcent tamtej był ledwie zrozumiały. - Przecież jest obsrany środek nocy!

- Jaki, kurwa, środek nocy!!!! Przecież widzę wszystko jak w dzień!

- No... - mruknęła tamta.

Achaja o mało nie zemdlała po raz drugi. O, zesz ty... No... Tamta miała rację. Przecież gwiazdy! Rozejrzała się wokół. Widziała wszystko, drzewa, krzaki, nawet najmniejsze gałązki! Wszystko szare i jakby splaszczone, ale... no tak. Jest noc! Co więc będzie za dnia?

- Coście ze mną zrobiły?

- Ty, obca... - dziewczyna też zdradzała oznaki zdenerwowania - ...ty mnie, gówniario, zabiłaś!!!

- Co?

Zarobiła w twarz pięścią. Aż ją zamroczyło.

- Mówię ci wyraźnie, gówniario... Zabiłaś mnie tamtej nocy! Przebiłaś mi brzuch, a chwilę potem mi, suko, złamałaś kręgosłup!!!

Nowy cios. Achaja zachwiała się na nogach.

- Wiesz, jak to boli, smarkata?! - kontynuowała obca. - Mam ci złamać, żebyś zobaczyła?

- Lepiej nie... - odpowiedziała Achaja dość trzeźwo. - Jeśli mogę prosić!

- Zabiłaś siedem moich kolegów, gówniario pieprzona!!! - ryknęła tamta. - I do tego trzy na zawsze!!!

Achaja odkasznęła.

- Przepraszam.- uśmiechnęła się, niczego nie rozumiejąc.

- Ja ci dam „przepraszam”, suko! Ja ci dam „przepraszam”... -Nie chciałam...

Zarobiła nowy cios, w samo czoło. Aż usiadła na ziemi. Tamta podeszła bliżej.

- A to... - Kopnęła ją z całej siły w twarz. Achaja upadła na plecy, czując, jak z jej nosa wylewa się fontanna krwi. - A to za tę, której obciąłeś rękę!

- Wy też żeście mnie nie oszczędzały... - szepnęła, a potem skuliła się, bo tamta zaczęła ją bić i kopać. Kopała jak muł. Biła jak kafar wodny! Nie do wytrzymania. Odskokczyła lekko.

- Daj mi, małpo, miecz, to ci pokażę! - krzyknęła.

- Gówno dostaniesz, a nie miecz, smarkata! Ile ty masz, suko, lat?

- O... osiemnaście? Dziewiętnaście, chyba...

Tamta złagodniała nagle. Na jej twarzy pojawił się wyraz niebotycznego zdziwienia.

- Jesteś aż tak młoda?

- No... Chyba tak.

- Ty... obca... Nie piernicz, co?

- No, naprawdę mam najwyżej dziewiętnaście! A ty? Ile masz?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Czterdzieści osiem.

- Nie chrzań. Ludzie tak długo nie żyją...

Achaja zarobiła w twarz. Pięścią. Ale tym razem tamta sama się robiła. Walnęła w kiel, rozorała sobie skórę na dłoni i teraz wylizywała sobie ranę. Po chwili jednak znowu zebrała się w sobie.

- Ty gówniario jedna - chwyciła Achają za włosy i pociągnęła za sobą - ty smarku! Zaraz się, suko, dowiesz, co to jest umierać dziewięć razy!!!

- No... przestań! Boli!

- Ciebie, suko, dopiero zaraz zaczniesz boleć! Ale najpierw się dowiemy, jak to zrobiłaś!!!

- O, mam... Co zrobiłam?

- Jak z tą drugą suką żeście zabiły tyle naszych koleżanek! Achaja niewiele z tego rozumiała. Szła zgięta za ciągnącą

ją za włosy dziewczyną... tfu! kobietą, skoro tamta miała tyle lat, ile mówiła...

- Mówiłaś, że co...

- Że dziewięć masz śmierci przed sobą, smarkulo! A właściwie osiem, bo raz już umarłaś! Jesteś teraz kotem! Człowiekiem-kotem, gówniario! I teraz się dopiero dowiesz, jak wiele bólu można ci zadać, kocurku! Miau? Osiem prawdziwych śmierci... Miau?

Achaja była zbyt dobrze wyszkolona na takie numery. Nie tylko Hekke. Krótki też miał wiele do powiedzenia na temat walki wręcz w obozie niewolników... Wywinęła się jednym skrętem ciała. Podłożyła tamtej nogę, skoczyła na plecy, szarpnęła za włosy i chwyciła jej szyję, gotowa w każdej chwili do skręcenia karku lub uduszenia.

- Miau? - szepnęła kpiąco. - Miau?

Roześmiała się. To był jej świat. To byli żywi ludzie, choć jakoś tam magicznie zmienieni... Żywi. A w odbieraniu życia była trochę lepsza!

- Ty, obca... puszczaj!

- Miau?

- Ty gówniario... Jakieś pięćdziesiąt łuczniczek w ciebie mierzy... Puszczaj!

Achaja rozejrzała się. Nie przywykła jeszcze do tej dziwnej nocnej szarości, ale rzeczywiście... ze dwie łuczniczki zdołała zdużyć.

- One odbiorami jedno życie, ja tobie też jedno... Która z nas prędzej skończy?

- Nie wygłupiaj się. Nikt cię nie zabije od razu... - Dziewczyna stęknęła lekko. - Najpierw musimy się dowiedzieć, jak z tą drugą pindą zabiłyście aż tyle naszych koleżanek...

- Miau...

- Przestań. Zabijają cię, zanim ze mną skończysz.

- Nie łudź się, kocurku! Zabiję cię wcześniej...

- No, dobra! - Dziewczyna szarpnęła się w stalowym chwycie. Naprawdę była odporna na ból. - Puszczaj!

Achaja potrząsnęła głową.

- Nasikałabym ci na łeb, gdybym chciała. I to zanim by tamte zdążyły strzelić!

Rozluźniła chwyt i wstała, spięta, ale tamta nie rzuciła się na nią. Wstała również i przymknęła oczy. Uspokajała się dłuższą chwilę.

- No, chodź... - szepnęła wreszcie. Dała znak łuczniczkom. Te dwie, które widziała Achają, leciutko zwolniły cięciwy.

Ruszyła za tamtą, ciągle nie mogąc przywyknąć, że widzi wszystko w nocy. To było coś niesamowitego! Widziała gwiazdy, jarzące się ostrym blaskiem, widziała każdy listek, gałęzie, pnie, choć jakoś dziwnie szare i splaszczzone... ale widziała. Noc była dla niej jak dzień. Czula zapach idącej przed nią kobiety i... to było najdziwniejsze... wiedziała, że tamta jest wściekła i zdenerwowana, a jednocześnie ciekawa, wiedziała, że kobieta-kot się nie boi, że coś pociąga ją w obcej, że jej nienawidzi ale i... lubi trochę... To wszystko zrozumiała czując tylko jej zapach! Ale to nie wszystko! Czula... dosłownie czula! Że ścieżką, którą szły, przed momentem przeszły jeszcze dwie osoby, jedną z nich był mężczyzna, że zjadł dość obfity posiłek, że był zupełnie obojętny... że kobieta, która mu towarzyszyła, była w ciąży, niedługo rozwiązanie, że się kochali... O, szlag! Śniło jej się, czy rzeczywiście mogła takie rzeczy po prostu wywahać...?

- Na kolana, smarkulo! - Ta, która ją prowadziła, chwyciła Achają za włosy i zmusiła do ukłęknięcia. - Na twarz padaj, gówniario! - Przycisnęła jej głowę aż do ziemi.

Achaja usłyszała szelest. Kroki. Dwóch mężczyzn, trzy kobiety. O, kurde... Sama nie wiedziała czy to usłyszała, czy wy-wąchała. Była jednak pewna, że się nie myli. Mamó! Co oni z nią zrobili?! Jedna z kobiet musiała być bardzo stara, mężczyźni przyglądali jej się z uwagą, inna kobieta miała skaleczona palec, przyłożyła sobie jakieś zioła... szatnię chyba i coś jeszcze... Skąd ona to wszystko wiedziała??? No, nie... Po chwili zastanowienia wiedziała, że jedna z kobiet za trzy dni będzie miała okres! Co oni z nią zrobili? Co oni z nią zrobili?!!

- Ty, obca - odezwała się jedna z 3 kobiet - jak zabiłaś tyle naszych sióstr?

- Mieczem... Auuuuuuuuuuuuuu!!! - ryknęła przygięta do ziemi Achaja. Ta, która ją trzymała za włosy, chwyciła jej ogon i ścisnęła mocno... Zabolalo gdzieś w nerkach. Okropnie! Co za idiotyczna sytuacja. Ma teraz ogon, którego tamci mogą używać po to, żeby ją dręczyć. Co za idiotyzm!

- Jak je zabiłaś?

- No, co mam odpowiedzieć? Naprawdę mieczem... Auuuuuuuuuu!!! Zostaw mój ogon, suko! Auuuuu!!! Ała!

- Jak je zabiłaś?

Co ma im powiedzieć? O co im chodzi?

- Żeby was szlag trafił! Coście ze mną zrobili? Auuuuuu.... Zostaw mój ogon, ty krowo!!! Auuuuuuuuuu... Zabiję cię suko, auuuuuuuuuuu!!! Teraz przesadziłaś, mało...

Achaja wygięła się w łuk, wysliznęła z chwytu i skoczyła do tyłu... Tamta jednak była przygotowana. Odskoczyła również. Spryciara. Nie taka znowu... Nie groziła jej śmierć w obozie niewolników, dzień w dzień, przez kilka lat! Achaja odbiła się lekko. W momencie, kiedy tamta robiła obrót, kopnęła ją silnie, nadając jej jeszcze większą szybkość obrotową, aż odwróciła się plecami. Wtedy Achaja chwyciła ją pod pachy i zaplotła dłonie na karku.

- No i co, króweczko? Mam teraz ścisnąć? Mam ścisnąć?... No, co jest... - zakpiła. - Milczysz? Przed chwilą byłaś bardziej elokwentna!

Kucnęła i teraz ona nadepnęła na ogon tamtej. Uśmiechnęła się, słysząc syk bólu.

- No co, króweczko ty moja... W węża się zamieniasz, że tak syczysz?

- Puść ją - powiedziała jedna z kobiet siedzących w kręgu.

- Tak od razu? Bez buzi-buzi? Kobieta uśmiechnęła się lekko.

- Czuję, jak się boisz - powiedziała cicho. - Czuję to. I nawet wiem, czego...

Achaja nie miała podstaw, by jej nie wierzyć. Skoro sama? czuła tak wiele...

- Boisz się wbicia na pal - kontynuowała tamta. - A teraz jesteś człowiekiem-kotem... Jak myślisz... Czy wbicie na pal dziewięć razy jest bardziej bolesne od jednego razu, czy też zdołasz się przyzwyczaić?

Achaja puściła tamtą. Zaciśnęła szczęki.

- Klękni - rozkazała kobieta. Achaja uklękła.

- Na twarz, smarkulo!

Achaja upadła przed nimi na twarz.

- Auuuuuuuuuuuu!!! - targnęła się, kiedy niedoszła ofiara nadepnęła jej w odwecie na ogon. Posłusznie jednak znowu opadła na twarz. Usiłowała podwinąć chwost pod siebie, ale nie do końca jeszcze wiedziała, jak się nim posługiwać.

- Jak zabiłaś siedem naszych sióstr?

Achaja zdecydowała się. Chwyciła swój ogon ręką i wsadziła sobie między nogi. O!

- Mieczem! Auuuuuu!!!

Zarobiła pięścią w nerki. Aż ją zaćmiło. Usiłowała nie podnosić głowy - wiedziała już, że nie jest to dobrze widziane w tym towarzystwie.

- No, co mam powiedzieć? - jęknęła. - Kurde! No... Co chcecie wiedzieć?

- Jak zabiłaś nasze siostry?

- No, mieczem... Ałaaaaaaa!!!

Spięła się tak, że dostała dwóch skurczów. Oprawczyni widziała to i odskoczyła dwa kroki do tyłu. Achaja jednak nie rzuciła się na nią. Dziewięć razy na pal? Nie... Nigdy w życiu! Będzie tu tkwić na pysku przyciśniętym do trawy, z wypiętym gołym tyłkiem, choćby ją mieli posiekać...

- O, mam... Powiedzieć, co mam powiedzieć... to powiem! Powiem, co chcecie! Tylko co?

- Jak je zabiłaś?

Chwyciła ręką swój ogon, żeby nie podstawić tamtej suce narzędzia tortur. Skuliła się i napięła.

- Powiedziałam, że nałożę na kurwy większe podatki! Same zdechły!!!

Oczekiwała kolejnego ciosu, ale ten nie padł. O, zesz ty... Więc na pal? Czego one chciały?

- Przyprowadzić tę drugą smarkulę! - rozkazała kobieta.

Nie musiała czekać długo. Poczula zapach strachu i to takiego, że ciarki ją przeszły. Chwilę później rzucono kogoś na kolana, a potem na twarz tuż przy niej. Ostrożnie zerknęła w bok. To była Arnne! Goła, z kłami i pazurami jak u zwierzęcia, z ogonem i oczami jak węgle!

- Proszę! Błagam! Nie róbcie mi nic złego - płakała czarownica. - Zabijcie mnie, proszę...ale raz! Raz i już, co? Proszę!

- No i co, gówniary! Teraz płaczecie? Jak zabiłyście nasze siostry?

- To ona zabijała! - krzyknęła Arnnej wskazując Achaję. - Ja tylko zrobiłam światło!!! Auuuuuuuuuuuuuu!!!

Achaja poczuła ulgę. Ktoś mocno ścisnął ogon czarownicy. Bardzo mocno!

- To ona!!! - krzyczała Arnne. - To ona, uwierzcie mi, błagam. To ona! •

- Jak zrobiłaś światło?

- Ojej... no... jestem czarownicą przecież! Auuuuuuuuuuuu!!! Czarownicą, prawdę mówię... Auuuuuuuuuuuuuuuu!!! Niech ona mnie nie rusza... Auuuuuuuuuuuuuuuu!!! Błagam, proszę, zrobię co chcecie, błagam, auuuuuuuuuuuuuuuuu!!!

Rozbeczała się tak, że trudno było zrozumieć, co mówi.

- Słuchajcie, smarkule... - powiedziała kobieta. - Ja chcę wiedzieć tylko, jak to zabiłyście!

- Proszę pani - szepnęła Achaja. Trochę bała się podnieść głos. - My się chyba nie rozumiemy... Auuuuuuuuuuuuuu!!! No niech ona zostawi mój ogon, kurwa! Auuuuuuuuuuuu!!! Proszę... Auuuuuuuu!!! No, proszę, dajcie mi coś powiedzieć...

Dyszała chwilę.

- To ona! - krzyknęła Arnne. - To ona zabijała!

- Jeśli chcecie się czegoś dowiedzieć, to dajcie nam mówić. Proszę! Ja... naprawdę nie wiem, o co wam chodzi... Auuuuu!!!

Tym razem kobieta dała jednak znak oprawczyni. Achaja podniosła lekko głowę. Na tyle przynajmniej, żeby wyjąć nos z trawy.

- Ja... naprawdę nie wiem, o co wam chodzi... Zabijałam je mieczem, ale jeśli pragniecie innej odpowiedzi, to, oczywiście, zmienię zdanie! Ja...

- Jak mogłaś je zabić w nocy? Kiedy nic nie widziałaś, a one widziały?

- Jestem szermierzem natchnionym, proszę pani. Nieźle mi poszło nawet z samym Virionem. Ja jestem w tym dobra, proszę pani...

- Szczypce! - rozkazała kobieta.

Achaja zobaczyła nagle, jak jej dotychczasowa oprawczyni dostaje od kogoś wredne, duże szczypce. Jak bierze jej ogon do ręki, przyciąga do twarzy klęczącej dziewczyny i wkłada między dwa tępe końce...

- Nie! Ja wszystko powiem, proszę pani! Powiem!!! Proszę!

- Mów!

- Ale co? - wyrwało się skołowanej dziewczynie.

- Boi się. Mówi prawdę - powiedział jeden z mężczyzn.

- Tyle sama wiem! Dlaczego nie odpowiada? - Nie rozumie...

- Jak tego można nie rozumieć?

- Nie wiem.

Zapadła dłuższa cisza. Achaja dyszała ciężko, widząc swój własny ogon ujęty szczypcami. Szlag! Co za idiotyczna sytuacja. Przyprawili jej ogon i teraz będą dzięki niemu dłużej męczyć... Dobrze, że jej nie zrobili uszu jak u słonia... Wtedy męki mogłyby trwać setki dni.

- Jak to zrobiliście? - warknęła kobieta.

Achaja już chciała powtórzyć: „mieczem”, ale ogon tkwiący w szczypcach sprawił, że tylko zacisnęła szczęki. Arnne natomiast wykazała się nagle jakąś szczątkową odwagą.

- Jesteśmy inne niż wy! - jęknęła. - Nie dziwi was, że wojsko zabijało was strzałami... Strzały z kusz rozumiecie. Ale ona - zerknęła na Achaję - jest szermierzem. Ona potrafi zabijać nawet po ciemku. Lepiej niż ci, którzy po ciemku widzą! Ona sama nie wie, jak to robi! Uwierzcie nam! Ona tego nie potrafi powiedzieć. Potrafi zabić. Dlatego nie rozumie, o co ją pytacie. Dla niej zabić to jak dla was... nie wiem... zjeść coś... czy... Auuuuuuuuuuuuu!!!

- Ty... - czyjaś stopa dotknęła głowy Achai - czy ona mówi wszystko?

- Tak, proszę pani!!!

- A jak zabijasz, nie wiedząc, że zabijasz?

- Nie wiem... - Achaja rozszerzonymi oczami patrzyła na szczypce. - No, zabijam, bo umiem! No, nie wiem, jak to powiedzieć! Nie widziałam niczego, ale pomogła mi ta porucznik saperów, a potem czarownica... Zobaczyłam coś i wtedy...

- Zabijałaś nawet jak nic nie widziałaś.

- Machałam mieczem na oślep.

- Tak dobrze?

Te szczypce! Jak ściśnie, to...

- Uuuuuuuuu... Mogę zademonstrować - zaryzykowała. - Mogę zabić tę małpę, co trzyma szczypce, zanim je zewrze!

Chwila wahania. Członkowie rady spojrzeli po sobie.

- Wierzę ci. Ale jak to robisz?

- O, mam... wyszkolona jestem, normalnie, no... Nie wiem, jak to robię! Robię i już!

Kobieta zamyśliła się. Cisza przedłużała się nieznośnie.

- Wierzę jej - powiedziała w końcu. - A ta druga?

- Ona też nie wie, jak to robi... - powiedział jeden z mężczyzn.

- Jeśli przyślą więcej takich jak one... to będzie po nas.

- Nie! - krzyknęła Arnne. - My jesteśmy jedyne. Jedyne w swoim rodzaju. Takich jak my nie ma wielu! Proszę pani, nie róbcie mi nic złego, proszę! Czarownic takich jak ja, jest w Arkach kilka! Takich jak ta obok mnie, szermierek, nie ma chyba w ogóle! Może jeszcze jedna, dwie... ale wątpię!

- Mogłaś tego nie mówić, suko!!! - warknęła Achaja.

- Stul pysk! - warknęła czarownica. - Może nas nie zamęczą! Ja mówię prawdę, proszę pani. Nie będzie więcej takich jak my! Proszę mi wierzyć!!! Błagam!

- Jedna się strasznie boi, druga trochę mniej... Dlaczego? - spytała kobieta.

- Ta, co się strasznie boi, jest, tą... no... „czarownicą” - powiedział jeden z mężczyzn.

- Umie robić światło. Jest odważna. Została w bitwie sama. Wtedy się nie bała...

- Bała się. Ale coś ją zaćmiło. Ta druga, od miecza, też się boi, a wtedy poszła na śmierć. Co je zaćmiło?

- Co? A ta dziewczyna, która rozpałała niezwykle jasną pochodnię? Wiedziała, że zginie, bała się, a jednak to zrobiła... One mają tylko jedno życie! I poświęcają je czasami!

- Owszem. Teraz jednak obie śmierzdzą tchórzem jak żadna z naszych! Zrobiłyby wszystko, żeby ich nie zamęczyć. Tfu! Dno!

Mężczyzna wstał i wziął szczypce od trzymającej je dziewczyny, ciągle z ogonem Achai przełożonym między ostrzami.

- I co? - spytał. - Zrobisz wszystko, co ci każe? Upodlisz się, jak zechcę?

Nie odpowiadała. Niby co powiedzieć w tej sytuacji?

- No, mów. Co zrobisz?

Achaja na kolanach, goła, z twarzą przy ziemi i z idiotycznie wypiętym tyłkiem, powiedziała cicho:

- Zabiję cię, panie. Zanim zdołasz zewrzeć palce.

- Wiesz, ile łuków do ciebie mierzy?

- To bez znaczenia, panie. Zabiję cię nawet mając pięćdziesiąt strzał w tyłku! - Przelknęła ślinę. - Chcesz się założyć?

Zwątpił! Naprawdę zwątpił!!! Było bez znaczenia, co z nią później zrobią. On uwierzył, że Achaja tego dokona. Podszedł do Arnne.

- A ty, tchórze?

- Panie ja... ja wszystko powiem. Proszę. Błagam....

- Zamęczymy was obie! To będzie tak straszna śmierć, że nie jesteście sobie w stanie tego wyobrazić. - Kopnął ją lekko. - No, powiedz... tylko bez błagania... ty też jesteś w stanie mnie zabić?

Było to idiotyczne. Arnne, tak samo jak Achaja, bała się podnieść twarz, żeby nie wywołać reakcji. Jednak krzyknęła:

- Owszem, gnoju. Mogę cię zabić w każdej chwili!!! I bez znaczenia, co ze mną potem zrobią!

Mężczyzna wyprostował się powoli. Słyszały to raczej, niż widziały; obie nie mogły podnieść twarzy.

- Obie są godne! - powiedział. - Obie się boją, ale... obie są godne!

- Twoje słowa... - powiedziała kobieta. - Niech tak się stanie!

Rada, przesłuchujący, czy jak ich tam zwać, wstali szybko i odeszli bez słowa. Było to tak niespodziewane, że Achaja i Arnne sterczały z twarzami w trawie długo jeszcze po tym, jak ich dwie „osobiste” oprawczynie odeszły również. Nie śmiały głębiej odetchnąć.

- No, co tak siedzicie z tyłkami do góry, siostrzyczki? - rozległ się czyjś roześmiany głos.

Podniosły głowy. Powoli. Obok stała naga dziewczyna. Bez żadnego ogona. Bez szponów i kłów.

- No, co z wami? Chcecie żeby was jakiś wilk dopadł od tyłu?

Zakłęty. Achaja i Arnne jednocześnie. Tym samym przekleństwem.

- Jesteście bliźniaczkami? - spytała dziewczyna. - Eeeee... Niepodobnieście do siebie!

Podniosły się. Najpierw Achaja, niepewna jeszcze, potem Arnne. Obie rozglądały się na boki.

- No, co z wami??? Chcecie jeść? Pić?

- Bić! - warknęła Achaja. - Jak dorwę tę, która trzymała mój ogon w szczypcach, to...

- Jak ci się nie podobało, to dlaczego go nie zniknąłeś?

- Znik...co?

- Dlaczego nie machnąłeś człowieka? Achaja i Arnne spojrzały po sobie oszołomione.

- Co? O czym mówisz?

Dziewczyna podeszła do Achai i lekko uderzyła ją w twarz. - No! Zrób to... -Co?

Jeszcze jedno uderzenie w drugi policzek. Również słabe. Lekki „przyjacielski” kopniak w ogon.

- No, zrób to! Zniknij!

- Kurde, co?

Dziewczyna znowu uderzyła Achaję w twarz. Leciutko. Jakby dla otrzeźwienia. Achaja jednak poczuła, że odpływa. Przez moment była naprawdę nieprzytomna. Ocknęła się jednak bez kłów, pazurów i ogona...

- O, żesz... - westchnęła. - To można zniknąć?

- Już chwyciłaś? - Dziewczyna roześmiała się. - No, a teraz ta druga...

Arnne chwyciła jeszcze szybciej. W końcu była czarownicą. Coś nią wstrząsnęło. Po chwili nie miała już ogona, ani żadnego innego atrybutu kota. Poza smolistymi oczami.

- Jestem Aiiiiiiiiiiiiiii...

- Jak? Ai? Czy A.I.? - Achaja nie wiedziała czy chodzi o imię, czy inicjały.

- Aiiiiiiiiiiiiiii - powtórzyła tamta.

- Aiiiiiiiiiiiiiii?

- Nieeeee... jak ty to mówisz? - roześmiała się. - Co, akcentu nie łapiesz? Coś z twoimi uszками nie tak?

- Aiiiiiiiiiiiiiii? - powtórzyła Arnne.

- No. Tobie lepiej idzie -uśmiechnęła się dziewczyna. - Może rozpoznam moje imię, jak mnie zawołasz... Cha, cha... czemu się nie śmiesz?

- To był dowcip? - spytała czarownica, trochę stropiona.

- Co było? - nie rozumiała tamta.

- Słuchaj, A.I., czy jak ci tam... - przerwała jej Achaja. - Co z nami zrobili?

- Skocili cię, laleczko. Ale masz fajny tatuaż na twarzy... Zrobiłabyś mi też taki?

- Lepiej nie. Chciałam...

- A na tyłku to dopiero masz fajną bliznę! - przerwała jej tamta. - Pewnie bolało, jak robili, co? Ale... Dla piękności można się poświęcić, nie? Zrobisz mi też taką?

Ledwie ją rozumiały. Miała taki dziwny, śpiewny akcent.

- Ty... chcesz, żeby ci takie coś na tyłku wypalić? - No!

Obie, Achaja i Arnne, spojrzały po sobie. Odruchowo. Po ich czarnych teraz, pozbawionych białek oczach trudno było oczekiwać, że zdołają wykonać „porozumiewawcze spojrzenie”. Obie wyglądały jak trupy. A raczej... jak demony.

- Ty... - szepnęła Achaja do czarownicy - co tu się dzieje?

- One są odcięte od świata. Dlatego piętno niewolnicy uważają...

- Ja nie o tym! Co z nami zrobili?

- Jejku! Nie wiem! To jest jakiś inny rodzaj magii. Dlatego niczego nie czułam, wtedy przed bitwą. Nie wiem, co to jest.

- Ty, Aiiiiiiiiiiiiiii, czy jak ci... - kontynuowała indagację Achaja. - Co z nami zrobili?

- Skocili. - Co?

- No, zrobili z was wojowników. Ludzi-koty! Fajnie, co?

- Kurwa!

- No... tylko tak dało się was obydwie przywrócić do życia. Przecież obie byliście zabite w bitwie... A Starsi musieli się dowiedzieć wielu rzeczy od was... Szczególnie od tej z tatuażem. Jak ci na imię?

- Achaja.

- Jak??? Uuuu... Jak to się w ogóle da wypowiedzieć? Achaja i Arnne znowu spojrzały na siebie, ale dziewczyna

chichotała w najlepsze. Chyba to był kolejny miejscowy dowcip. Czarownica straciła cierpliwość.

- Aiiiiiiiiiii, daj mi jakieś ubranie! -Co?

- Ubranie! Coś, co mogłabym na siebie włożyć. No... Żeby się czymś okryć!

- Aaaaa... wiem... - Dziewczyna skoczyła w krzaki. Słyszały jak biegnie z jakąś nieprawdopodobną szybkością. Obydwie łowiły jej zapach. To było niesamowite doświadczenie. Zapach! Obydwie mogły teraz iść jej tropem jak gończe psy! One widziały, tak, widziały jej zapach!!! Czarownica zaklęła cicho. Dla niej, dla jej wyczulonych zmysłów, musiało to być doświadczenie jeszcze bardziej niesamowite niż dla Achai.

Dziewczyna wróciła szybko. Miała w rękach pociętą sztychami mieczy, zakrwawioną kurtkę Achai. Narzuciła sobie na ramiona. Wyraźnie widać było srebrne oznaki pułku, dystynkcje majora i złoty wężyk księżniczki.

- Fajna, co?

- O, żesz ty... To moja.

- Teraz moja, koleżanko! - roześmiała się dziewczyna. - To ja ci przebiłam płuco i zdarłam to z ciebie! Teraz moja!!!

Achaja i Arnne spojrzały na siebie. Równie dobrze mogły tego nie robić. Przy tych kompletnie czarnych oczach bez białek było zero porozumienia. Jakby dwa trupy spojrzały na siebie. Nie można było niczego wyczytać z twarzy!

- Coście z nami zrobili? Dziewczyna uśmiechnęła się znowu.

- Jak wam to wytłumaczyć? - Wzruszyła ramionami.

- Jesteście pierwszym napastnikiem, który zadał nam takie straty... Starsi musieli się dowiedzieć, jak to zrobiłyście. Kim jesteście, ile waszych jeszcze przyjdzie, żeby nas zabijać, żeby palić las... No, ale obie już nie żyłyście. Ja ciebie zabiłam. - Wskazała na Achaję. - Bośmy się już zaczęły zakładać, komu się uda osiągnąć taką wojowniczkę jak ty. - Rozłożyła ręce w geście uwielbienia. - Jaki honor! Cięłaś mieczem jakoś tak dziwnie. Były chwile, kiedy myślałyśmy, że widzisz po ciemku jak my, były chwile, kiedy sądziłyśmy, że nie widzisz niczego... To było dziwne. A tamtą - wskazała na Arnne - zabiła moja koleżanka. I dalej było dziwnie... dziwnie, dziwnie. Wyście zginęły, a tamte, co chciały dostać się do was spoza lasu, zostały pobite, zaczęły uciekać, ale rozdzieliły się w pewnym momencie i zawróciły, jakoś tak z dwóch stron...

- Podwójny rygiel - mruknęła Achaja. - Klasyczny manewr pozornej ucieczki... Dałyście się na to zrobić?

Dziewczyna skinęła głową.

- Zabiły dużo naszych. I te strzały, i te, co uderzyły w nasze plecy, z waszej grupy... Musiałyśmy się dowiedzieć. Ale wyście już nie żyły. Nie mieliśmy żadnego żywego jeńca. To wtedy starsi postanowili, żeby was ożywić - wy dwie byłyście najważniejsze. Ale

to możliwe tylko wtedy jak kogoś się robi wojownikiem...

- Jak się robi? - spytała Arnne. - Jak można ożywić trupa?

- Tu jest magia bogów. Tu jest sam... - wyraźnie brakowało jej słowa - ...sam matecznik. Magia bogów! Można zmienić człowieka w kota. Nie do końca... Ale... Można przywrócić życie. Sprawić, żeby człowiek widział inaczej, czuł inaczej i się zmieniał...

- Naprawdę macie po dziewięć żywotów?

- Mmmmm... chyba nie dałyście się na to nabrać! Cha, cha, cha... Dziewięć żywotów? Czemu od razu nie piętnaście?!

Achaja zaklęła brzydko, ale tamta nie zrozumiała.

- My chyba inaczej rozumiemy śmierć niż wy... - ciągnęła. - Wy chyba myślicie, że jak się człowiek nie rusza i nie oddycha, to już umarł... My nie. Jeszcze można go ożywić.

- Zamieniając w kota?

- To można tylko raz. Jak już jesteś naszym wojownikiem, drugi raz cię nie ożywią w ten sposób.

- A ta... co jej zламаłam kark? Jak ożyła?

- Akurat, zламаłaś. No pewnie, kości można szybko zrosnąć, cios w brzuch nie jest u nas niebezpieczny... Ona umarła według waszych pojęć. Gdybyś jej odciała głowę, to byśmy jej nie uratowały! To jest tak. Cios mieczem w serce jest dla was śmiertelny... To śmierć. Dla nas nie... Nie, nie, zupełnie nie... Można uzdrowić! Ho! Uzdrowić i już, ale...jak poleżysz za długo i nikt ci nie będzie pomagał, to umrzesz jak każdy zwykły człowiek... O! Tak mówiąc, masz bardzo dużo żywotów, nie dziewięć, nie piętnaście, ale sto i więcej... Ale jak ci ktoś utnie głowę... To masz tylko jedno życie. Jak każdy! Każdy, każdy!

- Czyli jednak nie do końca kłamała ta, która mówiła, że mnie wbije na pal dziewięć razy?

- Na pal to ona mogłaby cię wbijać tyle razy, ile by chciała! Ona jest Starsza, Starsza... Mówiła: dziewięć, bo wiemy, że u was jest taki głupi przesąd, że kot ma dziewięć żywotów. Nie było chyba czasu, żeby ci tłumaczyć, że mogłaby cię zabijać i sto razy! Sto razy, sto! Albo i - pokazała na palcach - tyle razy po sto... By bolało, ojej! Ojej!

Achaja jęknęła. Sto razy!!! Dobrze, że reszta świata nie ma takich możliwości... Oczami wyobraźni ujrzała trybunał, który orzeka w jakiejś sprawie: „Wysoki Sąd skazuje winnego na trzydzieści śmierci przez powieszenie, do tego dwa razy łamanie kołem, dziesięciokrotne utopienie, sześć razy spalenie, a potem to już tylko czterysta lat ciężkich robót z wbiciem na pal co dziesięć dni ku rozrywce skazanego...” Pewnie nie byłoby już zbrodni!

- Jak można was... - Arnne zawahała się. - Jak można nas więc zabić?

- Jak każdego, jeśli jesteście poza Lasem. Jeśli w Lesie, i nie za daleko, trzeba nieść trupa do Starszego... ale ucięcie głowy... tego nikt nie naprawi. Przecięcie ciała na pół... Nawet odrąbanie ręki czy nogi... Takie

coś to tylko Starsza, Starsza mogłaby pewnie naprawić...

- A jak naprawiliście moją rękę? - Achaja podniosła lewą dłoń i poruszyła palcami.

Aiiiiiiiiiii roześmiała się.

- To nawet ja bym ci naprawiła, mimo że nie jestem Starszą. Sama mogłabyś to zrobić, jakbyś się dostatecznie skupiła... sama, sama!

- A moje blizny? Jak zniknęły?

- Skórę naprawić łatwo... Uuuuuuuuuch! - Klasnęła w dłonie. - O, tak szybko.

- Żeby was!... Nie mogłybyście mi usunąć też tej z tyłka?

- No... toż ona nie z bitwy. Ktoś ci specjalnie zrobił, nie? Nie, nie? Żebyś piękna była. Piękna, piękna!

Arnne potrząsnęła głową, zrezygnowana.

- Co z nami będzie? - spytała.

- Jak to, co? - Aiiiiiiiiiii spojrzała wyrażnie zdziwiona. - Obie jesteście już nasze! Będziecie z nami żyły, będziemy razem walczyły. Uuuuuuuuu!!! Ja chcę, żeby ta Ach... Ach... Achiiiiija, czy jak, nauczyła mnie tak robić mieczem! I chcę, żeby mi zrobiła taki sam tatuaż!!! Musi, musi! Tatuaż koniecznie! Tak!

- Zastanów się jeszcze... - mruknęła Achaja kpiąco.

- Nie, nie... Chcę! Dam ci za to mój łuk, co? Pokażę ci, jaki jest fajny. Sama robiłam, dwa lata... Dam ci, co?

- Weź, przestań. Uspokój się!

- Nie, nie... Dam ci jeszcze trzydzieści strzał, co? Też sama robiłam! Co? Dam czterdzieści!

Achaja zatrzymała się i spojrzała tamtej w oczy.

- Na całe szczęście nie umiem tatuować! A poza tym strzelam z łuku, mówiąc delikatnie, jak dupa wołowa!

W malutkiej grocie, przy ognisku, siedzieli dziewczyna i chłopak. Oboje nadzy jak wszyscy inni. Arnne westchnęła ciężko i zagryzła wargi. Najpierw nie chciała wejść, a kiedy Aiiiiiiiiiii i Achaja wpełnęły ją siłą, zasłoniła się rękami. Wściekła jak osa usiadła gdzieś z boku, podciągając kolana pod brodę i oplatając ramionami.

- Co z nią? - spytała dziewczyna przy ognisku. - Chora?

- Nie przejmuj się - uśmiechnęła się Achaja. - Macie coś do jedzenia?

Tamta skinęła głową, ale Aiiiiiiiiiii nie dała jej dojść do słowa.

- Widzisz, jaką mam kurtkę??? - wrzasnęła do koleżanki.

- Przestań... Chwalisz się tym do znudzenia!

- Ale tobie jeszcze nie mówiłam! To jej - chwyciła Achają za włosy i potrząsnęła lekko. - Zdobyłam se! Widzisz, jakie ma tu fajne. - Dotknęła końcami palców srebrnych dystynkcji majora. - Widzisz?

- Chyba żeście ją na rożen nadziewały, wojowniczk! - mruknął chłopak. - Pocięta i pokrwawiona jak zając w połowie jedzenia...

- Widać, jak trudno było zdobyć!!! - krzyknęła Aiiiiiiiiiii. - Żeby mi nikt tego nie śmiał myć ani zszywać!!! I ja ją zdobyłam. - Palnęła Achają w ucho i to dość mocno. - Spróbuj się z nią, jak myślisz, że było łatwo!

- Teraz? Jak już jest wojowniczką?... Ty ją oprawiałaś, jak 'jeszcze była człowiekiem.

- Taaaaaaak? To ty się zmień, a ona nie! Zobaczysz, jak da ci wpiernicz! Flaki z ciebie wypruje! - Palnęła Achają w kość policzkową. - Jesteś głupi jak wiewiórka! Głupi, głupi!!!

- Czy mogłabym prosić, żebyście nie dyskutowali więcej o mnie? - Achaja rozcierała ucho i policzek. - Dacie coś do zjedzenia?

Dziewczyna podała im dwa duże kawałki suszonego mięsa.

- Czy mogłabym prosić o jabłko? - szepnęła Arnne, obracając w dłoni swoją porcję. Nie widziała czegoś takiego pewnie nigdy w życiu. Szczególnie teraz, kiedy miała węch wyczulony do granic możliwości, nie mogła się zdobyć, żeby włożyć do ust coś tak śmierdzącego.

- Co?

- Jabłko. Proszę.

- Co ona chce? - spytała dziewczyna przy ognisku. - Jajko?

- Jabłko. Proszę was bardzo...

- Uuuuuuuu... Co???

- Nie przejmujcie się nią - mruknęła Achaja. Wbiła zęby w swoją porcję, a potem... wyjęła z dużym trudem. - Słuchaj, Aiiiiiiiiiii... Jak się robi te kły?

- Chcij.

- Co?

- Musisz chcieć! No... Chcij! - Aiiiiiiiiiii strzeliła ją dłonią w policzek. - No! Nie myśl. Chcij! Nie myśl w ogóle... - Uderzyła w twarz z drugiej strony. - No...

Achaja poczuła lekkie zaćmienie. Boleśnie ugryzła się w język. Miała już kły, pazury i ogon... Westchnęła ciężko oszołomiona. Ale gryzienie, a właściwie rozszarpywanie porcji, poszło jej dużo łatwiej! Mięso było nawet dość smaczne, pod warunkiem, że konsekwentnie oddychało się przez usta, lekceważąc nos, który wysyłał sygnały do reszty organizmu, że trzeba natychmiast wymiotować!

- Czym ty się tak denerwujesz, smarkata? - spytał wyraźnie zaniepokojony chłopak.

- Kurde, skąd wiesz?

Wskazał na koniec jej ogona, który drgał lekko. Roześmiała się z pewnym trudem, powstrzymując torsje. Krótki miał rację! To zapach! Zapach był winien wszystkim obrzydzeniom... I słusznie pozbawił ją tego zmysłu w obozie niewolników. Teraz jednak czuła, że nigdy w życiu nie zjadłaby już żadnego robaka. Odrzucało ją od mięsa, nawet świeżego, na samą myśl o jego zapachu. Chciała jabłko, tak jak czarownica, ale po pierwsze, była naprawdę głodna, a po drugie, w przeciwieństwie do Arnne, wiedziała, że trzeba zaspokajać potrzeby ciała .tym, co jest pod ręką. Wtedy

ciało nie zawiedzie. Inaczej... sam sobie będziesz winien.

- Wiesz - uśmiechnęła się do chłopaka - po raz pierwszy w moim życiu ktoś mnie wskrzesił, zamienił w zwierzaka i powiedział, że do końca życia będę mieszkać w tym lesie, żrąc to świństwo! A poza tym, wszystko w porządku. Naprawdę nie wiem, czym się denerwuję!

- Słusznie, koleżanko! - poparła ją niespodziewanie Arri- ne. - Ktoś im musiał to nareszcie powiedzieć!!!

Achaja spojrzała na czarownicę.

- Cieszę się, że przynajmniej jesteśmy już na „ty”! - dobiła ją. - I że nie muszę już dygać na pani widok!

- One naprawdę są wściekle - zdziwił się szczerze chłopak. - Ciekawe, dlaczego?

Aiiiiiiiiiii włożyła palec do nosa i dłubała w nim zawzięcie dłuższą chwilę.

- Potrzebują mężczyzny - zawyrokowała. - Pomożesz im?

- Pewnie. - Chłopak wstał lekko. - Której najpierw? Arnne pisnęła cienko, przerażona do granic możliwości. O

mało nie wybiła sobie zębów kolanami, usiłując się zasłonić:

-Nie! Nie!!! Proszę...

Chłopak patrzył zdziwiony. Aiiiiiiiiiii i dziewczyna przy ogniu również.

- Ty pierwsza? - podszedł do Achai.

Spojrzała na niego skonfundowana. Dla niej nie było to nic nowego, w przeciwieństwie do czarownicy, ale obcesowość propozycji nawet ją wytrąciła z równowagi.

- No, co? Przestaniesz się denerwować... - powiedział z jakąś niesamowitą prostotą. - Będzie ci dobrze, smarkata. Będziesz bliższa... - uśmiechnął się ciepło.

Achaja, spłoszona, spojrzała na Aiiiiiiiiiii, ale tamta tylko skinęła zachęcająco głową.

- No, już - mruknęła dziewczyna przy ognisku. - Bo se inaczej zęby stępisz, zgrzytając w złości.

Chłopak pomógł jej wstać. Była naprawdę oszołomiona. A przecież... Czula jego zapach, wiedziała, że jej pragnie, że jest trochę przestraszony, trochę... W końcu była obca. Że chce jej pomóc, że ją lubi, że lubi widok jej ciała... Przełknęła ślinę.

- Gdzie pójdziemy? - spytała.

- Achaja!!! - krzyknęła czarownica. - No, co ty?!!!

- Niby gdzie mamy iść? - spojrzał zdziwiony. Wskazał oczami posłanie ze splecionych delikatnych gałązek tuż obok. Podszedł jeszcze bliżej, dotknął jej biodra. Drgnęła lekko. Nie! Nie pokaże mu, że się boi! Przyłgnęła do niego, obejmując rękami ramiona. Wzięła głębszy oddech. i

- Jak mam... zniknąć te zęby?

- A po co znikać? - uśmiechnął się ciepło. - Będziesz więcej czuła!

Pocałował ją delikatnie w usta. I jeszcze raz. I znowu. Było jej miło i tak jakoś bezpiecznie. Nawet nie wiedziała kiedy otworzyła usta i jego ciepły ruchliwy

język zmusił ją do zarzucenia mu rąk na szyję. A potem... Dotykania jego ciała. Coraz śmielszego, coraz bardziej nerwowego. Jego dłoń zacisnęła się na nasadzie jej ogona, zaczęła go delikatnie ugniatać. Następnie zaczęła ślizgać się po jej plecach, szyi, piersiach. Nie przestawał całować. Nagle oderwał się od niej. Bogowie! To już koniec. Dlaczego już koniec?... Ale on zaczął całować jej włosy, oczy, ramiona. Kiedy zaczął ssać jej sutki, syknęła cicho. Przytrzymała rękoma jego głowę, żeby trwało to jak najdłużej...

- Achaja!!! - Arnne patrzyła przerażona. - Co ty robisz??? Drżała. Nie mogła wziąć głębszego oddechu. Te wszystkie

miejsca, gdzie niewiele czuła dzięki torturom Mistrza Anai, teraz były... wyleczone. Czula. Nie można chyba już czuć więcej. Wydawało jej się, że ma gorączkę. Chłopak klęknął. Objął ją mocno w pasie i zaczął całować jej brzuch. Wnętrze jej ud i znowu brzuch. Kiedy zaczął gładzić delikatnie jej pośladki, zanurzyła ręce w jego włosach i z całych sił przycisnęła jego twarz do łona. Oczekiwanie na jego usta było torturą. A on jedynie ocierał się o nią policzkiem. Jednostajnie i leniwie. Kiedy już straciła nadzieję, że coś się jeszcze wydarzy, poczuła w sobie jego język. Poczuła, że słabnie. Poczuła, że mdleje. Chłopiec przytrzymał ją i delikatnie położył na ziemi.

- Chyba nie zrobisz tego przy nich wszystkich?...

Nie zrozumiał. Arnne zamknęła oczy. Zasłoniła sobie głowę rękami. Aiiiiiiiiiii razem z koleżanką patrzyły, obie zaciekawione.

- Wstydzę się.

Znowu zaczął ją całować. Całą. Pocałunek przy pocałunku. To wszystko, co „popsuł” w niej Mistrz Anai... teraz było „czynne”. Czula. Czula wszystko! Całował jej nogi, przesunął wargami po udzie, znowu poczuła jego język gdzieś we wnętrzu. Dokładnie we wnętrzu! W środku! Nie mogła przełknąć śliny, zupełnie jakby cała wilgoć jej ciała spłynęła na dół. Kiedy dotknął jej ud, natychmiast rozchyliła je, podciągnęła go w górę i wolnym, rytmicznym ruchem zaczęła unosić pośladki, dotykając łonem jego brzucha coraz niżej i niżej. Wreszcie uniosła nogi, żeby mu pomóc, a także żeby pomóc sobie. Położyła nogi na ramionach chłopca i wtedy poczuła, że ociera się o nią.

- Chcę tego! - szepnęła. - Nie każ mi czekać. Proszę! Teraz! Wtedy wszedł w nią gwałtownie. Stali się jednym ciałem.

Nie mogła otworzyć oczu. Przestała odczuwać wstyd. Jedynym uczuciem, jakie ją ogarnęło, była nieporównywalna z niczym błogość, przerodzona po chwili w lęk, że stanie się coś, co przerwie to, co się z nią działo. Wtedy z jej ust wydarł się okrzyk rozkoszy, któremu zawtórował jęk chłopca. Otworzyła leniwie oczy. Dopiero teraz zaczęła słyszeć, co działo się wokół niej. Dwie chichoczące dziewczyny przy ogniu, które bez jakiegokolwiek zażenowania komentowały to, co widziały, nawet wymieniały fachowe uwagi. Struchlała

Arnne, oplecioną własnymi rękami, która mruczała coś do siebie przerażona.

Tak bardzo chciała się czymś przykryć! Mięśniami łydek i ud czuła jego młode, poruszające się rytmicznie i gwałtownie ciało. Rękami obejmowała jego głowę. Zaciśnęła zęby, musiała. Drżała lekko, czuła, że wszystko, tam w środku, napina się coraz bardziej. O, mamó! Niech on nie kończy przy nich. Niech one tego nie widzą! Poczowała jak... jakby posłanie poruszyło się pod nią. Zaciśnęła oczy aż do bólu. Niech on nie kończy przy nich. Niech nie robi tego na ich oczach! Poczowała pierwsze uderzenie. Poczowała łzy na policzkach i rumieniec, który palił jej twarz. - Mmmmmmmmm... - usiłowała zaciskać szczęki. To nie była grzeczność z jej strony. Przytuliła się do niego całą siłą swych rąk i nóg.

- Leż jeszcze... Jeszcze trochę... - prosiła. - Leż jeszcze... Pocałował ją leciutko.

- Jeszcze trochę, leż, proszę... - szepnęła.

O, mamó... jak on wstanie teraz? Przy wszystkich?... Rozluźniła nogi. Zsunął się z niej delikatnie. Skuliła się na posłaniu, ale to nic nie dawało. Usiadła, zsuwając nogi jak Arnne i obejmując się rękami. Chłopak siedział tuż obok, wyraźnie zadowolony. Policzki paliły ją tak, że tatuaż musiał się już pewnie zrobić czarny. Nie mogła podnieść wzroku.

Aiiiiiiiiiiiiii podeszła do niej i usiadła tuż obok.

- Gdzie... mogę się umyć? - szepnęła.

- Tu obok jest malutkie jeziorko. Ale posiedź jeszcze z nami... - Aiiiiiiiiiiiiii podała jej malutką, czystą szmatkę. - Posiedź jeszcze...

Odczekała chwilę, potem objęła Achaję ramieniem.

- I co? Troszkę lepiej?

Achaja położyła głowę na jej ramieniu. Nie miała ochoty niczego mówić. Chłopak przykucnął nad ogniskiem. Zerknął kilka razy na dziewczyny, potem uśmiechnął się wrednie. Tak wrednie, jak to tylko potrafią mężczyźni.

- To teraz... ta druga...

- Nie! - jęknęła Arnne. - Proszę! Nie! Ja... Ja jestem dziewcziną! Proszę!!!

Chłopak podszedł do niej. Delikatnie dotknął jej głowy. Czarownica szarpnęła się mocno.

- Nie!!! Proszę, nie... Achaja, zrób coś! Ja nie chcę!

- Uspokój się... - szepnęła Achaja. - To nie bitwa trzech kompanii otoczonych w lesie...

- Ale ja nie chcę! No, powiedz mu, że ja nie chcę!!! Chłopak dotknął tyłka Arnne, a ta podskoczyła, kopiąc mocno. Upadła na plecy. Nie wykorzystał tego, choć mógł. Uśmiechnął się. Obie dziewczyny z lasu roześmiały się głośno.

- Achaja!!! Ratuj!!!

Achaja podniosła oczy. Aiiiiiiiiiiiiii uderzyła ją łokciem w bok.

- Patrz teraz!

- Nie, nie, nie... - krzyczała czarownica. - No, powiedz mu, że go zamienię w mrówkę!!!

- Akurat...

Chłopak położył się obok Arnne. Objął ją delikatnie. Czarownica wierzgnęła jak stary muł. Ale chłopak też był silny.

Achaja opuściła oczy. Dziewczyny z lasu przeciwnie. Znowu zaczęły chichotać i komentować. Widać nie było tu żadnych tabu.

Dłuższy czas potem myły się w malutkim jeziorku, raczej stawie zagubionym wśród drzew. Właściwie to myła się Achaja, pływała, nurkowała w niesamowicie zimnej wodzie. Arnne stała jakieś piętnaście kroków dalej.

- Kurczę! Jak mam do ciebie dojść? - krzyknęła w desperacji.

- Rób małe krociki!

- Ale, kurczę, jak? Przecież... - nie mogła powiedzieć tego, co chciała. Jej policzki płonęły dużo bardziej niż wcześniej u koleżanki.

- No, przyjdź tu! Masz przecież szmatkę.

- Tak, ale... No, przecież zrobić krok, to...

- Rób małe kroki, z nogą przy nodze! - Achaja zanurkowała znowu. Wypłynęła po chwili tuż przy brzegu. - No! Rusz się wreszcie...

- Ale nie mogę! Bo... - nie wiedziała, jak to powiedzieć. Peszyła się coraz bardziej.

- Dobra. Zapomnij o wszystkim i chodź tu...

- Odwróć się, proszę!

Achaja zanurkowała znowu. Odpłynęła na sam środek stawu. Wynurzyła się, prychając głośno, dokładnie w momencie, kiedy czarownica kucała nad brzegiem.

- Ty świnió!

- Daj mi spokój! - Achaja położyła się na plecach, pozwalając, żeby niosła ją woda. Nie czuła tego dawno... Nie czuła od czasów Troy, łączności ze wszystkim, co ją otaczało, jakiegoś dziwnego, wewnętrznego zadowolenia z prostego faktu, że żyje... Nie znaczy to, że była szczęśliwa. Przypomniała sobie Lanni, która kąpała się w podobnym leśnym jeziorku, zanim to wszystko zaczęło się na dobre...

Podpłynęła do czarownicy, chwyciła ją i wciągnęła do wody. Przez chwilę kotłowały się, walcząc. Potem Arnne, jak już poczuła, że nie ma gruntu pod nogami, zaczęła płynąć. Niezle nawet. A właściwie lepiej niż Achaja. Prychała niezadowolona.

- Nie chcę, żeby mnie dotykała goła dziewczyna!

- Że cię wciągnęłam, do wody? Daj sobie na wstrzymanie.

- Już ja wiem, co się dzieje w naszej armii! - syknęła Arnne. - Już ja słyszałam, co wy tam wyrabiacie, dziewczyny! Ja widziałam, jak na ciebie patrzyła, ta twoja sierżant... I nikt mi nie wmówi, że to normalne!

- Ty mi, kurwa, nie przypominaj sierżanta!

- Bo co?

- Bo ci, psiakrew, oczy wybije!!!

Arnne odpłynęła na tyle, na ile mogła. Staw nie był za duży.

- Kochasz ją?

- Szlag!!! - Achaja podpłynęła do brzegu. Oparła ramiona na trawie. - Kurde... Nie kocham jej jak

dziewczyna chłopaka. Przeszliśmy razem trochę. W pewnym momencie czujesz jednak, że jak nie masz siostry, to jest ci ciężko. Ona nie jest jakoś tam szczególnie inteligentna... Ale jest najlepszym człowiekiem, jakiego spotkałam! Jest mi strasznie bliska! Chociaż za skarby nie pogadam z nią o wyższej filozofii, nie będę roztrząsać spraw bytu, a nawet nie porozmawiam tak jak z tobą, chociażby! Ale to... No, dobra. Kocham ją! Jak siostra siostrę! Nie mam nikogo bliższego...

- Ale robiliście to ze sobą...

- „To”? To znaczy, co? Żadna z nas nie jest chłopakiem... Więc co, niby, robiliśmy? - Achaja zakłęła jak szewc. - No, dobra... Robiliśmy! Leżeliśmy razem gołe, całowałyśmy się... No i... A żeby cię szlag! Czasem, jak jest ciężko, czasem nie możesz już nawet płakać. Czasem potrzebujesz kogoś bliskiego. Kto cię zrozumie, kto sam czuje to samo... No, dobrze. Całowałyśmy się, i to tak, że pewnie apopleksje by cię chwyciły, gdybyś widziała... Ale powiem ci jedno! Jak Shha stoi za twoimi plecami, czy to w bitwie, czy w życiu... to jest więcej niż mieć za plecami nawet dziesięć inteligentnych, wygadanych czarownic! Brakuje mi jej!!! To chciałaś usłyszeć? Brakuje mi jej... Mogłabym tu nawet zostać na resztę życia, ale nie wiem, czy ona żyje. I się, kurwa, martwię! To jest pierwszy człowiek, na którym mi naprawdę zależy w życiu! Tak! Głupia dupa ze wsi!!! Głupia dupa... Którą byś w dyskusji zagięła na tysiąc sposobów. Której byś pokazała, gdzie jej miejsce, w przeciągu jednej modlitwy, która nie potrafi się zachować na oficjalnej uczcie, bo ją nauczili, że je się palcami!!! Ale ona potrafi mi pokazać, że to obsrane życie ma sens. A ty tego nie potrafisz, chociaż przeczytałaś sto razy więcej książek, niż ona wypila wódek w karczmie! Tak... Brakuje mi jej... Brakuje! To chciałaś usłyszeć?

- Kochasz ją... - szepnęła przejęta Arnne.

- Oż, psia mać!!! Nie kocham jej jak dziewczyna chłopaka! Nie jesteśmy sobie potrzebne w łóżku, jeśli ci o to chodzi... To tylko tak obok... Zamiast... Ale jeżeli ci o to chodzi, to owszem, kocham ją! Kocham ją... Bo ona jest jedynym człowiekiem, który również kocha mnie... ale bezinteresownie. Jestem jej potrzebna. Tak ja ona mnie... Bo jesteśmy siostrami! Prawdziwymi. Nie przez zwykłe urodzenie! Shha jest moją siostrą! Czuję, że jestem za nią odpowiedzialna. Czuję, że się muszę nią opiekować. Czuję, że muszę o nią dbać! Muszę!!! A ona musi dbać o mnie, mną się opiekować, być za mnie odpowiedzialna.... Wiem, że jeśli żyje, to się teraz męczy... Ja jej... naprawdę potrzebuję!

- Kiedy uciekamy? - spytała Arnne.

Achaja otrząsnęła się nagle. Nie sądziła, że czarownica ją zrozumie. A jednak zrozumiała.

- Spróbujmy... - westchnęła. - Spróbujmy najpierw dogadać się z tymi Starszymi, czy jak im...

Arnne westchnęła ciężko. Oparła ręce na brzegu, pozwalając, by jej ciało unosiło się na powierzchni, lśniąc lekko w świetle gwiazd.

- Ty dalej jesteś agentem wywiadu... - mruknęła. - Masz kły i pazury, masz ogon... Ale dalej jesteś agentem wywiadu pana Biafry. Dalej usiłujesz wykonać zadanie!

- Tak cię to dziwi?

- A ciebie nie? Zrobili z nami jakieś niesamowite rzeczy, powołali do życia z martwych, przerobili na zwierzęta... a ty tylko... wykonać zadanie! Panie generale, major Achaja melduje się po wykonaniu wszystkich zleconych jej świństw, ku chwale, tfu!, królestwa, czy co...

- A ja ci powiem jedno... Nie wiem, co tu ze mną zrobili! Ale wiem, co ze mną zrobił Biafra. On mi dał jasno do zrozumienia. Chcesz, żeby istniało królestwo Arkach, to rób świństwa, bądź kurwą, bądź mordercą... Jeśli chcesz... płąć! Jeśli cię na to stać! Jeśli wiesz, za co płacisz. Jeśli masz pieniądze! A... a Arkach, to jedyne państwo, które mi się podoba. Które się za mną ujęło, które dało mi prawo bycia człowiekiem... nawet usranym żołnierzem w najbardziej wrednej jednostce! Powiedziałam: kocham Arkach! Zabiję dla ciebie, Biafra! I zrobię to dla niego, unurzam się w gównie, choćbym tu i teraz miała złamać ci kark, ty moja piękna czarownico...

- Ale ty masz popieprzoną przeszłość.

- Cha, cha, cha...

- I zabijesz kogoś niewinnego dla tego sukinsyna?

- Słuchaj... On mi powiedział, że jak chcesz osiągnąć to, co uważasz za słuszne... to się nie wahaj! Rób to, co ci podpowiada twój rozum. Choćby to miało być mordowanie niemowląt w kołyskach. Troy mnie sprzedało jak postaw sukna na targu. Luan zrobiło ze mnie zwierzę, i to nie takie z kłami, ogonem i pazurami... Luan zrobiło ze mnie prawdziwe zwierzę! A potem zobaczyłam Arkach... Gnoje, łapówkarze, nadęte skurwysyny!!! Ale powiedzieli mi jasno: tu jest wolność, córko! Tu jesteś człowiekiem! Choćby i gnojem, skurwysynem, łapówkarą, śmieciem... ale człowiekiem! Nie postawem sukna, nie zwierzęciem! Człowiekiem. Możesz być z nami, choć jesteś obca. Możesz ubiegać się o niezwykle godne miano człowieka razem z nami, biorąc łapówki, jeśli weźmiesz jakiś urząd, kurwiąc się, gnojąc, ale razem!!! Bez strachu w sercu. Bez bojaźni. Rób, co chcesz, ale rób to jak człowiek! Choćbyś się miała nawet zgnoić jak wieprz!!! Rób to jak człowiek....

Achaja zaczęła płakać.

- Słuchaj - pociągnęła nosem -ja w obozie niewolników też zaszłam daleko. Byłam... cha, cha, cha.... „człowiekiem” według ich nazewnictwa! Bo dupy dawałam dobrze! I potem... jedna dziewczyna, co ją świeżo przysłali, poprosiła mnie o pomoc, dla swojego chłopca, co był ranny. A ja go zabiłam! Bo... bo... mi się wydawało, że lepiej już mu pomóc nie mogę. I jeszcze uważałam, że się poświęciłam. I dostałam swoje dwadzieścia pięć batów. Dłubiąc w nosie wytrzymałam. A tamtą zabili. I pamiętam jej twarz. Jak się dziwiła. Jak się dziwiła, że ktoś może upaść tak nisko... A wszyscy byli za mną. To ja miałam

rację! To ja zrobiłam dobry, choć głupi, uczynek. Szlag!!!

Arnne podpłynęła powoli. Zagryzła wargi, potem objęła Achaję i przytuliła do siebie. Głaskała ją delikatnie po głowie.

- I... i wiesz... Potem uciekłam... do Arkach. A tam byli ludzie! Nie bogowie! Zwykli ludzie... Chuje, gnoje, świnię, ale, kurwa, ludzie! Oni nie uważali mnie za śmiecia, za towar... Ja widziałam w nadgranicznej karczmie, jak chłopci kpią z Królowej! A potem dosiadł się do nas szlachcic... ten to urągał wszystkim..., wszystkim władzom, kapłanom, bogom bez mała... No, przyszedł normalnie taki człowiek do ciebie i powiedział, że tu jest kraina ludzi... nie jakichś pięknych szczególnie, ale ludzi! Ludzi! Że głupota, łapówkarstwo, kurestwo... To jest wszędzie. Nikt mi jednak nie powiedział, że jestem postawem sukna, że jestem zwierzęciem... Chcesz żyć z nami? Żyj! Człowieku... Człowieku! - powiedzieli!

Achaja nie potrafiła powstrzymać łez. Arnne jednak, przejęta, przyciskała ją do swojego ramienia. Głaskała ją po plecach.

- Ja ci powiem jeszcze jedno. Armia Arkach wystawiła mnie, razem z całą dywizją, na pojedynek z Virionem i jego czterdziestoma mistrzami! Nie przez lekceważenie, tylko przez nieudolność... W Troy to pewnie by się nie mogło zdarzyć... Ale powiem jedno... Wytrzymałam. Bo byłam już człowiekiem. Zostałam majorem i księżniczką... I ja... ja... to strasznie cenię! W Troy byłam księżniczką, córką Wielkiego Księcia. Troy jest drugim państwem na świecie. Czy wiesz, kto to jest Wielki Książę? Królowa Arkach mogłaby mu do stołu usługiwać... A jednak cenię sobie tylko to, że jestem u was majorem! Że jestem waszą księżniczką! I jeśli Biafra powie: jedź gównem tych Starszych tutaj, ale wykonaj zadanie, to zjem gównem i wykonam zadanie! Jestem majorem wywiadu Arkach! I dam ci słowo honoru: nigdy nie byłam bardziej dumna. Jestem majorem i rozkaz wykonam. Do końca!!! Kurwa, rozumiesz mnie? Choćbym miała tu zabić tysiąc niemowląt... wykonam jak pies na łańcuchu!

- Kochasz Białę?

- Sram go! To taki gnój, że ci nawet w głowie nie postanie... To straszny sukinsyn. Tylko... sukinsyn inteligentny. Jeśli on pomoże Arkach^ to ja pomogę jemu... Choćbym się już miała nie uwolnić od smrodu.

Czarownica przybliżyła oczy do oczu Achai.

- Kiedy uciekamy? - Uśmiechnęła się. - Pani major, księżniczko moja - wypowiedziała oficjalną formułę.

-Kurde... co?

- Jestem na pani rozkazy! Proszę mi wybaczyć wcześniejsze zachowanie... Ja nie miałam swojego sierżanta, który by mi powiedział, że życie ma sens!

Achaja wzruszyła ramionami. Potem uśmiechnęła się również. Obie wyszczerzyły do siebie kły... tym razem w jak najbardziej dosłownym znaczeniu.

- Aiiiiiiiiiiii, do jasnej zarazy!!! Co ty wyprawiasz?

- Budzę cię, koleżanko!

- No, kurde... - Achaja usiłowała chwycić się czegośkolwiek. - Budzenie to u was wyciąganie za nogę z jaskini? Co za dzicz...

Aiiiiiiiiiiii nie usłyszała na szczęście. Wrzuciła Achaję do jeziora i odsunęła się, żeby nie dosięgły jej zimne strugi.

- Noc zapada. Czas wstawać! - krzyknęła.

Achaja, prychając, wyskoczyła na trawę. Chciała zakłąć, ale Aiiiiiiiiiiii już wycierała ją liśćmi. Ktoś wrzucił do jeziora Arnne. Jest jednak jakaś sprawiedliwość!, pomyślała Achaja.

- Spróbuj rozplatać te swoje warkoczyki! - Aiiiiiiiiiiii nachyliła się nad głową dziewczyny. - Kto ci to tak poplątał?

- Sama sobie zrobiłam... - Achaja rozplątywała jednak posłusznie swoje wojskowe warkocze. Wiedziała, że Aiiiiiiiiiiii nie jest złośliwa, ale też nie ma pojęcia, że palnięcie kogoś w twarz z całej siły, w cywilizowanym świecie nie jest bynajmniej oznaką przyjaźni.

Wokół zgromadziło się kilkanaście dziewczyn i kilku chłopców. Wszyscy komentowali żywo wygląd obcych. Głównie czepiano się włosów Achai - nikt nie wiedział, jak można sobie zrobić tak głupie uczesanie... I po co? Achaja z kolei nie wiedziała, co ich tak dziwi, rozplątywała szybko warkocze, bo nie chciała zarobić kilku „przyjacielskich” ciosów ani w twarz, ani w żadną inną część ciała. Zdażyła już parokrotnie zaobserwować, że uderzenie zniechęca kogoś, na przykład w wątrobę, jest w tym świecie wojowników ogólnie przyjętą formą wyrażania emocji... Szlag! Miała tych warkoczyków jednak strasznie dużo... Dostała od tyłu w kręgosłup, za opieszałość, od jakiejś chudej, wysokiej dziewczyny i, naprawdę przyjacielsko, kopniaka w tyłek od Aiiiiiiiiiiii. Nareszcie skończyła... Ale nie był to koniec męki.

Aiiiiiiiiiiii zaczęła rozczesywać jej włosy, nie przejmując się zupełnie, że część wyrывa.

- Ja ci pokażę, jak to się robi, smarkata obca! - mruknęła.

- To zupełnie nie tak, jak miałas na głowie... Zupełnie nie tak! O!

Zostawiła jej gruby kosmyk z tyłu, resztę włosów zebrała na czubku głowy i związała je mocno. Puściła je, aż rozsypały się wokół, i związała Achai opaskę na wysokości czoła. Potem znowu zebrała na czubku, związała, puściła, założyła nową opaskę i powtórzyła całą operację raz jeszcze.

- No! - palnęła Achaję z całej siły w głowę. - Teraz włosy cię chronią!

Rzeczywiście, miała teraz na głowie coś w rodzaju naturalnego hełmu. Cios jednak poczuła. Aiiiiiiiiiiii zaczęła splatać jej warkocz z pozostawionego grubego kosmyka na plecach. Wplatała tam jakieś roślinne włókna i kawałki kolorowych szmatek. Na samym końcu przywiązała dość spory kamień.

jednak przyzwyczajona do twardej szkoły. Nie miała za złe obcej, że pobiła wszystkich boleśnie.

Achaja podeszła do niej i wyprostowała ją, ciągnąc za włosy.

- W każdej ręce masz po pięć palców. Kciuk i dwie pary. Odtąd musisz je tak dzielić... - Podała jej dwa kije. - Prawą chwytasz tak: kciuk z góry, pierwsze dwa z dołu, drugie dwa z góry. Lewa dłoń odwrotnie. - Pokazała jej, jak ma trzymać i ułożyła palce. - Teraz przerzuty, prawą krótki, lewą długi.

Aiiiiiiiiiii pogubiła kije przy pierwszej próbie.

- No... teorię już znasz! Teraz poćwicz, a po roku następna lekcja.

- Jak to, po roku? - dziewczyna nie zrozumiała niczego. - Co ty mówisz?

- Musisz opanować podstawy... Ale to tylko wieczorami, tfu! rankami. Bo przez wszystkie noce przez ten rok masz łupać kamienie gołymi rękami. Weź kij, musisz utwardzić go w ognisku, odnaleźć jakieś duże kamienie i rozłupywać je od zmroku do świtu!

- Po co?

- Musisz być silna. Musisz mieć silne ręce i silne palce - tłumaczyła tamtej cierpliwie. - Inaczej cała nauka na nic.

- Jestem silna! - krzyknęła Aiiiiiiiiiii.

- Taaak? - Achaja uśmiechnęła się słodko. - No, to cześć... - podała jej dłoń. - Robimy tak: ściskamy się za ręce. Jedyna możliwość przerwania pojedynku, to jak przeciwnik klęknie przed zwycięzcą i pocałuje go w kolano. Dobrze?

- Dobrze!

- I pamiętaj... - szepnęła Achaja - zrób to szybko... zanim pogruchoczę ci kości!

- He, he... Chwal się... Chwal! A ja zaraz...

Nie dokończyła. Ścisnęły się na znak dany przez Arnne. Aiiiiiiiiiii zacisnęła zęby, ale wbrew pozorom nie była głupia. Rąbnęła na kolana i pocałowała Achaję w kolano, zanim ta zrobiła z jej dłoni kostną mączkę. Usiłując nie jęczeć i powstrzymując łzy, oblizywała krew płynącą spod paznokci.

- Teraz już wiesz, o co mi chodziło? - uśmiechnęła się Achaja.

- Uch... - Aiiiiiiiiiii nie mogła zaczerpnąć oddechu.

- Wiem! Bogowie...

Jęknęła cicho. Ciągle na kolanach. Nie mogła rozprostować palców. Achaja przyklękła obok.

- Jestem dobra - szepnęła. - Bardzo dobra. Jestem mistrzem. Mówią nawet, że jestem szermierzem natchnionym... Ale... Jeśli przyjedzie tu Virion, potnie cię na paseczki nawet nie przerywając śniadania! A jeśli przyjedzie tu Nolaan, to... nie będziesz nawet wiedziała, że giniesz. A on nie będzie nawet wiedział, że cię zabił! Rozumiesz mnie? Tam za lasem jest bardzo twardy świat! Tam nie ma takich wojowników jak wy. Ale skurwysyny są sto razy większe. Tysiąc razy większe. Oni nie wytrzymają w nocy walki z wami jeden na jednego... Ale załatwią was jak zechcą. Uwierz mi! Oni są bardziej twardzi. Oni wytrzymają w nocy walki z wami jeden na jednego... Ale załatwią was jak zechcą.

Uwierz mi! Oni są bardziej twardzi. Oni są bardziej bezwzględni! Oni mają siłę, mają pieniądze, możliwości, oni mają czas... - Achaja spojrzała Aiiiiiiiiiii w oczy. - Za trzy lata Wielkiego Lasu już nie będzie. A te swołocze będą... i będą miały się dobrze! Zrozumiałas mnie? - Popatrzyła uważnie. - Dobrze mnie rozumiałas? - Dotknęła dłonią jej szyi. - We wszystkim mnie rozumiałas? Arnne kucnęła tuż obok.

- Wysłuchaj jej uważnie - szepnęła. - Jej słowa są słowami Biafry. Najgorszego skurwysyna, jakiego ziemia nosi... Wysłuchaj jej uważnie!

- Ale...

- Posłuchaj jej uważnie - powtórzyła Arnne. - Bo jak ona mówi, to jest tak, jakby sam Biafra mówił. Za trzy lata lasu już nie będzie! Spalą was! Spalą was... Nie pozostanie ani jedno drzewo Mu będzie jedno wielkie popielisko!

- Nie damy się!

- Posłuchaj... Usiłowałaś oprzeć się Achai... Ona jest twarda... Ale Biafra jest o całe niebo większym skurwielem!

Achaja prawie zastrzygła uszami, słysząc to określenie w ustach czarownicy. Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Musisz nas skontaktować ze Starszymi, Aiiiiiiiiiii. Musisz!

Dziewczyna spojrzała na Achaję.

- Tego się nie da zrobić.

- Musisz, kotku!

- Nie. Nie mogę! Ja jestem za mała!

- Możesz. Tylko skup się! -Nie da rady...

Achaja nachyliła się do jej ucha.

- Posłuchaj, Aiiiiiiiiiii. Jak to załatwisz, dam ci się pokonać przy wszystkich twoich kolegach i koleżankach! Zrobisz ze mną w szermierce co zechcesz. Na ich oczach!

- O, bogowie! - Smolisto czarne oczy dziewczyny rozszerzyły się z wrażenia. - Kurde! Dam ci za to mój łuk i wszystkie strzały, i plecionkę, co ją robiłam zeszłej zimy, i mojego chłopaka... na trzydzieści dni!!! On jest fajny! Fajny, fajny! Strasznie go kocham! Będzie ci się strasznie podobał...

Achaja zerknęła na Arnne i pokiwała głową.

- Nie chcę twojego łuku, nie chcę twojego chłopaka, Aiiiiiiiiiii. Ja muszę się spotkać ze Starszymi!

Czarownica nachyliła się również i szepnęła.

- Aiiiiiiiiiii, posłuchaj nas uważnie. Jak pokonasz Achaję przy świadkach, to sama pewnie zostaniesz Starszą! Wszyscy będą ci zazdrości! A ona najpierw rozwali pięćdziesięciu wojowników! A potem tyją... Rozważ to dokładnie.

O bogowie! - jęknęła Aiiiiiiiiiii. - Tak strasznie bym chciała cię pokonać... - Zagryzła wargi. - Naprawdę nie chciałybyście mojego chłopaka? Co? On jest fajny!

- Nie chcemy twojego chłopaka, dziewczyno. Nie chcemy twojego łuku, choć na pewno jest dobry. My musimy porozmawiać ze Starszymi!

- I jesteśmy ci w stanie bardzo pomóc... - dodała Achaja.

- Dzięki nam możesz zostać Starszą... - sączyła jad w ucho skołowacialej dziewczyny. - My jesteśmy z wywiadu. Pomożemy ci nawet tutaj! Będzie fajnie!

- Wszyscy będą ci zazdrościć! - wtrąciła Arnne. - My jesteśmy z wywiadu. My możemy wszystko zrobić! Wszystko!

- Będzie ci dobrze, dziewczyno - Achaja syczała jak wąż.

- Z nami będziesz kimś...

- My możemy sprawić, że będziesz najważniejsza... Najlepsza... - oczy Arnne przypominały oczy węża, właściwie całe były czarnymi źrenicami - A prosimy tylko o drobną przysługę! O bardzo małą rzecz...

- Co ci zależy? Tylko nas skontaktujesz... Taki drobiazg? Czy to w ogóle warte splunięcia?

- A za to... - Arnne objęła Aiiiiiiniiii za szyję - pokonasz Achaję! Szermierza natchnionego! Przy wszystkich... Wiesz, co będą mówić o tobie koleżanki? Jak strasznie będą ci zazdrościć?

- Taki mały układ... Rozumiesz? - szeptała Achaja. - No, zgódź się. Co ci zależy?

- To taki drobiazg... - szeptała Arnne. - Za takie małe gówienko dostaniesz wieceeeelką nagrodę!

Aiiiiiiniiii patrzyła to na jedną, to na drugą. Nie bardzo wiedziała, czym może zaszkodzić swoim, zgadzając się na tę propozycję. Dla pewności spytała jednak:

- Wy chcecie dla nas dobrze? Tak?

- Tak! Tak! - Obie, czarownica i Achaja, energicznie przytaknęły, usiłując zachować przy tym kamienne twarze. - Oczywiście!

- No... to dobrze. Mój chłopak może wiele u...

- Pomiń nieistotne szczegóły. Zrób to.

Obie wstały. Arnne i Achaja. Obie podeszły do drzew na skraju polany, żeby oddalić się od niepotrzebnych uszu.

- Ale jesteśmy świnię - szepnęła Arnne, zasłaniając usta.

- Jesteśmy w wywiadzie.

- No. Aleśmy jej wodę z głowy zrobili... Biedna dupka.

- Bywa... I tak lepiej będą miały pod naszym butem, niżby miały być spalone.

- Prawda... - Arnne przeciągnęła się, prostując kości.

- Ten jej chłopak, zdaje się, dużo może... Kto mu da dupy? Ty czyja?

- Ja - ziewnęła Achaja. - Jestem bardziej wprawiona...

Andrzej Ziemiański

Przedstawiony tutaj fragment tekstu pochodzi ze znakomitej powieści Andrzeja Ziemiańskiego, która liczy sobie, bagatela, 1500 stron maszynopisu. Pragną jednak poinformować wszystkich czytelników, że jeśli okoliczności pozwolą przedstawimy ją w całości w serii Kolekcji „Science Fiction”.

W OCZACH BOGA

Ława była wąska i niewygodna. Siedziałem na niej już kilka godzin, a przechodzący słudzy i dworzanie biskupa uśmiechali się drwiąco na mój widok. Oni mogli sobie na to pozwolić. Opieka Gersarda, biskupa Hez-hezronu, była najlepszą gwarancją bezkarności i bezpieczeństwa. Aleja, Mordimer Madderdin, inkwizytor Jego Ekscelencji, nie przywykłem do takiego traktowania. Dlatego siedziałem ponury jak gradowa chmura. Chciało mi się jeść i pić. Chciało mi się spać. Z pewnością nie chciałem czekać tu na audiencję, nie chciałem też widzieć biskupa, bo nic miłego nie mogło mnie u niego czekać. Gersard miał ponoć wczoraj atak podagry, a kiedy chwycił go bóle, był zdolny do wszystkiego. Na przykład do tego, aby odebrać mi koncesję, która i tak wisiała na włosku od czasu, gdy przesłuchałem nie tego człowieka co trzeba. W końcu to nie moja wina, że na świecie istnieją sobowtóry. A przynajmniej ludzie bardzo podobni do siebie. Tyle że kuzyn hrabiego Werfena, niestety, nie przeżył przesłuchania. I ja teraz mogłem mieć kłopoty. Jeżeli odbiorą mi koncesję, świat nagle stanie się bardzo niebezpiecznym miejscem. Tak to już jest, że inkwizytorzy mają zwykle więcej wrogów niż przyjaciół. Oczywiście, odszedłby ode mnie również Anioł Stróż, a życie bez Anioła trudno sobie wyobrazić. Choć, między nami mówiąc, trudno też sobie wyobrazić życie pod opieką Anioła. Aleja sobie nie tylko je wyobrażałem, lecz zdołałem przez te wszystkie lata się do niego przyzwyczaić.

W końcu podszedł jakiś wymuskany klecha, roztaczający wokół woń drogich perfum, i spojrzał na mnie z góry.

- Madderdin? - zapytał. - Inkwizytor?

- Tak - odparłem.

- Jego Ekscelencja czeka. Rusz się, człowieku!

Przełknąłem obelgę i tylko starałem się zapamiętać tę beczelną twarz. Da Bóg, spotkamy się w bardziej sprzyjających okolicznościach. Nawet słudzy biskupa mogą z czasem trafić do naszych mrocznych cel. A wiercie mi, że tam tracą już wszelką pogardę dla siedzącego naprzeciw nich inkwizytora. Wstałem i wszedłem do komnaty biskupa. Gersard siedział pochylony nad dokumentami. Prawą dłoń miał całą w bandażach, co znaczyło, że atak podagry nie był, niestety, plotką.

- Madderdin - rzekł takim tonem, jakby to było przekleństwo - dlaczego ty właściwie jeszcze żyjesz, łajdaku?

Uniósł wzrok. Widać było po oczach, że musiał sobie trochę wypić. Twarz miał obsypaną alergicznymi plamami. Było więc gorzej, niż przypuszczałem.

- Wierny sługa Waszej Ekscelencji - rzekłem, pochylając się głęboko.

- Mordimer, na Boga, odbiorę ci koncesję! Co to za bzdury w ostatnich raportach? Co to jest Kościół Czarnego Przemienienia? ,

- Nie pisałem o niczym takim, Wasza...

- Właśnie! - wrzasnął i głos załamał mu się w czasie tego wrzaśnięcia, a plamy na policzkach jeszcze bardziej poczerwieniały. - Po co ja cię trzymam, głupcze, skoro dowiaduję się o nowych herezjach od kogoś innego?

W życiu nie słyszałem o Kościele Czarnego Przemienienia, więc postanowiłem rozsądnie milczeć.

- Nowa sekta - powiedział, patrząc na mnie spoode łba - założona i prowadzona przez człowieka nazywającego siebie apostołem Szatana. Podobno to jakiś ksiądz, zajmujący się czarną magią. Mówią, że ta sekta dorobiła się już całkiem sporej liczby wyznawców. Masz go znaleźć, Madderdin i doprowadzić do mnie. I, na Boga, pospiesz się, bo skończę z tobą.

- Czy Wasza Ekscelencja wie, gdzie mam go szukać? - zapytałem najbardziej uniżonym tonem, na jaki było mnie stać.

- Gdybym wiedział, gdzie go szukać, nie kazałbym tego robić tobie, idioto - odparł biskup i pomasaował sobie łokieć. - Madderdin, czym ja zgrzeszyłem przeciw Bogu, że pokarał mnie takimi ludźmi, jak ty?

Znowu uznałem, że lepiej nie odpowiadać, i tylko głęboko się skłoniłem.

- Idź już. - Ekscelencja machnął ze znużeniem lewą dłonią. - Wynoś się i nie wracaj mi bez tego człowieka. Aha, i jeszcze jedno. Słyszałem, że odprawiają rytuały z poświęcaniem dziewic czy noworodków, czy coś tam takiego... - urwał, aby znowu pomasaować sobie łokieć.

- Kiedy mogę zgłosić się do skarbnika Waszej Ekscelencji? - zapytałem, cały czas głęboko pochylony. Cichym i łagodnym głosem.

- Won! - ryknął biskup, a ja uznałem, że cóż: nie zawadziło spróbować.

Wycofałem się rakiem, a kiedy zamknięto za mną drzwi, odetchnąłem z ulgą. Trzeba było się brać do roboty, ale przynajmniej moja koncesja była na razie bezpieczna. Tylko źle ze mną będzie, jeżeli nie znajdę heretyka. Ale tym przyjdzie jeszcze czas się martwić. Wyszedłem z pałacu biskupa i odetchnąłem świeżym powietrzem. A raczej powietrzem rynsztoków i spelunek. Bo tak pachnie Hez-hezron. Czy mówiłem wam już, że to najohydniejsze z ohydnych miast? Podobno wiek temu król Merwid Złotousty kazał Hez-hezron spalić, aby wybudować na jego miejscu wymarzone przez siebie Miasto Słońca. Ale nim

Merwid spalił miasto, spalono jego i pomysł umarł śmiercią naturalną.

Teraz musiałem odszukać bliźniaków oraz Kostucha. Sprawa w sumie była prosta - musieli bawić się gdzieś kartami lub kośćmi, a ja przecież znałem ich ulubione miejsca. Pierwszym była karczma „Pod Bykiem i Ogierem”, jednak tam właściciel rozłożył tylko ręce.

- Ograł ich szuler spoza miasta - powiedział - i słyszałem, że poszli na zarobek.

Westchnąłem. Jak zwykle dali się wykiwać byle komu. I tak dobrze, że go nie zabili, bo teraz musiałbym ich może szukać w lochu burgrabiego. Ale słowo „zarobek” mogło znaczyć wiele rzeczy. I niekoniecznie przyjemnych.

- Co za zarobek? - spytałem niechętnie.

- Mordimer, ty wiesz, że ja nie lubię za dużo wiedzieć - odparł karczmarz, któremu pozwalałem mówić sobie po imieniu, bo walczyliśmy kiedyś razem pod Kir-karalath. A weterani spod Kir-karalath są sobie równi, choćby nie wiem jaka dzieliła ich społeczna przepaść. Takie było niepisane prawo. Zresztą, niewielu nas wtedy zostało. Bardzo niewielu, powiedziałbym nawet.

- Korfis - rzekłem spokojnie - nie utrudniaj. Dostałem zlecenie i jak ich nie znajdę, to go nie wykonam. A wtedy zostanę obdarty ze skóry. Jestem ci winien pięć dukatów. Chyba chciałbyś je kiedyś dostać z powrotem?

- Siedem - spojrzał na mnie chytrze.

- Niech będzie - zgodziłem się, bo równie dobrze mogło być siedemdziesiąt. I tak w kabzie brzęczały mi tylko dwa samotne półgroszaki. I za Boga nie zamierzały się rozmnożyć.

- A może ubijemy interes? - spytał i popatrzył na mnie badawczo.

-No?

- Ten szuler tu jest. Dam ci forszę; ograł go, a dostaniesz piątą część wygranej.

- Czterdzieści procent - odparłem machinalnie, ale przecież i tak nie zamierzałem się zgodzić.

- Co? - nie zrozumiał.

- Połowę.

Pokiwał głową i myślał przez chwilę.

- Dam ci połowę - stwierdził i wyciągnął łapę: - Przybite, Mordimer?

- Ty wiesz, że ja nie gram - powiedziałem, zły, że dałem się wciągnąć w tę rozmowę.

- Ale umiesz. A większość gra i nie umie - odparł sentencjonalnie. - No?

- Ile on może mieć?

Karczmarz nachylił się nade mną. Jechało od niego piwem i gotowaną kapustą. Jak na Hez-hezron nawet nieźle. Znam gorsze zapachy.

- Może trzysta, może czterysta - tchnął mi w ucho. - Jest się o co bić.

- Zwykły oszust czy magik?

- A kto go tam wie? Wygrywa od tygodnia. Dwa razy próbowali go zabić...

- I?

Korfis w milczeniu przeciągnął palcem po gardle. - Dobry jest - dodał. - Ech, Mordimer, żebyś ty chciał grać. Jaki my byśmy majątek zrobili, człowieku.

- Gdzie są Kostuch i bliźniacy?

- Mają jakąś robótkę u Hilgerarfa, wiesz, tego ze spichlerzy. Jakieś ściąganie długów, czy co - wyjaśnił po chwili namysłu. - Zagrasz, Mordimer? - spytał prawie błagalnym głosem.

Trzysta dukatów, pomyślałem, zostanie mi z tego sto pięćdziesiąt. Niby miało się czasem i dziesięć razy więcej, ale teraz to był majątek. Starczyłoby na szukanie heretyka. Zakląłem w myślach, bo nie dość, że mam pracować za darmo, to jeszcze muszę zarobić na tę pracę. Co za łajdak z biskupa.

- Może - westchnąłem, a Korfis aż chciał mnie klepnąć w plecy, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Wiedział, że nie przepadam za tego rodzaju czułościami.

- Dam ci sto dukatów. - Nachylił mi się znowu nad uchem. - Starczy, żeby zacząć, co?

No cóż, knajpiany biznes kwitnie w Hez-hezronie, skoro karczmarz ma na zbyciu sto dukatów. A jak dawał sto, to miał pewnie i pięć razy więcej.

- A jak przegram? - zapytałem.

- To będziesz miał dług - zaśmiał się - ale ty nie przegrasz, Mordimer.

Zapewne, pomyślałem, tylko ty nie wiesz, że mnie nie wolno grać. I że jak dowie się o tym mój Anioł Stróż, to będę miał przesrane na długie miesiące. A co gorsza, może mnie załatwić w czasie gry. Chyba że uzna, iż gram w szlachetnym celu. A niezbadane są ścieżki myślenia Aniołów.

- Teraz to on śpi - rzekł Korfis. - Grał całą noc u Lonny i wrócił dopiero nad ranem.

- Nieźle - powiedziałem, bo u Lonny grało się wysoko. - Przejdę się tam. Daj parę dukatów.

Korfis westchnął i wygrzebał z zanadza jednego oberżniętego po brzegach dukata i trzy pięciogroszaki.

- Doliczę ci do rachunku - mruknął.

Nawet nie wyciągnąłem ręki, tylko spojrzałem na niego wymownie.

- Korfis, we mnie trzeba zainwestować - mruknąłem.

- Zainwestować - powtórzył, wyraźnie wymawiając zgłoski. - Ilekroć słyszę to słowo, wiem, że ktoś chce mnie obłupić ze skóry - dodał, ale wyjął jeszcze jednego dukata. Jeszcze bardziej oberżniętego po brzegach niż pierwszy, chociaż to akurat mogło się już wydać niemożliwe.

Dom madame Lonny był masywnym, jednopiętrowym budynkiem ogrodzonym murem, za którym szalały specjalnie wyszkolone psy. Mówiono zresztą, iż to nie psy, tylko mieszanek szakala i wilka, i że miały zatrute zęby. Ale podejrzewam, iż takie bajdy rozpuszczała sama Lonna, aby dodatkowo wystraszyć nieproszonych gości. Lonna prowadziła dobrej klasy burdel z wykwinnym wyszynkiem i jedzeniem. Prócz tego grano u niej w kości i karty. Grano wysoko i w niezłym towarzystwie, bo nierzadko można tam było

trafić na bogatych szlachciców z okolic Hez-hezronu (po co przyjeżdżali do miasta, opuszczając swe posiadłości, Bóg jeden raczy wiedzieć), co znamienitszych mieszczan i mistrzów cechowych. A zresztą, każdy, kto miał wypchaną kabzę i jako tako wyglądał, był tam mile widziany.

Zastukałem kołatką. Kilkakrotnie, bo pora była nietypowa i musiałem chwilę poczekać, nim ktoś się zbliżył do drzwi. Trzasnął uchylany judasz.

- Pan Madderdin - usłyszałem głos zza drzwi i poznałem Gryttę, który pełnił u Lonny rolę odźwiernego, wykidajły i w ogóle chłopca do wszelkich zleceń. Grytta był zwalistym chłopem o twarzy wioskowego głupka. Ci, których zmyliła ta powierzchowność, zwykle nie mieli już okazji popełniać następnych pomyłek.

- Nie da się ukryć - odparłem. - Jest Lonna? Grytta wahał się chwilę, nim odpowiedział.

- Jest - rzekł w końcu, otwierając drzwi. Krzyknął na psy. - Dziwna pora na odwiedzin, panie Madderdin.

- Dziwna - przytaknąłem i dałem mu dukata. Trzeba mieć gest.

Grytta zaprowadził mnie do saloniku i postawił na stoliku butelkę wytrawnego wina oraz kieliszek.

- Wszyscy śpią jeszcze, panie Madderdin - wyjaśnił. - Trzeba będzie trochę poczekać.

- Nie ma sprawy - powiedziałem i wyciągnąłem się w fotelu.

Jestem przyzwyczajony do spania o każdej porze i w każdych warunkach. W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek będzie miał następną okazję. Lonna weszła do pokoju, a ja się natychmiast obudziłem.

- Zawsze czujny - powiedziała, widząc, że otwieram oczy. - Dawno się nie widzieliśmy, Mordimer. Przychodzisz oddać dług?

- A ile ci jestem winien?

- Dwadzieścia dukatów - powiedziała i jej oczy pociemniały. - Czy to ma znaczyć, że ich nie przyniosłeś?

- Ty zawsze o pieniądzach - westchnąłem. - Nawet nie zdążyłem ci powiedzieć, jak pięknie wyglądasz.

- Daruj sobie - wzruszyła ramionami. - Czego chcesz?

- Jak zwykle. Informacji.

- Zwykle to ty chcesz tu czegoś innego - odparła. - Jakiej informacji?

- Ktoś grał wczoraj u ciebie. Jakiś zamiejscowy szuler. Wygrał?

- Czy ja śledzę każdego, kto tu gra? - zapytała zniecierpliwiona. - Wczoraj było mnóstwo ludzi.

- Lonna - wstałem i przeciągnąłem się, aż mi chrupnęło w kościach, nalałem sobie wina - masz mnie za idiota?

- Wygrał - powiedziała - bardzo dużo.

- Znaczy?

- Czterysta, może nawet pięćset. Ale on nie kantował, Mordimer. Kazałam go sprawdzić.

- Są różne rodzaje kantów - odparłem.

- No właśnie. Może wrócimy do mojej dawnej propozycji?

- Nie - zaśmiałem się.

Lonna kiedyś proponowała, abym zajął się kontrolą graczy. Potrafię bezbłędnie poznać, czy ktoś oszukuje. Rozszyfruję każdego magika czy iluzjonistę, nie mówiąc już o zwykłych szulerach. A Lonna nie tolerowała oszustów. Między innymi dlatego jej dom był tak popularny, bo grało się tam czysto. A przynajmniej w miarę czysto.

- W co grał?

- W „biskupa” - roześmiała się nieco pogardliwie.

Ja też się zdziwiłem. „Biskup” był jedną z najbardziej głupich i prymitywnych gier. Wygrywał ten, kto zebrał rycerza, giermka i tuza, obojętnie jakiej maści, a przy tym nie miał damy. Zabawa dla wozaków. Zupełnie bezmyślna.

- I co potem?

- Poszedł. - Wzruszyła ramionami: - Nawet nie poprosił o obstawę.

U Lonny istniał dobry zwyczaj odprowadzania gości, którzy wygrali, przez specjalnie dobranych ochroniarzy.

- Przyjdzie dzisiaj?

- Jak go nie zabili, to pewnie przyjdzie. - Znowu wzruszyła ramionami. - Po co ci on?

- Ograł moich chłopaków, więc może ktoś powinien mu odpłacić.

Lonna nie wytrzymała i chwyciła mnie za rękę.

- Będiesz grał, Mordimer? - Widziałem, jak zapłonęły jej oczy. - Naprawdę zagrasz?

- Może, może... - odpowiedziałem, uwalniając dłoń.

- Czuć się gościem - rzekła z szerokim uśmiechem, który odmłodził ją o ładnych parę lat. - Dam ci pokój, żebyś wypoczął przed wieczorem. Chcesz coś jeszcze? Wino, dziewczyny?

- Na razie nie. Dzięki, Lonna, ale muszę poszukać Kostucha i bliźniaków. Szlag ich gdzie trafił.

- Tylko błagam, nie przyprowadzaj ich, jeżeli nie musisz.

- Lonna złożyła dłonie na piersiach. A było na czym składać.

- Ostatnio Kostuch wypłoszył mi gości.

- Nie ma się czemu dziwić. Jakbym go nie znał, sam bym się przestraszył.

- Zobaczymy się wieczorem.

Wyszedłem nieco odświeżony tą chwilą snu i ruszyłem na poszukiwanie chłopaków. Mieli robótkę u Hilgferarfa? No, to wiadomo gdzie zacząć. Do spichlerzy od domu Lonny nie było specjalnie daleko, toteż spacer zajął mi najwyżej pół godziny. Już z daleka było widać niekształtne magazyny, przytulone do brzegu rzeki. Namnożyło się ich ostatnimi czasy, bo i handel, po zakończeniu wojny na południu, rozkwitł jak nigdy. Hilgferarf był jednym z nowych tuzów kupieckich. Młody, przebojowy i bez skrupułów.

Zaczynał jako doker, a teraz miał cztery okazałe magazyny. Spichlerze to była już tylko zwyczajowa nazwa, bo teraz w magazynach trzymało się dziesiątki różnych towarów. Hilgferarf specjalizował się w broni, gdyż miał dobre kontakty z kupcami z Barden-hager, ale w zasadzie zajmował się każdym towarem. Jeden magazyn miał specjalnie przystosowany dla dziewczyn z Południa, na które zawsze był niezły popyt. Sama Lonna kupiła tam kilka niezłych sztuk, ale szybko umarły. Podobno nie wytrzymały życia w zamknięciu i liczby klientów. Ale i tak pewnie Lonnie kosztą zwróciły się z naddatkiem. Na terenie spichlerzy kręcili się ochroniarze z pałkami w rękach, było też kilku ludzi ze straży portowej, jak zwykle schlanych prawie do nieprzytomności. Biuro Hilgferarfa przytykało do jednego z magazynów nad samym brzegiem rzeki. Czy raczej tego spienionego ścieku, który z przyzwyczajenia nazywano rzeką.

- Czego tu? - Przy drzwiach czuwało dwóch strażników.

- Szukam pana Hilgferarfa - wyjaśniłem.

- Byłeś umówiony? Jak nie, to spływaj. Spojrzałem na niego i trochę się stropiłem.

- Nazywam się Madderdin, synu. Mordimer Madderdin, inkwizytor biskupa Hez-hezronu. Chciałbyś, abym był miły, kiedy spotkamy się kiedyś u mnie?

- Przepraszam, panie Madderdin - strażnik, który ze mną rozmawiał, przełknął głośno ślinę - proszę o wybaczenie. Zaraz powiadomię pana Hilgferarfa.

Wszedłem do środka, a Hilgferarf nie dał mi długo czekać. Bardzo uprzejmie z jego strony. Miał całkiem miłe biuro wypełnione meblami z czarnego dębu. Nieco nuworyszow-skie, ale jednak eleganckie.

- Miło mi, panie Madderdin. - Miał silną dłoń, no ale skoro kiedyś był dokerem...

- Proszę wybaczyć, iż zabieram panu czas - powiedziałem uprzejmie - ale podobno wynajął pan moich chłopców. Dwóch bliźniaków i człowieka...

- A, tego przystojniaczka - wszedł mi w słowo kupiec. - Zgadza się. Miałem dla nich robótkę. Proszę usiąść, panie Madderdin. Wina?

Pokręciłem głową.

- Wzięli zaliczkę i tyle ich było - powiedział spokojnie, ale wiedziałem, że jest wściekły.

- To do nich niepodobne - naprawdę się zaniepokoiłem. Bliźniacy i Kostuch nigdy nie pozwoliliby sobie na wystawienie klienta do wiatru. A przynajmniej nie w Hez-hezronie. - Czy mógłbym wiedzieć, co to była za praca?

- Panie Madderdin - kupiec usiadł za biurkiem - bądźmy szczerzy. Słyszałem, że poza swoimi obowiązkami służbowymi zajmuje się pan też czasem pomaganiem ludziom będącym w kłopotach. Jeśli byłby pan zainteresowany, to...

- Proszę mówić.

- Mam dłużnika. Chodzi o poważne sumy...

- Jak poważne? Uniósł rękę.

- Za chwilę, jeśli pan pozwoli. Chodzi o prałata Bulsaniego.

- O, cholera! - pozwoliłem sobie zakląć. Prałat Bulsani był dziwkarzem, pijakiem i hazardzistą. A przy tym miał zdumiewająco mocne plecy.

Hilgferarf uśmiechnął się blado.

- To dobra reakcja, panie Madderdin. Powiedziałem to samo, kiedy dowiedziałem się, czym jestem wierzycielem.

- Kiedy dowiedział się pan...? To znaczy...?

- Bulsani dostał spadek i przyjął go, bo aktywa nieznacznie przekraczały pasywa. Ale pasywami były weksle. Na cztery i pół tysiąca dukatów. Płatne do przedwczoraj. Jak pan rozumie, płatne w moim biurze. Tymczasem Bulsani sprzedał dom i kilka zobowiązań, ale nie zamierza płacić długów. Wyszedł jakieś pięć tysięcy na czysto, więc ma pieniądze...

- Znając go, stan ten nie potrwa długo - mruknąłem.

- Dlatego zależy mi na szybkości. Jestem w stanie zaoferować pięć procent od sumy ściągniętego długu.

- Dwadzieścia pięć - odparłem machinalnie - plus dziesięć procent ekstra, bo chodzi o Bulsaniego. I sto pięćdziesiąt dukatów na wydatki.

- To żarty - nawet się nie zdenerwowałem. Z twarzy wciąż nie schodził mu miły uśmiech.

- Jeśli nie załatwi pan tego w ciągu kilku dni, straci pan pieniądze raz na zawsze - powiedziałem. - Jasne, może pan go kazać zabić. Ale po pierwsze, nie zwróci to panu forsy, a po drugie, zabicie Bulsaniego oznacza kłopoty. Może pan zwrócić się do sądu. Ale to może oznaczać jeszcze większe kłopoty.

Hilfgard stuknął obsadką pióra w blat biurka i cały czas przyglądał mi się z uśmiechem.

- Wie pan, ile utargowali pańscy przyjaciele? - zapytał.

- Tak?

- Osiem procent i dziesięć dukatów zaliczki.

- Dlatego nigdy nie powinni robić interesów beze mnie - westchnąłem. - To przykre, kiedy ludzie nie potrafią się niczego nauczyć.

- Ale jednak pańskie propozycje są nie do przyjęcia - dodał.

Przyglądałem mu się przez chwilę. Cholernie wyedukował się ten były doker. Co za zasób słów!

- Nie mam siły - powiedziałem - targować się. Jestem zmęczony i mam przed sobą ciężką pracę. Ostatnie czego pragnę, to wpłacać się w kłopoty przez dłużni Bulsaniego. Moja propozycja, to dwadzieścia pięć procent od sumy i sto trzydzieści bezzwrotnej zaliczki. - Kupiec chciał coś wtrącić, ale uniosłem dłoń: - To naprawdę ostatnia propozycja.

Hilgferarf pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Niech i tak będzie. Słyszałem o panu dużo dobrego, panie Madderdin. Nie jest pan tani, ale słynie z rzetelnego podejścia do pracy. Mam nadzieję, że odzyskam moje pieniądze.

- Szczerze? - skrzywiłem się. - Sądzę, że straci pan jeszcze te sto trzydzieści na zaliczkę dla mnie.

- Szczerść godna podziwu - powiedział bez najmniejszej ironii w głosie - jednak zaryzykuję. Być może - dodał ostrożnie - potem, jeżeli wszystko się powiedzie, miałbym dla pana coś poważniejszego. Coś dużo poważniejszego.

- Skąd to zaufanie?

- Ja znam się na ludziach, panie Madderdin. A pan jest uczciwym człowiekiem. Co nie znaczy moralnym - zastrzegł się od razu - ale uczciwym.

Zastanowiłem się przez chwilę. To prawda. Rzeczywiście byłem uczciwym człowiekiem. Przynajmniej jak na to miejsce i te czasy. Hilgferarf wiedział, że spróbuję znaleźć Bulsaniego i odzyskać dług, choć równie dobrze mogłem przecież przejechać zaliczkę u Lonny, a jemu powiedzieć, że sprawa jest beznadziejna. Ale zlecenia były wyzwaniem. Czuliśmy się upokorzeni, gdyby taki człowiek jak Bulsani potrafił mnie przechytrzyć. Owszem, był sprytny. Instynktownym sprytem pajaka, który wie, że w razie niebezpieczeństwa trzeba odpuścić w jak najciemniejszy kąt. Gdzie masz swój najciemniejszy kąt, prałacie?, zapytałem sam siebie w myślach. Inna sprawa, iż rzecz naprawdę trzeba było szybko doprowadzić do końca. Przecież czekała mnie sprawa zlecona przez biskupa. I nadal nie miałem pojęcia, gdzie mogą być moi ludzie.

- Dziękuję za miłą rozmowę - wstałem z miejsca - i mam nadzieję, że będę mógł panu pomóc.

- Strażnik zaprowadzi pana do kasy - powiedział, tym razem nie podając mi ręki. Może uznał, że raz na dzień wystarczy.

Skinąłem głową i wyszedłem. Śmierdziało, jak to przy spichlerzach, ale dzień zrobił się jakby sympatyczniejszy. W końcu w moim wypadku sto trzydzieści dukatów to była kupa pieniędzy. Musiałem pomyśleć, gdzie mogę znaleźć prałata Bulsaniego. Mogłoby się wydawać, że miałem wiele możliwości. Mniej więcej tyle samo, co burdeli w Hez-hezronie. Ale nawet Bulsani nie był chyba tak głupi, aby z długiem na karku zabawiać się z dziwkami. Zastanawiałem się przez moment, czy słyszałem o jakichś przyjaciółach czeigodnego prałata. Hmm... nikt nie przychodził mi do głowy. Ludzie tacy jak Bulsani nie mają prawdziwych przyjaciół. Może tylko towarzyszy od kielicha. Póki nie wyrolują ich lub nie przerzną ich córek albo żon. Kto w takim razie pił i bawił się z Bulsanim? Wiedziałem u kogo szukać tej informacji. U niezawodnej Lonny, która wie wszystko. A przynajmniej chciałaby wiedzieć.

Grytta nawet nie zdziwił się na mój widok, tylko szeroko uśmiechnął, pokazując garnitur spróchniałych zębów. Pewnie spodziewał się następnego dukata i nie zawiódł się. Lonna natomiast była zaskoczona, ale szybko pokryła to zaskoczenie uśmiechem.

- Mordimer, czyżbyś jednak potrzebował dziewczyny?

- Być może przychodzę oddać ci dług, moja droga.

- Być może?

Wziąłem dwa kieliszki ze stolika i nalałem trochę wina sobie i jej.

- Twoje zdrowie - powiedziałem. - Za bogactwo i urodę. Wypiła z lekkim uśmiechem.

- Flirtujesz ze mną, czy masz interes? Jeśli flirtujesz, to... Spojrzałem na jej mocno wydekoltowane piersi.

- A masz ochotę na flirt?

- Nie, Madderdin - roześmiała się. Dziwne, ale w tym mieście, gdzie mało kto dbał o zęby, ona miała je śnieżnobiałe, równe i mocne. - Wiesz przecież, co ja lubię.

Wiedziałem. Lonna lubiła młodych, niedoświadczonych chłopców i młode, niedoświadczone dziewczęta. Zresztą ja też nie przepadałem za dojrzałymi kobietami, więc tylko pokiwałem głową.

- Mów więc - powiedziała.

- Szukam Bulsaniego.

- Widzę, że szukasz wielu ludzi, Mordimer. - Zauważyłem, że spoważniała. - Skąd przyszło ci do głowy, że wiem, co dzieje się z naszym przyjacielem prałatem?

- Bo on był u ciebie, Lonna. Przedwczoraj, może trzy dni temu, wczoraj raczej nie, prawda?

Milczała.

- Pytał o miejsce, gdzie można się bezpiecznie zabawić. Przeczekać miesiąc, może dwa lub trzy w towarzystwie kilku miłych panienek, czy nie tak? - oczywiście blefowałem, ale Bulsani naprawdę mógł tak postąpić.

Nadal milczała.

- Lonna?

- Nie, Mordimer - odparła - mylisz się. Naprawdę. Bulsani wyjechał z miasta, a ja nie wiem gdzie. Ale...

- Ale? - zapytałem po chwili milczenia.

- Sto dukatów - powiedziała - i dowiesz się wszystkiego, co i ja wiem.

- Zwariowałaś? - roześmiałem się. - Nie dostałem aż tak dużej zaliczki.

- No to nie.

Zastanowiłem się. Lonna nie naciągałaby mnie w tak prymitywny sposób. Coś musiała wiedzieć.

- Posłuchaj, moja droga, może jakiś podział zysków?

- Nie.

I już wszystko wiedziałem. Ta szybka odpowiedź była tak zdecydowana, że Lonna musiała wiedzieć, iż zysków nie będzie. A jak nie będzie zysków, to znaczy, że szacowny prałat przepuścił całą forszę. Cztery i pół tysiąca dukatów, to jednak kupa grosiwa. Nie tak łatwo puścić ją z dziwkami, łatwo za to przegrać. Ale Bulsani grał bardzo ostrożnie i niemożliwe, by puścił w dwa dni tyle pieniędzy. Dokonał więc zakupów. A co mógł kupować u Lonny?

- Ile zamówił dziewczyn? - zapytałem. Lonna spojrzała na mnie ze strachem.

- Jesteś diabłem, Mordimer - powiedziała - ale nawet ty nie dowiesz się, gdzie je kazał dostarczyć.

- Wszystko jest kwestią motywacji - powiedziałem - ale rzeczywiście wolałbym się tego dowiedzieć od ciebie.

- Mordimer - powiedziała jakimś takim żalonym tonem - nie mieszaj się w to wszystko i nie mieszaj w to mnie.

Lonna była przestraszona. Świat najwyraźniej stawał na głowie, a mnie wcale się to nie podobało. Zwłaszcza że gdzieś zaginęli Kostuch i bliźniacy, do których mimo ich wszystkich wad byłem jednak przywiązany.

- Moja droga - zbliżyłem się do niej i objąłem, a w tym uścisku było równie dużo czułości, co siły - kiedy ja stoję po jednej stronie barykady, a ktoś inny po drugiej, to można podjąć tylko jedną, słuszną decyzję. Zgadujesz, jaką?

Próbowała się uwolnić, ale równie dobrze mogłaby siłować się z drzewem.

- Lonna, musisz mi powiedzieć.

- A jak nie? - tchnęła mi prosto w ucho. - Co ty mi możesz zrobić, Mordimer?

Puściłem ją i usiadłem w fotelu. Zaciśnęła zęby i widziałem, że ostatkiem sił panuje nad sobą, by nie kazać mi iść w diabły. Ale jeszcze nie skończyliśmy rozmowy i wiedziała o tym.

- Jaką bajeczkę chciałaś mi sprzedać za sto dukatów? - zapytałem.

Milczała i patrzyła takim wzrokiem, jakby chciała mnie zabić. Wielu ludzi tak już na mnie patrzyło, więc nie przejmowałem się tym. Zwłaszcza że później to zwykle ja ich musiałem zabijać.

- Gdzie je kazał dostarczyć, Lonna? Posłuchaj mnie uważnie, może nie jestem wielką fiszą w tym mieście, ale potrafię zatruć ci życie. Wierz "mi, że mogę to zrobić. Nic szczególnego, ale goście zaczną omijać twój domek szerokim łukiem. A bez gości i bez pieniędzy staniesz się nikim. Być może szepnę też słówko biskupowi. Myślisz, że kilka nalotów biskupiej straży przysporzy ci popularności?

Lonna rozmyślała nad tym, co powiedziałem, i widziałem, że muszę jej dać trochę czasu. Rozważała, czy ma wystarczająco silne plecy, aby zupełnie mnie zlekceważyć. Tylko, widzicie, rozsądni ludzie bardzo rzadko pozwalają sobie na lekceważenie inkwizytorów. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, i nigdy nie wiadomo, czy pewnego wieczoru inkwizytor i jego przyjaciele w czarnych płaszczach nie zastukają do twoich drzwi. A wtedy lepiej, aby inkwizytor był ci przychylny. To zresztą rzadko kiedy pozwalało przeżyć, ale przynajmniej godnie umrzeć. Jeśli śmierć w ogóle może być godna. Tak więc ona sobie spokojnie myślała, a ja bez pośpiechu popijałem winko. W końcu zdecydowała się.

- Kupił sześć dziewczyn - powiedziała - ale to było specjalne zamówienie.

- Dziewice - nawet nie zapytałem, w zasadzie stwierdziłem.

- Skąd wiesz? - otworzyła szeroko oczy.

- Co z nimi zrobił? - nawet nie chciało mi się odpowiadać.

- Kazał załadować je na barkę-płynącą na północ - odparła po chwili. - Wiem, bo Grytta eskortował ich do portu.

- Zawołaj go - rozkazałem.

- Mordimer, ja cię proszę, nie mieszaj mnie w to wszystko - prawie jęknęła i była urocza z tą bezradnością. Oczywiście, jeśli ktoś dawałby się nabierać na tak proste sztuczki. Ale przynajmniej była na tyle przestraszona, by zacząć je stosować. A to już coś.

- Grytta zobaczył tam coś, prawda, Lonno? Coś, co ci się bardzo nie spodobało. Pozwolisz mi zgadywać, czy jednak zawołamy Gryttę?

Dolałem sobie hojnie wina, bo było naprawdę smaczne. Wystarczająco cierpkie i orzeźwiające, ale nie zostawiające na języku tego chłodnego, metalicznego posmaku, świadczącego zwykle o tym, iż nie leżakowało we właściwej beczce lub winnica była nie dość wystawiona na promienie słońca. Nie byłem bynajmniej koneserem win, ale lubiłem od czasu do czasu napić się dobrego trunku. Zwłaszcza że miałem w życiu aż nadto okazji, by pijać trunki podle.

Lonna westchnęła, wstała i pociągnęła jedwabny sznurek wiszący koło drzwi. Po chwili do pokoju wczłapał Grytta. Jak zwykle z wyrazem oddania i skupienia na twarzy.

- Powiedz panu Madderdinowi, co Widziałeś w przystani - rozkazała zmęczonym tonem.

- Znaczy wtedy? - upewnił się Grytta, a Lonna skinęła głową.

Słuchałem nieco bezładnej opowieści Grytty i robiłem w myśli notatki. Bogobojny Bulsani kupił sześć młodych i pięknych dziewczyn z Południa, po czym kazał je załadować na barkę w porcie. Małą barkę z kilkoma ludźmi załogi. Grytta nie widział twarzy tych ludzi, słyszał tylko, że do jednego z nich Bulsani zwrócił się per „ojcze”. Do kogóż to prałat mógł zwracać się z takim szacunkiem? Ale nie to było najdziwniejsze. Najdziwniejszy był fakt, że na szacie tego człowieka Grytta dojrzał w słabym blasku przyniesionej latarni wyhaftowanego, karmazynowego węża. Grytta nie miał pojęcia, co oznacza ten symbol. Ja miałem. Lonna również i dlatego właśnie aż tak się bała. Karmazynowym węzem pieczętował się stary i zdziwaczały kardynał Ingus Beldaria, mieszkający w ponurym dworzyszczu jakieś dwadzieścia mil od Hez-Hezronu. Kardynał słynął z zastanawiających upodobań, a jego wyczyny nawet bliscy mu dostojnicy Kościoła określali jako „godne ubolewania”. A prawda była taka, że Beldaria był zboczeńcem i okrutnikiem. Nawet w naszych zdziwiających czasach rzadko spotyka się kogoś aż tak zdeprawowanego. Mówiono, że brał kąpiele w krwi nieochrzczonych dzieci, w lochach zgromadził zadziwiającą kolekcję nadzwyczaj interesujących narzędzi, a kiedy łapały go ataki migreny (co zdarzało się aż nazbyt często), jego ból koili tylko jęki torturowanych. Przy tym wszystkim kardynał był przemiłym staruszką, z siwą, trzęsącą się bródką i lekko wyłupiastymi, błękitnymi jak

wyprany chaber oczami. Miałem zaszczyt ucałować kiedyś jego dłoń w czasie zbiorowej audyencji (wiele lat temu, kiedy przyjmował jeszcze na audyencjach) i zapamiętałem jego dobrotliwy uśmiech. Niektórzy twierdzili, że kardynała strzeże wyjątkowo potężny anioł stróż o gustach podobnych do swego podopiecznego. Ale, jak się zapewne domyślicie, nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, aby pytać o podobne sprawy mojego Anioła Stróża,

W każdym razie, jeżeli Bulsani służył kardynałowi Beldarii, to równie dobrze mogłem spokojnie wrócić do zanego Hilgferarfa i obwieścić mu smutną nowinę, iż jego pieniądze przepadły raz na zawsze. W ten sposób miałbym czyste sumienie, zaliczkę w kieszeni i czas oraz pieniądze na szukanie tych przeklętych heretyków, czego żądał ode mnie jego ekscelencja biskup Hez-Hezronu. Podziękowałem Grytcie za relację, nie dając nawet drgnieniem powieki do zrozumienia, co z niej wywnioskowałem. Znowu zostałem sam z Lonną i znowu osuszyłem do dna kieliszek. Rzadko się upijałem, a z całą pewnością nie mogłem upić się właśnie dzisiaj. Zresztą, nie było takiej obawy, to słabe wino nawet nie mogło zakręcić mi w głowie.

- Dziękuję, Lonna - powiedziałem. - Nie pożałujesz tego.

- Już żałuję - odmruknęła. - Zawsze marzyłam o spokoju, Mordimer. O wytwornej klienteli, ładnym domu i wesołych dziewczynkach. A co mam zamiast tego? Inkwizytora, który przesłuchuje mnie we własnym domu, i prałata zamieszanego w konszachty z samym diabłem.

Przypomniałem sobie, że faktycznie kardynała Beldarię nazywano Diabłem z Gomollo, od nazwy rodowej siedziby. Zresztą nazywanie go diabłem nie miało specjalnego sensu, bo kardynał co najwyżej był złośliwym gnomem, a do diabła było mu tak daleko, jak mnie do anioła. Ale wiadomo, że pospólstwo lubi mocne efekty. Oczywiście, wcale nie oznaczało to, iż kardynał nie był niebezpieczny. Wręcz bardzo niebezpieczny, jeśli ktoś próbowałby mu wejść w drogę. Swoją drogą, ciekawe, czemu kościół tolerował tego świątobliwego sadystę? Dlaczego miał on tak mocne plecy? Wielu dostojników za mniejsze grzeszki lądowało na klasztornej dożywocie, zwykle w solidnie zamurowanej celi i pod czujnym okiem straży. Albo po prostu podawano im wino, po którym umierali na katar kiszek.

Zresztą, wszystko to było nieważne. Nie do mnie należało ocenianie słuszności postępowania Kościoła wobec grzeszników. Ja - Mordimer Madderdin - byłem karzącą dłonią Kościoła, a nie jego mózgiem. I całe szczęście. A że przy okazji mogłem połączyć przyjemne z pożytecznym, i służąc Kościołowi służyć również samemu sobie, to było tylko dodatkowym powodem, dla którego szanowałem pracę. Nie mówiąc już o tym, że bycie inkwizytorem i byłem inkwizytorem różni się mniej więcej tak samo, jak życie różni się od śmierci.

- Dobrze, Lonna. - Wstałem z fotela, chociaż siedział na nim wyjątkowo wygodnie. - Dla własnego dobra trzymaj buzię na kłódkę. - Położyłem palec na jej ustach.

Próbowała szarpnąć głową w tył, ale przytrzymałem ją za włosy lewą dłonią. Stała pochylona, z odgiętą do tyłu głową i głośno posapywała. Ale nie próbowała się wyrwać. Przejechałem opuszką wskazującego palca po jej pełnych wargach.

- Będiesz grzeczną dziewczynką - powiedziałem - bo widzisz, Lonna, jeśli kiedykolwiek dowiedziałbym się, że ktoś szepnął na mieście, iż Mordimer Madderdin szuka prałata Bulsaniego, to wtedy mógłbym do ciebie wrócić, perełko - uśmiechnąłem się łagodnie - a wiesz, kogo przyprowadziłbym ze sobą? - Nie czekałem na odpowiedź, zresztą Lonna była zbyt przestraszona, żeby coś z siebie wykrztusić. - Przyprowadziłbym mojego przyjaciela Kostucha, który zwierzył mi się niegdyś, że bardzo wpadła mu w oko pewna cycata właścicielka burdelu. I bardzo chętnie by z nią pobaraszkował godzinę lub dwie. A wierz mi, perełko, że po takim doświadczeniu nie byłabyś już tą samą dziewczynką co dawniej. Puściłem ją i pozwoliłem, żeby opadła na fotel.

- Nie musisz mi grozić, Mordimer - powiedziała cicho i widziałem, że drżą jej dłonie.

- Nie, nie muszę - zgodziłem się - i nawet wcale tego nie lubię. Ale wiem, że to bardzo ułatwia życie. Do widzenia, Lonna. Jeśli będę w mieście, wpadnę wieczorem i obrobię dla ciebie tego szulera.

Nie odezwała się już, więc wyszedłem. Grytta otworzył przede mną bramę.

- Serdecznie zapraszamy, panie Madderdin - powiedział, ale tym razem postanowiłem nie dawać mu już napiwku. Co za dużo, to niezdrowo.

Po raz drugi tego dnia czekał mnie uroczy spacer w stronę spichlerzy. Cóż, należało powiadomić Hilgferarfa, że może położyć krzyżyk na swoich pieniądzech. Szkoda, bo cztery i pół tysiąca koton to piękny majątek. Za takie pieniądze można zabić, chociaż znałem i takich, co zabijali dla pary dobrych skórzanych butów albo manierki z gorzałką. Taaak, życie w Hez-hezronie nie było cennym towarem i ci, co potrafili je długo zachować, mieli czym się chlubić. Hilgferarf nadal był w swoim biurze, ale kiedy mnie zobaczył, uniósł wysoko brwi.

- Pan Madderdin - rzekł. - Jakies nowe wieści? Opowiedziałem mu wszystko, co usłyszałem od Lony, rzecz jasna nie ujawniając źródła informacji. Podejrzewam jednak, że nie był na tyle głupi, aby się nie domyślić. W miarę jak mówiłem, widziałem, że jego oczy ciemnieją. Cóż, żegnał się właśnie z czterema i pół tysiącem koron. To musiało boleć. Kiedy skończyłem, wyciągnął omszałą buteleczkę wina i rozlał nam do małych pucharków. Spróbowałem. Znakomity gust miał ten były doker. Powiedziałem mu to i podziękował skinieniem.

- Co pan teraz zamierza? - zapytał.

- Cóż ja mogę zamierzać? - odparłem pytaniem. - Sądzę, że na tym kończy się moje zadanie.

- Porozmawiajmy jednak - rzekł uprzejmie. - Prałat Bulsani pracuje dla Diabła z Gomollo. A obaj wiemy, że kardynał ma ogromny majątek. Czy możemy więc domniemywać, że Bulsani nie uszczuplił jeszcze swoich zapasów gotówki, a może nawet je powiększył?

Mój Boże, pomyślałem, „możemy więc domniemywać”, mówił ten były doker. Czyżby brał lekcje manier oraz wymowy? A może był szlacheckim bękartem, podrzuconym do doków przez wyrodną matkę?

- Może tak, może nie - odparłem. - Sześć dziewczę z Południa mogło go kosztować koło czterech tysięcy, trzysta w tę albo w tamtą w zależności od tego, czy były naprawdę bardzo piękne, jak się targował oraz jak bardzo ich potrzebował. Ale podejrzewam, że te dziewczyny mają być prezentem dla Bel-darii, a to oznacza, że prałat wydał swoje, a nie cudze pieniądze. No, oczywiście jeśli w ogóle można powiedzieć, że kiedykolwiek te pieniądze były jego.

- Taaak - Hilgferarf zastukał knykciami w blat stołu - co ten idiota może chcieć od Diabła?

- No, tak daleko moja domyślność już nie sięga - wzruszyłem ramionami - ale sądzą też, że lepiej się tym nie interesować.

- Być może, być może... - Hilgferarf pokiwał głową w zamyśleniu, a jego zamyślenie wyjątkowo mi się nie podobało. - No, dobrze - dodał ożywionym już głosem, jakby ocknął się z jakiegoś półsnu - Madderdin, chcę, żeby pan udał się do Gomollo, sprawdził, czy jest tam Bulsani i przywłókł go do mnie. Rzecz jasna żywego.

- A stoliczka „Nakryj się” nie chce pan? - spytałem bez cienia ironii w głosie - albo kij ów-samobij ów?

- Bardzo zabawne - spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem. Wyraźnie był nieprzyzwyczajony, aby odpowiadano mu

w ten sposób. Ale za to ja byłem przyzwyczajony, że próbowano mi zlecać różne idiotyczne zadania. Ku własnemu ubolewaniu, część z nich zresztą przyjmowałem.

- Nie pomyślał pan, Madderdin, że pańscy ludzie mogą być w Gomollo? Albo przynajmniej zmierzać w tamtą stronę?

- Nie - odparłem szczerze. - Bardzo wątpię, aby odkryli to co ja.

Ale w chwili, kiedy wypowiadałem te słowa, sam zacząłem się zastanawiać. Faktem było, że Kostuch i bliźniacy zniknęli z miasta. Oczywiście, nie sprawdziłem jeszcze wszystkich możliwości, czyli w zasadzie jednej. Nie poszedłem do burgrabiego i nie zapytałem, czy właśnie ich nie przymknął za jakieś rozróby. Gdyby mieli pieniądze, siedzieliby zapewne w burdelu i to tak długo, póki nie skończyłaby im się gotówka. Ale nie mieli pieniędzy i mieli zadanie, którego wykonania się podjęli. Nie sądziłem, by postanowili wysłizgać Hilgferarfa. To nie było w ich stylu. Pies nie sra tam, gdzie je - mówiło stare przysłowie, a oni za dobrze zdawali sobie sprawę, ile

można zarobić w Hez-hezronie. I jak szybko traci się tu reputację. A reputacja była wszystkim, co posiadaliśmy.

Jednak wyprawa do Gomollo w celu ratowania Kostucha i bliźniaków nie wydawała mi się szczególnie atrakcyjna. Widzicie, my nie jesteśmy przyjaciółmi, oddanymi sobie na śmierć i życie, dzielącymi się ostatnim okrucieństwem chleba i wspominającymi przy kominku oraz grzanym piwie wzajemne przysługi. Owszem, jest nam wygodnie podejmować się razem pewnych zleceń i tworzymy zgraną drużynę. Zgraną, bo chłopcy wiedzą, kogo słuchać. Ale tym razem wzięli się za sprawy, które ich przerosły. I będą musieli za to zapłacić. Pewnie że wizja Kostucha i bliźniaków w lochach Gomollo nie budziła mojej radości, ale nie widziałem powodu, by ryzykować dla nich reputację, koncesję, a tym bardziej życie. Byłem pewien, że kardynał nie zawahałby się zabawić w swych kazamatach z inkwizytorem i uznałby to za miłą rozrywkę po znojach dnia codziennego. Z drugiej strony patrząc, wiedziałem jednak, że trudno mi będzie zebrać podobną grupę. W końcu nie wszystkich zadań mogłem podejmować się sam. Mordimer Madderdin był od myślenia, przyjmowania zleceń i targowania się o honoraria, natomiast trudno znaleźć kogoś, kto lepiej władałby szablą od Kostucha, a niesamowite zdolności bliźniaków zadziwiały nawet mojego Anioła Stróża. Poza tym znaliśmy się tak długo, iż czasami mogliśmy porozumiewać się bez słów. Podrapałem się więc po brodzie, gdyż stanąłem, jak to się ładnie mówi, przed dylematem. Hilgferarf najwyraźniej postanowił pomóc mi w rozwiązaniu go.

I pozostawało jeszcze jedno. Myśl, która nie dawała mi spokoju, od kiedy dowiedziałem się o dziewczynach z Południa. Dokładnie pamiętałem słowa Gersarda, biskupa Hez-hezronu: „Nowa sekta, założona i prowadzona przez człowieka nazywającego siebie apostołem Szatana. Podobno to jakiś ksiądz, zajmujący się czarną magią. Słyszałem, że odprawiają rytuały z poświęcaniem dziewczę czy noworodków, czy coś tam takiego”. Czyżbym więc trafił na poszukiwaną przez biskupa sektę? Diabeł z Gomollo doskonale pasował do roli heretyka, a poświęcanie dziewczę byłoby jak najbardziej w jego stylu. I kiedy zastanawiałem się nad tym problemem, poczułem zimny dreszcz sunący od nasady karku aż po łądzwie. Zrobiło mi się słabo i ostatkiem sił utrzymałem się na nogach. Czułem wyraźną obecność mojego Anioła Stróża. Był tu i dawał mi znak. Dawał mi znak, że jestem na dobrej drodze. A przynajmniej miałem nadzieję, że taka właśnie jest prawda, bo niezbadane są ścieżki myślenia i postępowania Aniołów.

- Mogę zainwestować jeszcze trochę gotówki - powiedział ostrożnym tonem Hilgferarf. - Byłoby źle, gdyby dłużnicy wiedzieli, że naciągnięcie mnie na pięć tysięcy koron uchodzi płazem. W końcu tak naprawdę dla nas wszystkich najcenniejsza jest reputacja.

Faktycznie, dłużnicy są drogocennym towarem i nie należy dopuszczać, by uległ on zniszczeniu. Chyba że jest się człowiekiem w gorącej wodzie kąpanym, lub

chce się dać nauczkę innym, spragnionym łatwego zysku. Znałem niegdyś pewnego lichwiarza, który swym niewypłacalnym dłużnikom kazał obcinać palce, zaczynając od najmniejszego u lewej dłoni. Nie macie nawet pojęcia, jak bardzo obcięcie palca zwiększa u człowieka możliwości zarobkowania oraz oddawania długów.

- No, nie wiem - powiedziałem równie ostrożnym tonem, jak on - cała ta sprawa cuchnie na wiele mil. A ja od tego smrodu wołałbym się znajdować jak najdalej.

Pokiwał głową, a ja starałem się opanować zimne dreszcze, które rozszarpały mój kręgosłup na części.

- W zasadzie ma pan rację - powiedział uprzejmie - ale, tak jak powiedziałem, jestem zdecydowany dopaść Bulsaniego. Oferuję panu trzy tysiące koron, jeśli przyniesie mi pan tu prałata w worku, albo tysiąc koron, jeśli uzna pan, że jest to niewykonalne. Ale wtedy w worku chcę mieć głowę Bulsaniego.

Niełatwo mnie zaskoczyć, ale jemu się udało. Dla kogoś, kto miałby kłopoty z zapłaceniem za następny nocleg, trzy tysiące koron było królewskim majątkiem. Swoją drogą, niewielu znałem, którzy nawet za taką sumę zechcieliby się narażać Diabłu z Gomollo. Czy Hilgferarf aż tak bardzo chciał dopaść oszusta? Czy naprawdę zależało mu tylko na reputacji? Jasne, że lepiej zapłacić trzy tysiące za odzyskanie pięciu, niż położyć kreskę na całej sumie. Ale jednak ta zawziętość była aż dziwna. Przecież w razie niepowodzenia Hilgferarf ryzykował, być może, nawet życie, jeśli kardynałowi chciałoby się wyciągać łapska tak daleko i jeśli rzeczywiście związany był jakoś z Bulsanim. Co nadal pozostawało w sferze przypuszczeń. Przynajmniej dla mnie.

- Zgoda - powiedziałem.

Hilgferarf myślał zapewne, że ta szczodra propozycja przekonała mnie do wyrażenia zgody. Ale ja wiedziałem, że nie chciwość wchodzi tu w grę. Dawno już nie miałem okazji zmierzyć się z prawdziwym przeciwnikiem, a Diabeł z Gomollo takim właśnie przeciwnikiem był. Uosabiał całe zło, cały brud naszego świata, ale jednocześnie nie można było odmówić mu sprytu. Ani potęgi. Ani bogactwa. Oto prawdziwe wyzwanie. Można kardynał, otoczony gronem sług i żołnierzy, a naprzeciwko niego samotny Mordimer Madderdin - ręka sprawiedliwości i miecz Opatrzności, sługa Aniołów. Wzruszyłbym się, gdybym potrafił się wzruszać.

- A więc dobrze, panie Madderdin - oczy Hilgferarfa pojaśniały - proszę powiedzieć, w czym mogę panu pomóc...

Zastanowiłem się. Dobrego konia kupię u Rufasa na przedmieściu, poza tym niczego nie potrzebowałem. Może tylko wiele szczęścia, ale rzadko można je kupić za pieniądze. Może tylko przychylności Anioła, ale o to trudniej niż o szczęście.

Droga z Hez-hezronu do Gomollo prowadziła przez spokojne miasteczka i wioski. Zielone pola, wzgórza porośnięte winoroślami, chałupki ze spadzistymi dachami, rzeczułki szemrzące wśród zarośli. Co za sielski widoczek! Ale nie powiem, by po brudach i smrodzie Hez-hezronu nie była to jakaś miła odmiana. Po południu zatrzymałem się w dużej karczmie na rozstaju traktów, zaraz niedaleko brodu Ilvin. Budynek był dwupiętrowy, porządnie obmurowany, a obok stała ogromna stajnia. Właściciel musiał mieć tu niezłe dochody. Cóż, niektórzy umieją sobie dobrze radzić. Inni, jak wasz uniżony sługa, mogą jedynie marzyć o spokojnym życiu w dostatku i bezpieczeństwie, o wieczorach przy kielichu grzanego wina i cyncowej żoncy pod kołderką. Roześmiałem się do własnych myśli. Z całą pewnością nie zamieniłbym się z nikim innym. Bycie inkwizytorem to ciężki chleb, ale też zaszczyt i odpowiedzialność. Niedoceniany zaszczyt i kiepsko płatna odpowiedzialność. Cóż... życie nie jest doskonałe. Nie zamierzałem ujawniać, kim jestem, ale koń i uprzęż były na tyle dobrej jakości, że oberżysta dał mi osobny pokój - maleńką klitkę bez okien, schowaną pod samym dachem. Ale lepsze to, niż tłoczyć się we wspólnej izbie, a to zdarzało się nawet hrabiom i lordom, kiedy w cenie było nie tyle łóżko, ile snopek słomy. Zszedłem do izby jadalnej, wielkiej, zadymionej i zastawionej stołami o ciężkich blatach. Oberżysta nie zaproponował mi osobnego alkierza, a ja nie zamierzałem się wyklócać. Czasem dobrze posiedzieć wśród ludzi, nawet jak są to pijani kupcy, wracający do Hez-hezronu i opowiadający, kogo udało im się oszukać i jakież to piękne dziewczęta wydupczyli w czasie podróży. Gdyby wierzyć każdemu ich słowu, to trzeba by uznać, że największą potencję na świecie mają właśnie kupcy, którym udało się opuścić rodzinne gniazdko. Wypada się tylko zastanawiać, co w międzyczasie robiły ich żony. Zamówiłem gorzkie ciemne piwo i miskę kaszy ze zrazami. Noc przespałem wspólnie ze stadem wszy i pluskwami wciąż spadającymi z sufitu. No, ale przynajmniej był tu sufit, bo lepiej, jak spadają ci na głowę pluskwy niż deszcz czy śnieg. Wstałem równo ze świtem, wiedząc, że wtedy będę mógł w miarę spokojnie przesłuchać oberżystę albo którąś z dziewczek, czy któregoś ze stajennych chłopców. Kostuch i bliźniacy nie są ludźmi, których widoku szybko się zapomina, toteż miałem nadzieję, że jeśli tu byli, to ktoś podzieli się ze mną wiadomościami na ich temat.

Oberżysta stał przy ladzie i nalewał z beczki piwo do okrągłobrzuchych dzbanów. Dziewki kuchenne już krzątały się wokół, z zewnątrz słychać było gwar i rżenie koni. Cóż, życie budziło się tu wcześniej.

- Szukam pewnych ludzi - powiedziałem i potoczyłem trójgroszaka w stronę karczmarza. Moneta zakreśliła się wokół własnej osi i wpadła wprost w jego rozwartą dłoń.

- Różni tu bywają - mruknął.

- Tych nietrudno zauważyć. Bliźniacy i ogromny facet z...

- Taki przystojniaczek - wzdygnął się. - Byli tu, i owszem. Pochlali się, zarzycali stół, rozwalili jednemu z kupców łeb kuflem i pojechali z samego rana.

- Dokąd?

- A kto ich tam wie?

Potoczyłem w jego stronę następną monetę i złapał ją tak samo zręcznie jak poprzednią. Rozejrzał się wokół, czy nikt nie słucha naszej rozmowy.

- To jest warte dukata - rzekł. - Żółciutkiego, złotego dukata z portretem miłościwie panującego - dodał z chytrym uśmieszkiem.

Nie musiał mówić więcej. Nie miałem zamiaru marnować dukata, skoro wiedziałem już, że pojechali do Gomollo. Zresztą, gdzie indziej mogliby się udać w poszukiwaniu Bulsaniego?

- Szkoda, że nie mam zbędnego dukata - powiedziałem i odszedłem, nie słuchając, jak karczmarz próbuje obniżyć cenę.

I co miałem robić teraz, kiedy moje przypuszczenia okazały się prawdziwe? Zapukać do bram pałacu Diabła i zapytać o zagubionych przyjaciół? Czy też wdrzeć się, mordując jego straż przyboczną i wyzwalając bliźniaków oraz Kostucha z lochów? Być może, gdybym był paladynem z dawnych dni i miał zastęp rycerzy, mógłbym pokusić się o zdobycie Gomollo. Ale byłem sam, z nic nie wartą w domu kardynała koncesją inkwizytora. Jednak przeznaczenie zdecydowało za mnie. To nie ja musiałem stukać do bram pałacu Gomollo. To kardynał odnalazł mnie. Jechałem dróżką przez las, godzinę drogi od karczmy, kiedy znalazłem się na środku niewielkiej polany. I tam zobaczyłem trzech konnych. Nie musiałem się odwracać, by wiedzieć, że następni pojawili się za moimi plecami. To nie byli zwykli rabusie. Rabusie na północ od Hez-hezronu ozdabiali krzyże i szubienice, nie spotykało się ich w środku dnia na leśnym trakcie. Nie mieli dobrych koni, dobrej broni, no i nie mieli karmazynowego węża na płaszczach. Jeden z mężczyzn podjechał wolno, stępa w moją stronę.

- Inkwizytorze Madderdin - powiedział oficjalnym tonem - Jego Eminencja, kardynał Beldaria, zaprasza.

- Zaprasza - powtórzyłem bez ironii.

Za plecami miałem jeszcze trzech jeźdźców, słyszałem parskanie ich wierzchowców i czułem ostrą woń końskiego potu. Być może powinienem ich zabić lub spróbować ucieczki. Ale jeźdźców było sześciu, mieli dobre konie, a założyłbym się, że dwóch trzymało pod płaszczami kusze. Zastanawiałem się, czy nie lepiej zginąć tu i teraz, niż trafić do kardynalskich lochów. Ale człowiek ma tak dziwną cechę, że czepia się życia nawet w beznadziejnych sytuacjach. Nie chciałem jeszcze umierać i miałem nadzieję, że uda mi się uratować skórę. Czy mogłem dać radę tym sześciu żołnierzom kardynała? Być może. Na piechotę i w zamkniętym pomieszczeniu nie zawahałbym się stanąć do walki. Ale tutaj byłem bez szans. Jeśli nie dosięgłaby mnie szabla któregoś z nich, to na pewno zrobiłby to belt z kuszy. Nie pozostawało mi nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry.

- Z radością skorzystam z zaproszenia - powiedziałem. Aż do Gomollo eskortowali mnie bardzo uważnie. Dwóch

po bokach, dwóch z przodu i dwóch z tyłu. Musiano im powiedzieć, że potrafię radzić sobie w trudnych sytuacjach, bo ani na chwilę nie spuszczały ze mnie oczu. Próbowałem pogawędzić z dowodzącym jeźdźcem, ale nawet nie raczył się odezwać. I słusznie. Niebezpiecznie wdawać się w dyskusje z inkwizytorem.

Pałac Gomollo stał na malowniczym wzgórzu, a jego wieże odbijały się w błękitnym lustrze leżącego u stóp wzniesienia jeziora. Do pałacu prowadziła jedna droga, przez wysoką, kutą w żelazie bramę, zakończoną, tak jak i całe ogrodzenie, ostrymi szpikulcami. Na rozległym podjeździe stało kilka karoc i krzatali się służący w czerwonej liberii. A na schodach prowadzących do pałacu stał nie kto inny, jak szacowny prałat Bulsani. Jego pucołowata twarz rozjaśniła się uśmiechem, kiedy zobaczył mnie w eskorcie jeźdźców.

- Ach, więc pragniesz dołączyć do swych przyjaciół! - krzyknął bardzo zadowolony z siebie Bulsani. - Jak tam się czujesz, Mordimer, biskupi piesku? Będzie ci ciepłutko, wiesz?

Zeskoczyłem z konia i podeszedłem w stronę prałata. Czułem, jak za moimi plecami żołnierze, zupełnie już jawnie, wyjmują kusze spod płaszczy. Ale skoro dowiozłem całą skórę aż tutaj, to nie miałem ochoty jej narażać. Skinałem więc tylko prałatowi uprzejmie głową.

- Nie mam nic do pana, Bulsani - powiedziałem - oprócz dwóch rzeczy. Po pierwsze, pięć tysięcy koron dla Hilgferar- fa, po drugie, niech pan każe wypuścić moich ludzi. Potem grzecznie się pożegnamy i może pan bez strachu wracać do Hez-hezronu.

- Ach, jej! - z udawanym przerażeniem krzyknął Bulsani. - Bo jak nie, to co? Kazesz mnie aresztować, inkwizytorze? Błagam: nie!

Dworzanie i żołnierze słuchający tej rozmowy śmiali się w kułak.

- Dość tych żartów - twarz prałata nagle spochmurniała - wszyscy, wynocha! Zostawcie go ze mną samego.

- Madderdin, po coś ty się w to wplątał, człowieku? - zbliżył się i zapytał wprost w moje ucho. Czułem silny zapach kadzidlanych pachnideł. Nawet niezłych, choć zbyt kobiecych jak na mój gust.

- Jestem inkwizytorem - odparłem spokojnie - i to jest moja praca.

Patrzył na mnie, nie rozumiejąc.

- Praca? - zapytał. - Jaka, u Boga Ojca, praca?

- Ścigam heretyków, dostojny prałacie - powiedziałem z ironią. - Na tym zwykle polega praca inkwizytora. Tajemne obrządki, sekty, poświęcanie dziewic...

- Dziewic? - nagle wybuchnął śmiechem. - Madderdin, ty idioto! To dlatego tu się pojawiłeś? Po

śladach tych sześciu dziewcząt z Południa? Że niby one są przeznaczone na jakieś tajemne rytuały? Chłopcze, te kobiety mają umilić noce sześciu kardynałom, którzy zjadą jutro. Sześciu starym idiotom, których jest już w stanie podniecić tylko młodość, smagłe ciało i niewinność. Sześciu prykom, którzy z naszym przyjacielem Beldarią spiskują, jak pozbawić władzy biskupa Hez-hezronu. Tu nie ma żadnej herezji, Madderdin, to tylko polityka!

Słowa Bulsaniego uderzyły we mnie jak obuchem. A więc podążałem złym tropem. To nie tu była siedziba Kościoła Czarnego Przemienienia, to nie tu oddawano się herezjom, nie tu profanowano święte relikwie. Mogłem tylko napluć sobie w brodę, bo nie pozostawało mi nic innego. W takiej sytuacji nie miałem co liczyć na pomoc mojego Anioła Stróża. Być może, jeśli byłby w dobrym nastroju, wspomógłby mnie swą siłą w walce przeciw herezji. Ale nie teraz. Jeśli Mordimer zawiódł, poszukam sobie innego inkwizytora - tak zapewne myślał mój Anioł. I miał rację. Na tym świecie nie ma miejsca dla tych, którzy popełniają błędy. Cóż, mimo wszystko próbowałem. Może jednak tak naprawdę nie chciałem przyznać się nawet przed samym sobą, że do złowrogiego pałacu Gomollo przywiodła mnie troska o bliźniaków i Kostucha. A może tylko teraz, wiedząc, iż śmierć jest blisko, starałem się znaleźć szlachetne motywy swego postępowania.

Kardynał wyglądał tak, jak go zapamiętałem z audiencji. Był wątłym staruszką o miłym uśmiechu, wygolonych policzkach i siwej, koźlej bródce. Jego twarz przypominała pieczone jabłuszko o lekko spękanej skórce.

- Mordimer Madderdin - powiedział cicho. - Co za wizyta, inkwizytorze! Spotkał się - zastanowił się przez chwilę i przeczesał palcami bródkę - szesnaście lat temu na audiencji w Hez-hezronie. Miałeś chyba wtedy zaszczyt ucałować moją dłoń.

- Wasza Eminencja ma znakomitą pamięć - powiedziałem, skłoniwszy się lekko. Łańcuch, którym owinęli mi kostki, zabrzęczał.

- Cóż cię sprowadza do mojego domu, Madderdin? - zapytał z figlarnym uśmieszkiem. - Nieodparta pokusa zwiedzenia lochów Gomollo? Przekonanie się o tym, czy wszystkie te bajędy na temat kardynała-diabła są prawdą?

- Ośmieliłem się niepokoić Waszą Eminencję z innego powodu - wyjaśniłem - i jeśli Wasza Eminencja pozwoli, to mogę go wyłuszczyć...

- Nie, Mordimer - machnął dłonią - ta rozmowa już mnie znużyła. Poświęć ci chwilę albo dwie jutro wieczorem. Wyjaśnisz mi działanie pewnych narzędzi. To może być bardzo interesujące, jeśli skazany sam będzie opisywał skutki działania narzędzi na swym ciele. - Pstryknął palcami: - Tak, tak, tak, to znakomity pomysł. - Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

Przeszedł mnie dreszcz.

- Ośmielę się przypomnieć Waszej Eminencji, że jestem inkwizytorem biskupa Hez-hezronu i działam na

podstawie legalnej koncesji wydanej przez władzę Kościoła i podpisanej przez Jego Świątobliwość.

Beldarią spojrzał na mnie, Wyraźnie zmartwiony.

- Twoja koncesja zaginęła, Mordimer - powiedział. - Zresztą, mnie nie dotyczą takie rzeczy.

Wiedziałem, że została mi jedna, jedyna szansa ratunku. Ulotna, nieprawdopodobna, ale jednak jakaś szansa. Ten człowiek był chory, lecz przekonany o własnej sile i o tym, że przed nikim nie odpowiada. A jednak to nie była prawda. Nikt nie jest bezkarny.

- Licencja inkwizytora zostaje przyznana przez Ojca Świętego na wniosek biskupa - powiedziałem i modliłem się, żebym zdążył dokończyć zdanie, zanim każą mnie wrzucić do lochów - lecz decyzja biskupa jest emanacją woli Aniołów, a co za tym idzie, Pana Boga naszego Wszechmogącego. Nie możesz mnie skrzywdzić, kardynał Beldarią i nie sprzeciwić się w ten sposób woli Aniołów!

Kardynał spurpurowiał tak, że myślałem, iż krew tryśnie mu wszystkimi porami twarzy. Chyba nikt nigdy nie przemawiał do niego w ten sposób. Świta kardynała stała oniemiała i myślę, że zastanawiali się nad tym, jakież to sprytnie sztuczki zostaną zastosowane na beczelnym inkwizytorze.

- Sram na Anioły! - zagrzmiał Beldarią, a jego wrzask załamał się w kogucim pienu. - Do lochu z tym szubrawcem! Przygotujcie narzędzia! Zaraz! Natychmiast!

Na to właśnie liczyłem. Na nieostrożne i nieopatrzne słowa purpurata. Był stary, sklerotyczny i złamany atakami migren. Ale nawet on powinien wiedzieć i pamiętać, że nie wolno kpić z Aniołów. Powinien wiedzieć, że Aniołowie są mściwi, pamiętliwi i drażliwi. Poczułem charakterystyczne mrowienie w karku i dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Wszystkie lampy i świece w komnacie zgasły, jakby zdmuchnięte nagłym porywem wiatru. Ale w komnacie mimo to było jasno. Nawet jaśniej niż przedtem. Na jej środku stał mój Anioł Stróż. Potężny, biały, jaśniejący, ze skrzydłami sięgającymi powały i srebrzystym mieczem w marmurowej dłoni.

Wszyscy obecni padli na twarze. Tylko Beldaria stał, teraz błyśnięty jak kreda, i poruszał ustami niczym świeżo wyrzucona na brzeg ryba.

- Mo... mo... mo... mo... - wybełkotał.

Mój Anioł Stróż przyglądał mu się z ponurym uśmiechem.

- Kardynale z Gomollo - powiedział - nadszedł czas zapłaty.

Machnął lewą dłonią w powietrze, a wtedy nagle tuż obok niego pojawili się Kostuch oraz bliźniacy. Oszolomieni i mrugający nie przyzwyczajonymi do światła oczami. Kostuch miał zakrwawioną bluzę, a jednemu z bliźniaków przez policzek biegła paskudna rana. Na moich nogach pękły ogniwa łańcuchów.

- Czynię ciebie, Mordimer, i twoich przyjaciół, pełnomocnikami Inkwizycji w pałacu Gomollo i przyległych włościach. Niech tak się stanie w imieniu

Aniołów! - Ostrzem miecza stuknął w podłogę, aż sypnęły się różnobarwne skry.

- Zawiadomię inne Anioły .- dodał już cichszym głosem. - Spodziewaj się jutro inkwizytorów z Hezhezronu.

Świece i lampy zapłonęły pełnym blaskiem, a Anioła nie było już wśród nas. Tylko wypalone ślady jego stóp pozostały na drogocennym dywanie kardynała. Kostuch wrzasnął jak zarzynany, w jego dłoni pojawiła się długa, zakrzywiona szabla. Podbiegł do najbliższego z dworzan kardynała i przyszpilił go ostrzem do podłogi.

- Kostuch! - ryknąłem - chodź tu, Kostuch!

Przez chwilę patrzył na mnie, nie rozumiejąc, ale w końcu jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. Uśmiechnięty wyglądał jeszcze paskudniej niż zwykle.

- Mordimer - powiedział z uczuciem - przyszedłeś po nas, Mordimer.

Podszedł i objął mnie. Odsunąłem się, bo śmierdział jak nieboskie stworzenie. Warunki w lochach kardynała nie sprzyjały higienie, a zresztą i tak mycie się nie należało do ulubionych zajęć Kostucha. Przebity dworzanin leżał na podłodze i rzeził. Wyrzygiwał z ust krwawą pianę. Patrzyłem na niego przez chwilę obojętnym wzrokiem. Reszta dworzan powoli wstawiała, zaczęły się jakieś szepty.

- Wszyscy pod ścianę - powiedziałem głośno. Podszedłem do kardynała Beldarii i spojrzałem mu prosto w oczy.

- Wszyscy pod ścianę - powtórzyłem.

Beldaria szarpnął się, jakby chciał mnie chwycić za kaftan. Lewą ręką przytrzymałem mu dłoń, a prawą zacząłem bić go po twarzy. Wolno, otwartą dłonią. Poczułem pod palcami krew i ostre okruszki zębów. Jego nos chrupnął i ustąpił pod uderzeniem. Kiedy puściłem, starzec padł na ziemię jak pokrwawiony lachman.

- Zabierzcie to ścierwo - rozkazałem służącym.' Prałat Bułsani, drząc, stał pod ścianą. Tak blisko, jakby chciał stać się częścią pokrywającego ją kobierca.

- Straciłeś ochotę na dowcipkowanie, ojczu? - zapytałem.

- Szkoda, bo liczyłem na jakieś finezyjne żarciki i wymyślne aluzje. Nie powiesz czegoś, by mnie rozweselić?

Patrzył na mnie ze strachem i nienawiścią. Wiedział, że dla niego już wszystko się skończyło. Noce spędzane na kartach, popijaniu wina i obłapywaniu dziwek. Jego życie było teraz tyle, co splunięcie na gorący piasek. Uśmiechnąłem się i podszedłem do bliźniaków. Uścisknęli mi dłoń z wzruszającym oddaniem. Było nas czterech w pałacu kardynała. A żołnierzy i dworzan może z pięćdziesięciu. W samej tej dużej komnacie kilkunastu. A jednak nikomu nawet nie przysłoby do głowy przeciwstawić się nam. Każdy z tych ludzi miał złudną nadzieję ocalenia życia, każdy błagał już w myślach tylko o to, aby nie wylądować w piwnicach inkwizytorów. A wiercie mi, że wszyscy, którzy przeżyją, znajdą się tam nad wyraz prędko. Zaś to, czy

ich życie zakończy się w moczu, kale, krwi i przeraźliwym bólu, będzie zależeć tylko od nich samych i ich chęci odkupienia grzechów. Jeśli będą wystarczająco pokorni, może umrą ścięci, jeśli nie, to zostaną upieczeni na wolnym ogniu, na oczach wyjącej z uciechy gawiedzi, otoczeni smrodem własnego palonego tłuszczu.

Wyszedłem na korytarz. W ciemnej wnęce stał mój Anioł. Teraz jako niepozorny człowieczek w ciemnym płaszczu. Ale to był mój Anioł. Nigdy nie pomylisz się, kiedy ujrzysz swego Anioła Stróża, jakkolwiek przybrałby postać.

- Jestem z ciebie zadowolony, Mordimer - powiedział. - Zrobiłeś, co do ciebie należało.

- Na chwałę Pana - odrzekłem, bo co innego mogłem powiedzieć.

- Tak, na chwałę Pana - powtórzył z jakąś dziwną i zaskakującą goryczą w głosie. - Czy wiesz, Mordimer, że w oczach Boga jesteśmy wszyscy winni... - Spojrzałem w jego źrenice, a one były jak jeziora wypełnione ciemnością. Wzdrygnąłem się i odwróciłem wzrok. - ...a pytaniem jest tylko wymiar i czas kary. Kary, która nieuchronnie nadejdzie.

- Dlaczego więc myślimy o tym, by Mu się przypodobać?

- ośmieliłem się zadać pytanie.

- A czy dziecko na plaży nie buduje murów z piasku, które mają powstrzymać przypływ? I czy, kiedy jego budowle znikną już pod falami, na drugi dzień nie stara się zbudować murów jeszcze potężniejszych, chociaż w głębi duszy dobrze wie, że nic to nie da? - Położył dłoń na moim ramieniu, a ja poczułem, że uginam się pod jej ciężarem.

- Ty, Mordimer, wypełnisz wszystko, co ma się wypełnić - powiedział. - Jutro przybędą tu spiskujący kardynałowie i jutro pojawią się inkwizytorzy.

- A więc nie ma Kościoła Czarne Przemienienia?

- Któż wie, co oznacza słowo „jest”? - zapytał Anioł - i którego z bytów dotyczy? - zawiesił głos. - Świat jest pełen tajemnic, Mordimer - ciągnął dalej łagodnym tonem. - Czy wiesz, że istnieją takie elementy materii, których istnienie tylko przeczuwamy, gdyż obserwacja powoduje ich zniszczenie? Kto może więc odpowiedzieć na pytanie, czy one są i dla kogo są?

Czekałem, myśląc, że powie coś jeszcze, ale Anioł wyraźnie już skończył. I tak dziwiłem się, że raczył pozostawać ze mną tak długo.

- Co mam więc robić, mój panie? - zapytałem, choć lękałem się, aby nie rozsierdziła go moja niedomyślność.

- Mordimer, to co masz zrobić, sam wiesz najlepiej - odparł i uśmiechnął się.

Tym razem nie próbowałem nawet zobaczyć jego oczu, bo nie chciałem, aby otchłań, która w nich była, spoglądała we mnie.

Epilog

Ta historia zaczęła się w Hez-hezronie i tam właśnie musiała się zakończyć. Do domu Lonny weszliśmy wczesnym rankiem. Ja, Kostuch, bliźniacy i trzech inkwizytorów w ciemnych płaszczach. Kiedy nas zobaczyła, krew odbiegła jej z twarzy.

- Mordimer - powiedziała głuchym głosem.

- Mordimer Madderdin w imieniu Inkwizycji - rzekłem.

- Twój dom, córko, zostanie poddany inspekcji.

- Ja nic nie zrobiłam - powiedziała z rozpaczą w głosie. - Wiesz o tym, Mordimer!

- Przynależność do Kościoła Czarnego Przemienienia, obmierzłej sekty heretyków, to, twoim zdaniem, nic? - zapytałem. - A skupowanie dziewic w celu poddawania ich świętokradczym obrządkom? Nie mówiąc już o sprofanowanych relikwiach i heretyckich amuletach, które znajdziemy w twoim domu.

- Powiedziałeś, że jeśli stoisz po jednej stronie barykady, a ktoś inny po drugiej, to można podjąć tylko jedną, słuszną decyzję. I ja stanęłam po twojej stronie, Mordimer. Pomogłam ci!

- Nic ci nie obiecywałem, Lonna. - Wzruszyłem ramionami: - Takie jest życie. Poza tym wydałaś mnie, perełko, ludziom kardynała. Łatwo było sądzić, że uprzykrzony Madderdin nigdy nie opuści już Gomollo, prawda?

Patrzyła na mnie i milczała. Bardzo dobrze, bo nie było nic do powiedzenia.

Kostuch zbliżył się do mnie i widziałem jego wygłodniałe oczy.

- Moge, Mordimer? - zapytał pokornie.

- Możesz, Kostuch, ale ona ma przeżyć - odparłem. Był jak wdzięczny psiak, kiedy porywał ją i bezwonną, zrozpaczoną, oniemiałą, prowadził na górę, do komnat. Potem słyszeliśmy przez dłuższy czas jej krzyk, ale później ten krzyk umilkł. Tak nagle, jakby krzyczącemu ktoś wsadził pięść w gardło. Po godzinie, kiedy Lonnę zabierali inkwizytorzy, miała zakrwawione uda, porwaną suknię i pustkę w oczach.

Jeszcze przed południem otoczyliśmy dom Hilgferarf. Przyjął mnie zimno, spokojnie, i tak jak ja wiedział, że jest już martwy.

- Nie trzeba było mnie oszukiwać, panie Hilgferarf - powiedziałem. - Dziewice z Południa miały być wspólnym prezentem pana i Bulsaniego dla Diabła z Gomollo i jego gości, prawda? Pan dawał gotówkę, a prałat dojsze do kardynała. Ale Bulsani postanowił pana przechytrzyć, czyż nie tak?, i wręczyć prezent tylko we własnym imieniu. Wynajął mnie pan, doskonale wiedząc, gdzie jest Bulsani. Co to miało być? Próba?

- Nie. Nie wiedziałem, że Bulsani kupił dziewczyny, dopóki mi pan o tym nie powiedział. Przypuszczałem tylko, że mógł to zrobić.

- Tak, tak, wysoko grał ten nasz prałat. Tak jak i pan - dodałem serdecznie.

- To prawda - rzekł Hilgferarf. - O co jestem oskarżony?

- O herezję, łamanie zasad świętej wiary, spisek, profanację relikwii, rytualne morderstwa, przynależność do sekt nie usankcjonowanych przez Kościół - powiedziałem obojętnym tonem - i co pan jeszcze tylko chce.

- Dlaczego mi pan to robi, Madderdin?

- Aby układanka pasowała - rzekłem. - Kardynałowie i ladacznica, poważany kupiec i słynący z frywolnego życia prałat. Wszyscy są heretykami, a to oznacza, że herezja może być wszędzie. Tu i tam. W domu twojego sąsiada i w kościele twojego proboszcza. Może nawet w głowie twojej żony. Trzeba było zajmować się handlem, panie Hilgferarf, a nie mieszać do polityki. I niech pan pomyśli, kto był pańskim współnikiem, bo takie pytania pan na pewno usłyszysz. A wtedy trzeba będzie odpowiadać szybko i logicznie, jeśli nie chce pan cierpieć ponad miarę.

- Mam przyjaciół - powiedział blady, nie wierząc we własne słowa.

Skinąłem mu głową i przywołałem inkwizytorów. Wyszedłem, kiedy zakładali mu kajdany. Był martwy, a ludzie martwi nie mają przyjaciół.

Być może spytacie, co czuję, pozostawiając za sobą trupy? Co czuję, wiedząc, że sześciu kardynałów, Lonna, Hilgferarf, dworzanie i żołnierze kardynała z Gomollo są martwi? Niektórzy zresztą jeszcze żyją. Ich serca biją ze strachu, ich gardła wydają okrzyki bólu, ich płuca duszą się w chrapliwym oddechu, ich mózgi starają się wymyślić historie, które zaspokoją ciekawość spokojnych ludzi w ciemnych płaszczach. Schodzę czasami tam, na dół. Do mrocznych piwnic, których ściany tętnią bólem i strachem. Widziałem Lonnę, widziałem Hilgferarfa i widziałem kardynałów. Pozbawieni godności i purpury wili się u stóp inkwizytorów, oskarżając samych siebie i swych towarzyszy. Nie odczuwam radości, ale nie odczuwam też smutku. Ci ludzie już teraz wierzą, że byli heretykami, spiskującymi przeciw Kościołowi i świętym zasadom naszej religii. A jeśli uwierzyli we własną zdradę, to znaczy, że ta zdrada była zawsze w głębi ich serc. Jedyne, czego mi żal, to sześciu dziewczyc z Południa. Kazałem zabić je dworzanom biskupa, a ich ciała ułożyć w wyrysowanych czarną kredą kręgach, potem podciąć żyły i krew zlać do szklanych retort. Kazałem na ich piersiach i brzuchach wypisać tajemne symbole, a między nogi włożyć odwrócone krzyże. Wiedziałem, że ten widok wystarczy, by inkwizytorzy z Hez-hezronu poczuli się jak gończe psy na tropie. Wiedziałem też, że będzie to powód do aresztowania sześciu kardynałów-spiskowców, zwłaszcza iż do Hez-hezronu dotarły wieści o spisku knutym przy okazji heretyckich praktyk. Tak więc czuję trochę żalu. Pociesza mnie tylko jedno: wszyscy jesteśmy winni w oczach Boga, a pytaniem jest jedynie czas i wymiar kary. Tak powiedział mój Anioł, a ja nie znajduję powodów, by nie wierzyć jego słowom. I wierzę, że

mój czas nieprędko nadejdzie, a kara nie będzie surowa
nad miarę.

Jacek Piekara

CAŁA KUPA WIELKICH BRACI

Niniejszy tekst, gdyby kto pytał, jest opowiadaniem, i to opowiadaniem fantastycznym - więc wszelkie podobieństwo czegokolwiek lub kogokolwiek do czegokolwiek lub kogokolwiek jest, oczywiście, całkowicie przypadkowe. Z wyjątkiem może podobieństwa Świętej Inkwizycji do Świętej Inkwizycji.

Spróbujcie to sobie wyobrazić: nie było nikogo. Ani żywej duszy, poza mną. Cały ogromny gmach telewizji na Woronicza, wszystkie jego bloki, studia, dyrektorskie gabinety - puste. W ogóle cała Warszawa - pusta. Absolutna cisza w eterze, kompletna pustka na drogach w całej Polsce, w całej Europie. Co tu długo gadać, po prostu byłem jedynym człowiekiem na całym świecie. Kończysz robotę, wylogowujesz, i nagle się okazuje, że kiedy siedziałeś z łbem w henkitek, ludzkość wyparowała jak załoga „Mary Celeste”. Chce zobaczyć, kto z was by w tej sytuacji nie spanikował. Gdyby nie pojawił się wreszcie brat Hernandez...

Prawda, nie możecie wiedzieć, co to są, to znaczy, co to były henkitekti. Przecież po to właśnie zrobili reset, żeby je wymazać.

Nie ma siły, muszę zacząć od początku.

Początek właściwie miał być końcem. To znaczy - końcem mojej pracy dla Telewizji Polskiej SA. Mówiąc krótko: ktoś musiał wylecieć ze „Śmietanki poranka”, i tym kimś byłem właśnie ja. Nie było to, jak mawiają Amerykanie, nic osobistego. Po prostu potrzebowali jakiejś fuchy dla faceta, którego dyrektor anteny kazał zdjąć z prowadzenia „Wiadomości”, bo tamtej z kolei fuchy potrzebował dla innego faceta. Moje skromne stanowisko prezentera telewizji śniadaniowej nie stanowiło wprawdzie obiektu pożądania telewizyjnych wyjadaczy, inaczej w życiu bym się na nie nie załapał, ale ktoś uznał, że z braku laku nada się na odstawkę dla zasłużonego pracownika publicznych mediów.

Nie powiem, szkoda. „Śmietanka poranka” była programem może nieszczerze poważnym, ale przytulnym. No i miała wielki plus: nadawała, jak sama nazwa wskazuje, w godzinach wczesnoporannych, kiedy wysocy szefowie TVP SA, jeszcze smacznie spali. Dzięki temu przez prawie trzy lata żaden z nich nie zauważył, że załagał im się na antenie gość ani śliczny, ani ze wsi, a jeszcze ideologicznie wrogi, bo z „Gazety Narodowej”. Niestety, wiecznie to trwać nie mogło, i w końcu nastąpiła epoka Big Sister.

Aha, zapomniałem sprawdzić, czy tego też nie wyresetowali. No, więc kiedy się ta cała historia zaczynała, to znaczy kiedy mieli mnie wylać ze

„Śmietanki...”, na topie były tak zwane *reality shows*. Nazywało się to „Big Brother” – jedna z konkurencyjnych stacji zamknęła dwanaścioro nudziarzy w chałupie pod Sękocinem, obstawiła ich kamerami i kazała wchodzić we wzajemne interakcje, a publika głosowała przez telefon, kogo wyrzucić. Telewizja państwowa wymyśliła dużo lepszy *reality show*, tylko nie wiem dlaczego nie dała go na antenę. Ogłosiła mianowicie, że w ramach reformy za miesiąc wyleci z roboty jakieś sześćset osób, z tym że kto konkretnie, szefostwo zadecyduje dopiero w ostatniej chwili. To, co potem działo się w redakcyjnych pokojach i na korytarzach, miało taką dramaturgię, że niech się schowa Sękocin - gdyby tam podłączyć kamery i jeszcze dodać głosowanie w audio-tele, publiczność by oszalała. Nasza Big Sister, jak od razu zaczęto nazywać szefową, umiała tę dramaturgię podgrzać jeszcze lepiej, tak żeby nikt z wzywanych do jej gabinetu nie był niczego pewien. To znaczy, ja akurat byłem pewien - doskonale wiedziałem, że w końcu wylecę. Nawet wiedziałem, jaką argumentację przedstawi mi szefowa: że potrzebny jest w programie ktoś młodszy, bardziej dynamiczny i szczuplejszy. Skąd mogłem wiedzieć, zapytacie? To proste, znałem tego faceta, którego musieli gdzieś przytulić po tym, jak go wyleli z dzienników, żeby zrobić miejsce dla nowej miłości pana dyrektora.

Tak więc, kiedy koleżanka przekazała mi, że redaktor Aleksandrowicz wzywany jest do „pokoju zwierzeń”, udałem się w ostatnią drogę z godnością, odprowadzany spojrzzeniami, w których współczucie dla „nominowanego” mieszało się z ulgą, że tym nominowanym jest kto inny.

W gabinecie u Big Sister siedział jakiś burak - od razu było widać, że świeżo awansowany i należący do typu drugiego. Bo w TVP SA awansowali tylko ludzie dwóch typów, jak już chyba zresztą wspominałem. Typ pierwszy stanowili młodzi chłopcy o cherubinkowatym wyglądzie, co było wynikiem powszechnie znanych skłonności dyrektora anteny. Typ drugi to faceci, jak to mówili oni sami, „z peezelu”, co było wynikiem układu sił w różnych radach nadzorczych. Z dwójga złego wolałem już tych drugich.

- Chodź, chodź, Rafał - zawołała radośnie na mój widok szefowa, wskazując krzesło. - Poznajcie się, to jest pan blablabla, dyrektor blablabla.

Nie mówiła oczywiście blablabla, tylko rzuciła jakieś nazwisko, którego nie zapamiętałem, i nazwę jakiejś telewizyjnej jednostki organizacyjnej, której nie zapamiętałem tym bardziej. Na Woronicza od zawsze było więcej dyrektorów niż ludzi do pracy przy programie, a reforma pomnożyła ich liczbę jeszcze ze

trzy razy - po korytarzach od paru tygodni niosło się dziarskie stukanie młotków i zawrodoenie pilarek ekip okładających boazerią szykowane dla nowych bonzów gabinety.

Oczywiście wobec takiej obfitości dyrektorów nie mogli oni być sobie równi. Cały telewizyjny surwiwal polegał właśnie na tym, żeby umieć odróżnić, który dyrektor naprawdę się liczy, a który tylko dostał synekurkę dla parytetu albo po znajomości. Nie było na to lepszej metody niż staranna obserwacja szefowej. Nasza Big Sister pracę w tej firmie zaczęła jeszcze na długo przed pierwszym liftingiem, pamiętała towarzysza Szczepańskiego, i przez te wszystkie lata wyrobiła w sobie bezbłędny instynkt, pozwalający z punktu rozpoznać właściwą osobę i odgadnąć jej życzenia.

Wobec buraka zachowywała się w sposób świadczący, że on sam ważny może nie jest, ale na pewno pod kimś ważnym wisi, i lepiej mieć z nim dobrze.

- Dzień dobry - wyciągnął do mnie rękę. - Pan Aleksandrowicz? Pan kiedyś pisał o Świętej Inkwizycji?

To była, muszę przyznać, zasadnicza przewaga chłopców „z peezelu” nad wysłannikami kartelu z Rozbrat - nie mieli irytującego nawyku przechodzenia z każdym w pierwszym zdaniu na „ty”.

- Tak, ja - odwzajemniłem uścisk dłoni.

- Świetnie się składa! Widzi pan, sprawa jest taka...

Sprawa była taka: kupili dla telewizji henkitek. A po co telewizji taka zabawka? - zdumiałby się może ktoś postronny; przecież tego się używa do projektowania gier VR, do bardzo specjalistycznej trójwymiarowej grafiki komputerowej i tak dalej, ale telewizja? Odpowiedziałbym takiemu spryciarzowi: a po nic. Któryś z dyrektorów pojechał w delegację albo zobaczył, że ma kasę do wydania jeszcze w tym kwartale, bo jak nie wyda, obetną mu w następnym - i kupił co było pod ręką. Słyszało się legendy o różnych cudach za ciężkie dolary, które ponoć stały w telewizyjnych magazynach bezużytecznie, bo okazało się, że nie pasują wtyczki, nie ma tego jak w Polsce uruchomić, albo w ogóle nie jest na plaster do de potrzebne. No cóż, czego nie wiemy, tego nie wiemy, jak pisał Bułhakow (chyba, na litość Boską, nie wyresetowali Bułhakowa?). Ja mógłbym tylko opowiedzieć, że jak kręciliśmy jakieś duperele w Stanach, to kamerzysta z CBS podszedł do naszego z tekstem, że mamy taki nowoczesny, fajny sprzęt, aż zazdrość, bo jego firma to, niestety, uznała, że do reporterki się nie opłaca kupować tych najdroższych kamer i każe im pracować na starych.

Przypuszczam, że stary Parkinson, gdyby mógł podziwiać porządki w TVP S.A., podskoczyłby z radości, że jego teorie znalazły tak dobitne ucieleśnienie. Zwłaszcza to prawo, które mówi, że im

większe pieniądze wyrzuca instytucja, tym lżej jej to idzie, podczas gdy kwoty groszowe są rozliczane i egzekwowane z maksymalną surowością. Odkąd zacząłem pracę dla „Śmietanki”, byłem regularnie nękany pismami z szeregiem urzędowych gróźb, o zwrot używanego na antenie garnitur. Garnitur ów, zgodnie z przepisami, winien wisieć stale na wyznaczonym dla niego haku w magazynie kostiumów, skąd miałem prawo pobierać go jedynie na czas programu. Kiedy go tam nie było, panie ze stosownego 'działu po prostu nie mogły spać. Nie dało się im w żaden sposób wytłumaczyć, że telewizja śniadaniowa nadaje w godzinach, kiedy magazyn, jak wszystko w ogóle, jest zamknięty na cztery spusty, i że musiałbym być kompletnym kretynek, aby specjalnie przyjeżdżać na Woronicza w przeddzień każdego programu po garnitur i jeszcze raz po południu w dniu programu, żeby go tam na kilka dni zdać. Przepisy określały los garnituru jednoznacznie i krótko; przed opisanymi tu zdarzeniami dostałem upstrzony imponującą liczbą stempli kwit, w którym TVP SA zawiadamiała tonem nader serioznym, że podaje mnie do sądu za kradzież garnituru.

Wracając do rzeczy: kupili ten henkitek za nie wiadomo jakie miliony i zamiast go pogrzebać na wieki gdzieś w magazynach techniki, postanowili się pochwalić, że Polak potrafi. Ktoś zgłosił pomysł transmisji z posiedzenia trybunału hiszpańskiej inkwizycji. Dyrektor anteny po prostu się zachwycił. Dyrektor anteny na każdą wzmiankę o Kościele reagował jak byk na czerwoną płachtę, głęboko przekonany, że biskupi kombinują tylko, jakby tu jego i wszystkich mu podobnych spalić na stosie. Z punktu wsadził inkwizycję do ramówki. I to był właśnie problem. Czas emisji zbliżał się nieubłagane, a wyodrębniona w ramach reformy agencja, której dyrektorował „Burak”, nie mogła sobie dać ze sprawą rady.

No, dobra - henkitek: co to jest, znaczy, było, jak działało, i tak dalej. Doszliśmy w tej historii do punktu, w którym narrator nie może się już wykręcić od konkretnych odpowiedzi na te pytania. W związku z czyni, skoro nie ma innego wyjścia, niniejszym rozkładałem szeroko ręce i oznajmiam szczerze: pojęcia nie mam. Nie wyjaśnię wam tego, kochani, choćbyście mnie przypiekali żywym ogniem albo zmuszali do relacjonowania obrad sejmku. Wiem, zawołacie w tej chwili: jak mogłeś, Aleksandrowicz! Jak mogłeś nie przewidzieć, iż pewnego dnia ten cudowny wynalazek wyparuje ze świata, i nie nauczyłeś się o nim zawczasu wszystkiego, aby tę wiedzę przechować w swej szarej substancji mózgowej dla ludzkości. Na taki zarzut nie znajdę żadnej odpowiedzi. Co najwyżej wyrażę przekonanie, że żadnemu z was na moim miejscu również by to nie przyszło do głowy.

Pamiętam tylko, że wymyślił to jakiś Fin, zresztą nazwa henkitek była wzięta właśnie z fińskiego i może nawet coś w tym języku znaczy. No i, oczywiście, że służyło toto do podróży w przeszłość. To znaczy, tak

potocznie się mówiło, w istocie wszystko się odbywało w mózgu operatora. Wiecie pewnie, że człowiek wykorzystuje ze swego mózgu zaledwie kilka procent - to znaczy, tak mówią naukowcy, którzy pewnie badali to na sobie; w telewizji, o politykach już nie wspominając, pokazałbym wam bez trudu kupę takich, u których używaną część mózgu stosowniej by wyliczać w promilach. Nieważne, w tej chwili mówimy o tej nieużywanej reszcie. Ta reszta, jak udowodnił jakiś profesor, magazynuje pamięć genetyczną. Każdy z nas ma zapisane w zwojach wydarzenia, których świadkami byli jego przodkowie, poczynając od pierwszej upojnej nocy dwojga trylobitów, po chwilę własnych narodzin. Otóż genialność henkiteku polegała na tym, że wnikając przez biozłącze do mózgu operatora, wczytywał mu się w osady pamięci genetycznej i rekonstruował z niej różne obrazki.

Zauważcie, co powiedziałem: obrazki. Statyczne, choć trójwymiarowe. Wkrótce po publicznej prezentacji henkiteku łamy gazet zappełniły się widoczkami bitwy pod Waterloo, scenkami z budowy piramid, ze zdobywania Pałacu Zimowego, albo, zależnie od profilu gazety, z balang u Kaliguli. Historycy najpierw je wyśmiewali, twierdząc, że komputer nie odczytuje żadnej pamięci genetycznej, tylko nieświadomione fantazje operatora i że obrazki pełne są anachronizmów. Ale potem pojawili się inni, młodszy historycy, którzy wyśmiali tamtych, że są bandą dementów, a to, co uznają za anachronizmy, każe zweryfikować stare badawcze dogmaty i właśnie stanowi dowód, bo ludzie, którym te obrazki powyciągano z mózgowych złożeń, nie mogliby takich szczegółów znikąd znać.

Tak czy owak, zachodziłem w głowę, kto mógł „Burakowi” poddać pomysł, że za pomocą henkiteku można by zrobić z przeszłości nie tylko obrazki ale pełną, telewizyjną transmisję.

- A, to ja mu powiedziałem - oznajmił od niechcienia Zenek, odprawiając jakieś swoje tajemne obrzędy nad trzema klawiaturami jednocześnie.

Omal się nie udławiłem herbatą.

- Co?!

- No, zaczął ściemniać, że reforma i obetną mi budżet. Musiałem coś wykombinować na poczekaniu, żeby „derekcja” sypnęła kasą.

- I powiedziałeś im, że można zrobić transmisję z hiszpańskiej inkwizycji? - upewniłem się.

- Fakt, mogłem się bardziej wysilić - przyznał, wystukując szeregi cyfr i liter w kodzie szesnastkowym. - Ale akurat to mi przyszło do głowy.

Spróbujcie sobie wyobrazić najbardziej stereotypowego szalonego geniusza-komputerowca, ale takiego jak z komiksu. Takiego z kupą nie mytych i nie strzyżonych od lat kudłów, który żywi się wyłącznie deliweringiem, nie opuszcza nigdy zagruzowanej elektronicznym złomem, puszkami po pepsi pełnymi petów oraz zatłuszczonymi kartonami po pizzy, i nigdy sam z siebie nie zdejmuje tiszerta - dopiero gdy mu się pokruszy i złuszczy w ramach naturalnej erozji, sięga

po następny, oczywiście nie patrząc, co jest na nim napisane.

Tak właśnie wyglądał Zenek.

Nie do końca wiem, czy on w ogóle zdawał sobie sprawę, gdzie pracuje. Na Woronicza ściągnęli go za swoich czasów pampersi, od razu na etat dyrektora finansowego. Facet w życiu nie miał żadnych finansów, czym się różni inkaso od stopy lombardowej nie wyjaśniłby nawet na mękach, ale pampersi wsadzili go na tę fuchę, bo kiedyś chodził do tego samego kościoła na oazy. Podobno zresztą uważano go za jednego z lepszych dyrektorów finansowych w dziejach telewizji - w ogóle się nie wtrącał księgowym w robotę, tylko raz, na samym początku, kazał sprowadzić z Zachodu jakiś superkomputer i nie dał się już od niego oderwać. Następna ekipa wyrzucić go nie mogła, bo pampersi, zakładając swój związek zawodowy, wpisali go w sądzie na przewodniczącego, a przewodniczącego związku zawodowego, zgodnie z ustawą, wylać nie wolno. Nawiasem mówiąc, numer z założeniem związku zawodowego dyrektorów skopiowała po pampersach obecna ekipa, i to z twórczą modyfikacją, bo założyła takie związki aż trzy. Albo tylko trzy, w sumie stać by ich było na znacznie więcej - w polskim prawie pracy do założenia związku potrzeba zaledwie dziesięciu osób. O liczbie zadecydował inny zapis tegoż prawa, że jeśli dyrekcja chce zreformować wewnętrzną strukturę firmy, musi w tej sprawie uzyskać zgodę co najmniej trzech działających w niej związków. Więc jak przyszło do sławnej reformy na Woronicza, zamiast użerać się z jakimiś strażakami czy maszynistami prościej było dyrektorom zarejestrować swoje własne trzy związki i wynegocjować nowy układ zbiorowy z samymi sobą.

W ramach tejże reformy udało się także przeseregować Zenka z finansów do techniki, co było zresztą tylko zalegalizowaniem stanu faktycznego, a potem, ponieważ technikę też rozwiązano, do jednej z agencji, gdzie omamiał jej szefa, znanego wam już „Buraka”, wizją henkitekowej transmisji na żywo z przeszłości.

- Trochę mi nawsadzałeś kitu.

- Trochę - przyznał. - Ten cały henkitek jest mocno przereklamowany, wszystko, co się dało zrobić po podstrojeniu, to takie jakby stopklatki. No, ale jak już był, dopisałem taki program, który nabudowuje na nich normalny VR. Po prawdzie to nie żadna transmisja tylko animacja, ale oni się nie poznają.

Zawsze mi się wydawało, że animacja w czasie rzeczywistym to coś ponad możliwości obliczeniowe pojedynczego komputera.

- Jak byłem dyrektorem finansowym telewizji - wyjaśnił spokojnie Zenek, nie odrywając wzroku od monitora - to kazałem zainstalować bezpośrednie złącze z systemem bankowym. Kiedy potrzebuję, to się podłączam do ich centrów obliczeniowych.

Brzmiało to wiarygodnie; od dłuższego czasu prasa pełna była interwencyjnych artykułów o karygodnych

niedociągnięciach w pracy banków i problemach z obsługą kart płatniczych.

- Naprawdę? - rzucił zdziwiony. - Wiesz, nie mam tu czasu czytać gazet. Słuchaj, chłopie, chodzi tylko o to, żeby nie przeszkadzali mi w robocie. Gdyby to fińskie cudo naprawdę mogło wyciągnąć ze łba coś więcej niż obrazki, posadziłbym przy pulpicie byle kogo. Ale trzeba będzie trochę pod- picować, no wiesz, i dlatego kazałem znaleźć takiego dziennikarza, który już miał w temacie jakiś brief.

- Aleja o tym pisałem na tempo do świątecznego numeru, pięć lat temu...

- Nie szkodzi, w szarej substancji nic nie ginie, jak się ją . tylko umie przeszukać. Procedura jest taka: wymyśl czas i

miejsce, ja ci przeczeszę henkitekami łeb na obrazki i postaci, potem którąś z nich zaanimujemy, i w jeden, dwa seansy przygotujemy dane wyjściowe. A potem się napisze programik, który to ładnie zaszyje i już będzie można zgrywać.

Dla Zenka, jak przystało na geniusza, to był tylko programik. Brat programista powiedział mi potem, że oni nad takim programikiem, fakt, że o ile bardziej skomplikowanym, pracowali długie lata. W końcu szło ni mniej, ni więcej, tylko o stworzenie świata.

Oczywiście, aż tak daleko nie zaszliśmy; zdążyliśmy stworzyć tylko brata Hernandeza. Gdybym miał nieco więcej asertywności, w ogóle kazałbym się „Burakowi” wypchać i wszystko zostałoby po staremu. Ale nie miałem. Sorry, w końcu ta fucha była szansą załapania się gdzieś po nadchodzącym wielkimi krokami zwolnieniu ze „Śmietanki”.

Więc nie tylko nie kazałem mu się wypchać ale, wręcz przeciwnie, zapewniłem, że wszystko jest świetnie, właśnie robimy risercz i niedługo już zobaczy jego wymierne, ekranowe efekty. Po czym, zostawiając techniczną stronę zagadnienia Zenkowi, zabrałem się do pisania scenariusza.

Oczywiście doskonale wiedziałem, czego się spodziewał po takim programie pan dyrektor i cała ekipa. Kawalków jak z „Lochów Watykanu” czy „Studni i wahadła” - zakapturzonej policji politycznej, torturującej heretyków wymyślnymi machinami i ozdabiającej hiszpańskie pejzaże setkami płonących stosów. „Burak” gdzieś słyszał, że pisałem o inkwizycji - natomiast, tego co pisałem, najwyraźniej nie pofatygował się sprawdzić. A pisałem, że czarna legenda, którą otoczyli działalność świętego oficjum protestanci, i którą potem do granic absurdu rozdzieli oświeceniowi encyklopedyści, jest, delikatnie mówiąc, przesadzona. Inkwizytorzy byli tylko pierwszymi w dziejach Europy zawodowymi sędziami, którzy, mówiąc nawiasem, wymyślili wszystkie procedury stosowane w sądownictwie do dziś.

Zastanawiałem się nad wykorzystaniem jakoś dramaturgii inkwizycyjnego posiedzenia, bardzo

przypominającego, dzięki ławie przysięgłych, sąd amerykański. Amerykanie zrobili z tego parę kinowych hitów i osobny kanał telewizyjny, to i ja bym mógł. Problem polegał na tym, że dobra dramaturgia wymagała uwieńczenia malowniczą egzekucją, a inkwizycyjny proces nastawiony był nie tyle na ukaranie heretyka, co na zbadanie, czy faktycznie heretykiem jest, i jeśli tak, skłonienie go do wyrzeczenia się błędów. Facet musiał bardzo chcieć, żeby proces skończył się skazaniem, a ze skazanych dziewięciu na dziesięciu dostawało nakaz chodzenia przez ileś tam niedziel w czymś w rodzaju oślich uszu. Zniesmaczony czytałem, jak żałośnie mało było wśród heretyków ludzi prawdziwie ideowych - w końcu nawet ci skazani na *quemadero* w większości w ostatniej chwili przed wstąpieniem na stos doznawali łaski oświecenia i też wykręcali się oślimi uszami.

Obłożyłem się Contrerasami i Alvarezami, z internetu ściągnąłem Henry'ego Kamena i przez parę godzin szukałem jakiegoś konkretnego czasu i regionu, gdzie będzie najłatwiej o dobry, należycie krwisty temat. Wszyscy badacze okazali się zgodni, że najkrwawsze łaźnie urządzały chłopcy Torquemady w okolicy Bajadoz. Sprawdziłem. Między 1493 a 1599 spalili tam całe 20 osób. Zdaniem Kamena nawet 21.

Powiecie, że zamiast grzebać w tym wszystkim, trzeba było pójść pewniakami - Galileusz, Giordano, albo... No, któryś z nich dwóch. Nie, kochani, pomyślałem i o tym, choć zasadniczo zamówienie opiewało na inkwizycję hiszpańską. Niestety, oznaczało to tylko kilka kolejnych godzin zbędnego rycia w lekturach, zakończonego stwierdzeniem, że sprawa zupełnie się nie nadaje do dzisiejszych mediów. Jak chcecie wiedzieć dlaczego, to poczytajcie sami, nie chce mi się już referować.

- Bo z ciebie palant, że głowa boli! - zirytował się Zenek, kiedy w uczuciu głębokiej frustracji zdawałem mu sprawozdanie ze swoich studiów. - To na to tu trzymam ten hardler, żebyś się kopał w papierach? Bierz tyłek w troki i przyjeżdżaj, podłączę cię do pieca i zaraz będziesz wszystko wiedział.

Nie ośmieliłem się - znowu ten brak asertywności - spytać Zenka, czy wie, że dochodzi czwarta nad ranem. Zresztą dla pracownika „Śmietanki” w sumie nie była to żadna szczególna godzina, strażnicy na bramce nie tylko się nie zdziwili, ale nawet nie chciało im się odwrócić od telewizora, kto tam popiskuje elektroniczną bramką. Oczywiście, jak wszyscy strażnicy w TVP S.A., oglądali Polsat.

Okazało się, że zamiast rwać włosy z głowy, należy podejść twórczo do swojej podświadomości. Podświadomość może wszystko - problem tylko, żeby zmusić ją do współpracy. A ponieważ spałować własnej podświadomości nie sposób, trzeba ją zażyć z mańki, najlepiej przez zwizualizowanie w odpowiednio wymyślonej postaci, wydzielonej z własnej jaźni, która pełnić będzie rolę przewodnika i pośrednika w dostępie do rozszyfrowywanych przez henkitek zlogów z pamięcią genetyczną. Zenek ściągnął skądś odpowiedni

program, i kiedy dotarłem do jego podziemi, właśnie kończył kompilowanie wersji, w której nałoży ten program na moje henkitekowe wizje.

- Mam do ciebie tylko jedną wielką prośbę - rzekł, uruchamiając maszynę. - Uważaj, jak on się będzie ruszał, zwłaszcza przy półobrotach.

- Kto?

- Nie mam pojęcia kto, to przecież będzie postać z twojej podświadomości. Mnie to wszystko zwisa, pracuję nad algorytmami poruszania się człowieka. A myślałeś, że co tu robię?

Przyznałem uczciwie, że tego akurat pytania sobie nie zadawałem, i zresztą nie uważam, żebym to właśnie ja był tym, który je sobie zadać powinien.

- Tylko dlatego się zgodziłem na tę głupią robotę, żeby nie prosić się tygodniami o każdą godzinę komputera na uniwersytecie. Jeszcze pół roku, rok, i będę miał prawie kompletne algorytmy do animacji całej sylwetki w pełnym zakresie ruchów.

Mówiąc to, założył mi na łeb opleciony kablami hełm z elektrodami. Zaraz potem huknęło, potem rąbnęło, gwizdnęło, zaświergoliło, zaślurgotało i wszystko zniknęło. Ja w pierwszej chwili też.

Nie było to przyjemne uczucie - z początku nie było mnie w ogóle, a kiedy już trochę zacząłem być, to przybywało mnie bardzo powoli. Może to autosugestia, ale miałem wrażenie, jakby coś mnie czytało, wysysało starannie informację z każdej z moich komórek, pómłaskując przy tym. Nie wiem, czy inni użytkownicy henkiteków odczuwali to podobnie, teraz już raczej trudno o to zapytać.

Kiedy to czytanie wreszcie się skończyło i odzyskałem wzrok, zobaczyłem siedzącego po przeciwnej stronie stołu mnicha, który, pochylając się nad blatem wpatrywał się z zaciekawieniem w moją twarz.

- Następna sprawa - odezwał się. Pic, pomyślałem, powinien przecież mówić po hiszpańsku. I to po starohiszpańsku.

- *Laudetur Iesus Chrystus* - przypomniałem sobie z niejakim trudem odpowiednią na taką okazję formułę powitania.

Przeżegnał się, odpowiedział: - *In saecula saeculorum* - i nadal czekał na wyjaśnienia z mojej strony.

- Mam do księdza... eee, brata, sprawę. Chodzi o herezję... Siedzieliśmy, jakżeby inaczej, w jakiejś zakonnej celi.

Mój rozmówca westchnął z rezygnacją.

- Jeszcze jeden z donosem na sąsiada, co? Idź, synu, na parter, przy furcie w korytarz po prawej stronie i trzecia celda na lewo. Ja jestem inkwizytorem. Nie po to kończyłem dwa wydziały, prawniczy i teologiczny, żeby gonić za twoimi donosami. Studiowałem, żeby przewodzić dysputom, które pozwalają rozstrzygać niejasne materie' magisterium Kościoła powszechnego i dojść ostatecznie, raz na zawsze, do światła jedynej Prawdy...

- I co, jak się rusza? - spytał mnie po wewnętrznej Zenek.

- Rusza się świetnie, ale po jakimu z nim właściwie gadać?

- Po jakimu ci wygodnie! Przecież to twoja podświadomość, nie moja - odparł i parsknął cicho, z wyraźną irytacją. To ciche parsknięcie miało się okazać ostatnim, co od niego usłyszałem.

- Rozumiem... Przepraszam, *fray*, ale zupełnie się na partnera do takich dysput nie nadaję - przerwałem bratu Hernandezowi (nie pamiętam, skąd wiedziałem, że się tak nazywa, musiał mi się w którejś chwili przedstawić). - Mam do załatwienia zupełnie inny biznes.

- Wal śmiało, synu.

- Chodzi o to, żebyście spalili specjalnie dla mnie jakiegoś heretyka...

- Palić heretyka? Chyba sobie robisz jaja, synu. Jesteś u inkwizytora, a nie u komendanta straży miejskiej. My nikogo nie palimy.

- Tak, wiem, że od palenia jest...

- Ramię świeckie — skinął głową.

- Wystarczy mi, żebyście go skazali. Po prostu, żebym mógł obejrzeć taki proces od początku do końca. Aż do przekazania sądowi królewskiemu.

Pokręcił ze zniechęceniem głową.

- Bez sensu, że się tak daliśmy zrobić w tę służbę królewską, mówiłem bratu Torquemadzie, że politycy się wszystkiego wyprą i to nas będą potem obsmarowywać. Ale, tak czy owak, zajmujemy się tym, co do nas należy: orzekaniem co jest herezją, a co nie.

- No, właśnie. Czy moglibyście dla mnie rozprawić się z jakąś herezją? Może być nieduża.

- O, to wymaga scholastycznej dysputy. Pozwany przedstawia swój pogląd, argumentuje, mu używamy kontrargumentu, i jeśli jego wystąpienia okazują się sprzeczne z nauką Kościoła, on je odwołuje.

- No - do czegoś jednak zaczęliśmy się zbliżać - a jeśli nie chce odwołać, to go bierzecie na tortury, a potem palicie?

- Już ci mówiłem, że inkwizycja nikogo nie pali. Inkwizycja ma ustalać, co jest zgodne z nauką Chrystusa, a co nie. Przez te ciągle wojny dynastyczne w cesarstwie zrobił się z tym taki burdel, że każdy byle kacyk zmuszał czy przekupywał lokalnego biskupa, żeby ogłaszał jego przeciwnika heretykiem, i w końcu każdą byle bójkę w knajpie ogłaszano krucjatą. Dopiero świętej pamięci Grzegorz IX zrobił z tym porządek, pozostawiając rozsądzanie o herezji wyłącznej kompetencji niezależnych fachowców. Czyli właśnie nas, trybunałów inkwizycyjnych. Każdy musi przyznać, że osiągnęliśmy wielki postęp: dzisiaj już żaden władca nie może sobie pozwolić na gnębienie politycznego przeciwnika czy gacha żony pod pozorem herezji albo czarów.

- Ale chyba znajdujecie jakichś heretyków, który naprawdę są heretykami?

- Po to jesteśmy. I po to, żeby wytłumaczyć komuś takiemu, gdzie się myli. Przytaczamy mu pisma

świętych doktorów, ojców Kościoła, objaśniamy mechanizm jego błędu...

- I go torturujecie?

- Pogięło cię, synu, z tymi torturami? Torturuje się w zwykłych sądach, tam jest prosta sprawa - pal go raz, dwa, trzy, przyznał się i koniec. A co dadzą tortury przy udowadnianiu błędu teologicznego? Przecież nie chodzi o to, żeby błędzący udał, że się zgadza, a potem nadal mącił prostym ludziom w głowach. Chodzi o to, żeby naprawdę zrozumiał swój błąd i się go wyrzekł. Prawda jest jedna i już święty Augustyn uczył, że światło rozumu zawsze pozwoli ją znaleźć.

- No, ale jeśli błędzący nie daje się przekonać?

- Ha - powiedział ponuro *fray* Hernandez. - Istotnie, czasami się to zdarza. No cóż, jeśli nie natrafimy na dobrą wolę pozwanego, nasza misja kończy się na stwierdzeniu, że mamy do czynienia z zatwardziałym wywrotowcem, i przekazaniu go sprawiedliwości królewskiej.

- I wtedy go palą? I torturują? - podjąłem z nadzieją.

- Taki istotnie jest tutejszy obyczaj - przyznał. - No, a co innego można zrobić z zatwardziałym heretykiem? Każda herezja, synu, to ideologiczna podkładka do działalności terrorystycznej. Prędzej czy później ktoś zacznie w jej imię zabijać. Gdyby pozwolić im się pienieć, zagroziłoby całemu łańdowi cywilizowanego świata i wartościom, na których się on opiera.

- Dobra, *fray*, spróbujmy z innej beczki. Z kim trzeba załatwiać, żebyśmy mogli zrobić transmisję z takiej inkwizycyjnej rozprawy?

- Transmisję z rozprawy? - w jego głosie i zachowaniu zaszła nagle zmiana. W pierwszej chwili jej nie uchwyciłem, zajęty intensywnym myśleniem, jak można podobną sprawę wytłumaczyć piętnastowiecznemu inkwizytorowi, nawet jeśli się go zaczerpnęło z własnej podświadomości czy zlogów genetycznych.

- Widzisz, *fray*, sprawa wygląda tak. Od twoich czasów minęło już wiele pokoleń, i my, ludzie z przyszłości, chcemy zbadać, jak to było...

- Zbadać? - powtórzył z niemądrą miną.

- Zbadać, jak to naprawdę, eee, wyglądało w waszych czasach. Dlatego ułożyliśmy program... To znaczy zbudowaliśmy taką maszynę...

- Maszynę?

- Maszynę, która wymodelowała przeszłość...

- Program? Modelowanie komputerowe? - głupia mina zastygła na dobre na twarzy inkwizytora. Zamilkłem, zdetonowany jego dziwnym zachowaniem.

- Modelowanie komputerowe? - powtórzył.

Gapił się dziwnie przed siebie i nie reagował na pytania. Pomachałem mu kilka razy dłonią przed oczami, ale nie zwrócił na to uwagi. Nie zareagował nawet, gdy go uszczypnąłem w policzek. Wstałem, obszedłem stół dookoła, wyjąłem spod mnicha stołek - pozostał nieruchomy jak woskowa lalka od madame Tussaud. Z tą różnicą, że od czasu do czasu powtarzał pytającym tonem: „Modelowanie komputerowe?”

- Zenek? Zenek, słyszysz mnie? - dopytywałem się po wewnętrznej. - Coś się zawiesiło!

Zenek nie odpowiedział, za to *fray* Hernandez oznajmił nagle głosem nader oficjalnym: - Zawiesiło się - i znieruchomiał ostatecznie.

Podjąłem jeszcze parę bezskutecznych prób zmuszenia go do jakiejś reakcji, ale ponieważ i on, i cały otaczający nas świat zamarł w miejscu jak krajobraz, dałem w końcu spokój i wylogowałem. Zdjąłem z głowy komputerowy hełm i poszedłem szukać Zenka, bo oczywiście w pokoju go nie było. Na korytarzu także nie. Ani na parterze, dokąd wyszedłem wąskimi stalowymi schodkami z przerobionych z magazynu pomieszczeń jego superkomputera.

Nie było nie tylko Zenka, ale w ogóle nikogo. W bloku, w którym mieściła się informatyka, jeszcze nie było to tak podejrzane. Ale chociaż zaczął się już dzień i od paru godzin cała telewizja powinna pracować, a przynajmniej pozorować pracę, pustka panowała także w korytarzach i studiach bloku emisyjnego, a nawet w zawsze pełnym wieżowcu zarządu. Żaden strażnik nie pojawił się przy wejściu, gdy całkowicie nielegalnie forsowałem bramki w tę i z powrotem, nikogo nie było na ulicy...

No tak, już wam to opisywałem. Zostałem jedynym człowiekiem na całym pieprzonym świecie i, przyznając się bez bicia, zacząłem wpadać w coraz większą panikę. Wybiegałem z gmachu i wracałem do niego z powrotem, przeczesywałem częstotliwości radiowe i telewizyjne, dzwoniłem pod przypadkowe numery, szczypałem się wielokrotnie w różne części ciała - możecie sobie wyobrazić. Trwało to pewnie dobrych parę godzin i nie wiem, czy nie ześwirowałbym na amen, gdyby nagle, w szerokim korytarzu wiodącym wprost z dyrektorskich gabinetów, nie wyszedł wprost na mnie... No, któż inny mógł na mnie wyjść w takiej historii jak ta? Oczywiście inkwizytor, jak z książkowej ilustracji - w biało-czarnym dominikańskim habicie i z wielkim krzyżem na piersi.

Strój nieco mu się zmienił, ale wystarczył jeden rzut oka na twarz - owym inkwizytorem był *fray* Hernandez, wyprodukowany wspólnie przez moją podświadomość i telewizyjny henkitek. Odetchnąłem z ulgą. A więc nie ześwirowałem, tylko po prostu nadal tkwię w zawieszonym programie, z którego prędzej czy później Zenek mnie wyciągnie. Dopiero po chwili naszedł mnie strach, że jak źle pójdzie, nigdy już nie będę pewien czy w końcu wydostałem się na jawę, czy tkwię w kolejnej henkitekowej złudzie, jak lemovski król Murdas.

- Tak, wiem, *frater* - powiedziałem na głos, gdy podszedł do mnie i mocnym uściskiem za ramię udowodnił, że nie jest żadną zjawą. - Program mi się zawiesił.

- Nie całkiem tak, synu - pokręcił ze smutkiem głową. - To nam się zawiesił program.

Domyślacie się już? To gratuluję, ja taki domyślny nie byłem. Brat Hernandez musiał mi wszystko długo tłumaczyć, kawę na ławę. Nie powiem, żebym łatwo uwierzył, ale sytuację miałem raczej przeciwko sobie.

Mieli wyraźny problem, co ze mną zrobić. W każdym razie postanowili o tym pogadać w większym gronie. Zasiadliśmy w najbliższym gabinecie; do Hernandeza dołączył chudy młodzieniec z bródką, nazywany bratem programistą, oraz zażywny staruszek, do którego obaj pozostali zwracali się z szacunkiem per „Wasza Świątobliwość”. Wszyscy trzej byli w takich samych habitach, z tą drobną różnicą, że Jego Świątobliwość miał przesunięte kolory. To znaczy, czarne części jego sylwetki dzieliło parę centymetrów od białych, zupełnie jak w rozregulowanym telewizorze. Kiedy to dostrzegł, popatrzył tylko z irytacją na zaczerwienionego brata programistę, ale w końcu machnął ręką. Miał przecież na głowie większe problemy.

- Ależ się z nas franciszkanie będą teraz nabijać! Cały projekt! Tyle pracy, tyle dysput, i żeby się w końcu zawiesił jak te tanie programy modlitewne brata Gatesa...

- To naprawdę nie jest wina programistów, Wasza Świątobliwość - opierał się Hernandez. - To oni - pokazał na mnie. - Rozwinęli informatykę na tyle, że jakiś miejscowy geniusz napisał program kreacyjny pracujący na identycznej zasadzie jak nasz. Więc kiedy wewnątrz kreacji zaczęła funkcjonować druga kreacja... - Rozłożył bezradnie ręce, a brat programista poparł go, smutnie kiwając głową.

- Nie mogliście się jakoś przed tym zabezpieczyć?

- Ależ Wasza Świątobliwość, przecież symulanty - teraz pokazał na mnie programista - musiały mieć całkowitą samodzielność i wolną wolę! Inaczej cały projekt nie miałby żadnej wartości egzemplifikacyjnej.

- Wszystko jedno. Po tej wpadce franciszkanie i tak zakwestionują całą jego wartość egzemplifikacyjną znowu znajdziemy się w punkcie wyjścia. - Jego Świątobliwość wyglądał na podłamanego, pozostali zapewniali go gorąco, że wcale nie jest tak źle; drobna trudność techniczna, poprawią, zresetują wszystko będzie dalej grało.

- Z początku się takie rzeczy zdarzały nawet często, choć na dużo drobniejszą skalę. Trzeba było tu czy tam założyć łatkę w programie i żaden franciszkanin nie zgłaszał zastrzeżeń - mówił ten z bródką. - Wręcz się zgodzili, że nawet lepiej, bo w ten sposób powstał w alternatywnym świecie pozór cudów, które realnie się tam zdarzać nie mogły.

Ciągle mówili o franciszkanach, bo, jak mi to wyjaśnił Hernandez, cały projekt powstał wskutek rywalizacji między tymi zakonami. Gdzieś w początkach dwudziestego wieku - ich dwudziestego wieku, ma się rozumieć - franciszkanie zaczęli bardzo mocno krytykować dominikanów za inkwizycję. Że sprowadzili na lud boży niepotrzebne zło, że Kościołowi wystarczyłoby chrystusowe miłosierdzie, miecza nie potrzebował, słowem - że bez trybunałów

supremy *fray* Torquemady i reszty, historia świata wyglądałaby dużo lepiej. Oczywiście dominikanie twierdzili coś wręcz przeciwnego. Niekończący się spór między dwoma największymi zakonami w owczarni pańskiej zaczął przyprawiać papieża Piusa XXVII o taki ból głowy, że nakazał po prostu sprawdzić rzecz empirycznie. Czyli wymodelować w pamięci superkomputerów watykańskiej kongregacji do spraw wiary świat taki, jaki by się rozwinął, gdyby święta inkwizycja nie wytępiła była w zarodku wszystkich zasługujących na wytępienie herezji.

- Bez cienia radości muszę ci powiedzieć, synu, że wyszło na nasze - podsumował *fray* Hernandez. - Przecież wiesz, wybuchła ta okropna rewolucja, jak jej tam, francuska, wymordowano tylu dobrych chrześcijan, a potem zaczęły się te wszystkie rzeczy, że aż w ogóle mało kto miał odwagę do waszego świata zaglądać. Sam zresztą wiesz najlepiej, co się tam u was dzieje.

- Dzieje się, co się dzieje - podczas tej rozmowy byłem jeszcze w nastroju do sporu - ale jak mi będziesz opowiadać, że u was nie ma żadnych wojen ani zbrodni...

- Oj nie, oj nie - westchnął boleśnie Hernandez i wbrew temu, czego się spodziewałem, odezwał się bardzo pokornie:

- Szatan nie zasypia ani na chwilę! Nie tak dawno w Gruzji trafił się taki jeden, brat Dżugaszwili... Wilk w owczarni Pańskiej, synu, aż horror o tym myśleć. Zanim zdołaliśmy tę jego herezję zdławić, zamordował prawie dwie setki ludzi, wyobrażasz to sobie? Dwustu ludzi! Straszna sprawa...

Kiedy siedzieliśmy we trzech w gabinecie prezesa telewizji publicznej - tak jakoś wyszło, że Hernandez znalazł mnie właśnie w tej części opustoszałego gmazyska - nie miałem już większej ochoty się awanturować. Jego Świątobliwość wypytywał mnie o różne fakty historyczne i co myślę, i co w ogóle się myśli w moim świecie na ten lub tamten temat, i widziałem tylko, jak coraz bardziej czerwienieje mu twarz i wyłazą żyły na skroniach. Wreszcie, kiedy referując historię ruchu feministycznego doszedłem do rozłamu Women's Lib na kongresie w Los Angeles w 1982 na tle stosunku do lesbijskiego sadomasochizmu, przesunięty w kolorach zakonnik machnął niechętnie ręką i mruknął coś w rodzaju: „Dość już tej ohydy”.

Popatrzył smętnie na mnie, na swoich współbraci, i orzekł:

- Pan Bóg wie, co robi - oznajmił. - Ten paskudny świat zawiesił się w samą porę. Cokolwiek tam będą mówić bracia franciszkanie, najwyższy czas zakończyć ten eksperyment...

- Zaraz, zaraz, jak to zakończyć? A ja?

- Ty? Ależ ty, synu, tak jak oni wszyscy, jesteś tylko symulantem. Programem, symulującym prawdziwą osobowość...

- Zaraz, zaraz! - zezłościłem się. - A Wasza Świątobliwość skąd ma pewność, że nie jest tylko

programem? Przecież mam wolną wolę, brat programista sam przed chwilą to potwierdził.

- Ależ synu - uśmiechnął się jak do niemądrego dziecka

- prawdziwy człowiek posiada nieśmiertelną duszę...

- Niech mi Wasza Świątobliwość pokaże swoją nieśmiertelną duszę, to ja pokażę swoją! - Nie znalazł na to odpowiedzi, więc starałem się iść za ciosem: - Wcale się nie prosiłiśmy, żebyście zaczynali ten cały nieszczęsny eksperyment. Ale jak go zaczęliście, to nie możecie teraz, ot tak, wyjąć wtyczki z kontaktu, to przecież jakbyście zamordowali cztery miliardy ludzi. Czy nawet pięć!

- Ależ ci ludzie i tak zniknęli, i to wskutek twoich działań. To był wypadek losowy.

- Żeby być ścisłym, to nie całkiem tak - odezwał się brat programista. - Oni wszyscy są, tylko po prostu chwilowo nie funkcjonują. Wystarczy tylko dokonać pewnych poprawek, usunąć ten ich program, który spowodował całe zamieszanie, i zresetować system. Nikt z symulantów nie zauważy. Prawdę mówiąc, już kiedyś musieliśmy...

- I po co? - przerwał mu Jego Świątobliwość. - Chyba dowiedzieliśmy się już wystarczająco wiele. Komu potrzebna jest wiedza, do czego jeszcze może dojść ten chory, zaburzony w rozwoju świat? Dokąd ona zaprowadzi?

- No, już kto jak kto - wtrąciłem się - ale wy powinniście mieć trochę zaufania do Bożej Opatrzności!

Brat Hernandez uciszył mnie, trącając pod żebro.

- Pośrednia kreacja - powiedział. - Przypomnijcie sobie, drodzy bracia, tego teologa z Lozanny, co twierdził, że Pan Bóg może używać swym stworzeniom mocy tworzenia...

- Co brat mówi! To przecież był tylko model...

Miałem straszną ochotę do tej dyskusji wtrącić coś jeszcze, ale inkwizytorzy, napotkawszy tak ciekawy teologiczny problem, stracili zainteresowanie moją osobą. Może niepotrzebnie próbowałem je odzyskać; Jego Świątobliwość nawet nie spojrzał w moją stronę, skinął tylko dyskretnie na brata programistę, i to było na tyle.

Tym razem nic nie gwizdało, nie huczało, nie ślurgotało i w ogóle. Było tylko to nieprzyjemne uczucie, kiedy wszystko znikало, i zaraz potem okazało się, że siedzę w gabinecie szefowej, a ona pełnym słodczy glosem wyjaśnia mi, iż „Śmietanka” potrzebuje prezentera młodszego, bardziej dynamicznego i, niech pan się nie gniewa, panie Rafale, ale w końcu jest pan pracownikiem ekranowym, szczuplejszego. Po tym wszystkim, co się ostatnio zdarzyło - to znaczy, nie zdarzyło się, bo, jak tłumaczę, wszystko wyresetowali - zgodziłem się z nią w całej rozciągłości. Szefowa podobno była potem zachwycona: jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś,

kogo wywalala z pracy, przyjął to z tak stoickim spokojem i pogodą ducha. Co zresztą nie przeszkodziło jej zaraz po wymianie pożegnalnych uprzejmości zadzwonić na wartownię i unieważnić mi wejściówki, tak że nie mogłem nawet zabrać własnych rzeczy z biurka.

Nawiasem mówiąc, argumentacja szefowej pozostała ta sama, co przed resetem, a facet, który w końcu przyszedł do programu, okazał się starszy ode mnie, grubszy i jeszcze bardziej zaspany. W całej koronkowej robocie, jaką musieli wykonać konfratrzy brata programisty, jest to jedna z niewielu luk, jakie udało mi się znaleźć. Poza tym, ot, paru ludzi zniknęło, jakby nigdy nie istnieli, zmieniło się parę nazw, a o henkitekach i wszystkim, co doprowadziło do ich powstania, nikt nigdy "nie słyszał. Jednym słowem, reset przebiegł z chirurgiczną precyzją, że sam nie wymyśliłbym lepiej.

No, gdyby mnie pytali, to może sugerowałbym nieśmiało, że mogliby przy okazji wyresetować parę telewizyjnych biurów. Bo naturalnie, parę miesięcy po całej sprawie, dostałem poleconym wyrok w imieniu Rzeczypospolitej, skazujący mnie zaocznie na grzywnę i koszty sądowe za kradzież służbowego garnituru.

Chociaż w tej sprawie pewnie i tak by mi nie poszli na rękę. Stanowczość, jaką okazały panie z telewizyjnego magazynu, musiała radować duszę każdego prawdziwego inkwizytora.

Rafał A. Ziemkiewicz

MAŁE DZIEWCZYNNKI SMAKUJĄ NAJLEPIEJ

Chłopiec przysiadł na murku. Pięścią podparł brodę, po czym zamarł w bezruchu. Na tle czarnych ścian kanałów wyglądał niczym namalowany. Być może jakaś jego część została stworzona bez udziału Matki Natury, ale mimo to on czuł, że jest prawdziwy. Natomiast wszystko wokół, to co znał na wskroś, wydawało mu się dziwnie sztuczne. Jakaś nienazwana siła, drzemiąca w jego umyśle, podpowiadała mu, że to wszystko powinno wyglądać zgoła odmiennie.

Patrząc na wodospad ścieków, spływający z wyższej kondygnacji kanałów, chłopiec odnosił wrażenie, że nie powinien on mieć brązowego koloru. Dziwił go wszechobecny smród, brązowa maź okrywająca ściany, wieczna ciemność... Ale innego świata nie znał, a te odczucia były instynktowne - nie mógł ich racjonalnie wyjaśnić. Trwał w bezruchu z nadzieją, że w którejś chwili z siłą wodospadu spadnie na niego oświecenie.

Miał może z dziesięć lat, ale rysy twarzy zdradzały jego wewnętrzną dojrzałość. Dawno temu nauczył się obserwować i wyciągać wnioski. Pozwoliło mu to poznać wędrowników karaluchów, kryjówek szczurów oraz czas wizyt Profesora. Zyskał w tym bezlitosnym świecie przewagę, dzięki której mógł przetrwać.

Z pomocnego korytarza wydobyła się, niesiona silnym przeciągiem, charakterystyczna woń. Metaliczny stukot jak werble rozbrzmiał gdzieś na zachodzie. Stopniowo opadał poziom ścieków, odsłaniając wąskie chodniczki znajdujące się po bokach tunelu. Wodospad, jeszcze przed chwilą szeroki, był już teraz tylko strużką śmierdzącej wody.

- Oho!, chyba mamy wizytę - rzekł Kłykieć do siebie. Wpełznął w czarną otchłań rury kanalizacyjnej i przepadł w niej, pozwalając powrócić gryzoniom do ucztowania.

O porze obiadowej oznał się melodyjny brzmienie gongu. Trzy drugie, nakryte piękną porcelaną stoły znajdowały się w białej, niemal rażącej czystości sali. W powietrzu czuć było zapach wykwintnych potraw. Chwilę po wybrzmieniu dźwięku pancerne drzwi otworzono. Do jadalni wbiegła gromadka rozbawionych dzieci. Wszystkie zajęły swoje miejsca i dziarsko ścisnęły w dłoniach srebrne sztucce. Ostatnia weszła mała dziewczynka. Tuląc do siebie wytartego misia, niechętnie przekroczyła próg.

Usiadłszy na krześle, spuściła głowę. Trzej przystrojeni w kolorowe maski kucharze nakładali obiad, w rytm kreskówkowych piosenek tańcząc wokół stołów. Rozbawione dzieci śmiały się szeroko. Tylko dziewczynka była smutna.

Wybiegając z sali, przebierańcy zdążyli krzyknąć: - Smacznego! - i wszystkie maluchy rzuciły się na apetyczne jedzenie.

Dziewczynka nie jadła. Z naburmuszoną miną spoglądała w sufit. Palcami bębniła o blat stołu, próbując sobie wmówić, że aromat francuskich naleśników jest w rzeczywistości smrodem.

Jak gdyby w odpowiedzi na jej zły humor, w drzwiach stanął Profesor. Jego rozczochrane włosy wylały się we wszystkich kierunkach, częściowo przesłaniając jajowatą twarz. Wielkie cylindryczne okulary, na stałe chyba przytwierdzone do garbatego nosa, powiększały jego oczy do kolosalnych rozmiarów. Oparty ramieniem o framugę, charakterystycznym gestem zawiązał na palec długi wąs.

Zapewne to właśnie jego wygląd, który w ciemnym zaułku mógłby przyprawić dorosłego człowieka o zawal, budził w tych brzdącach zaufanie. Na pierwszy rzut oka Profesor przypominał bowiem bohaterów ich ulubionych kreskówek. Czasem, po przyjściu, atmosferę pełną napięcia i oczekiwania przerywał stając na głowie i robiąc zeza (albo coś jeszcze bardziej niedorzecznego). Tak było i tym razem, więc w jadalni wybuchła niepohamowana radość. Tylko mała dziewczynka się nie śmiała. Profesor spostrzegł to od razu.

- Co się stało, Kokardko? - zapytał czule.

By bez kłopotu odróżniać dzieci, każdemu nadawał imię zgodne z jego nieodłącznym atrybutem. Kokardka z powodzeniem mogłaby się nazywać „Misia”, ale akurat ten przydomek zarezerwował dla kogoś innego.

Dziewczynka wydeła policzki i odwróciła głowę.

- No, bądź grzeczna i powiedz - poprosił, delikatnie pociągając za wielką czerwoną wstążkę, wiążącą kasztanowe włosy.

- Nie! - odburknęła, krzyżując ręce na piersi. Profesor nigdy nie radził sobie z kobietami. W ogóle nie

radził sobie z dorosłymi ludźmi, a z kobietami w szczególności. Co prawda Kokardka miała zaledwie kilka lat, ale na pewno była kobietą. Bardzo młodą, ale już wykazującą cechy charakterystyczne dla jej płci. I gdy zdał sobie z tego sprawę, od razu doszedł do wniosku, iż jakakolwiek ugoda jest w tej chwili bardzo, ale to bardzo wątpliwa.

- No, dobrze, ale zjedz chociaż obiad. Nie chciałbym, byś kładła się do łóżka głodna. - Umilkł, na darmo oczekując jakiegokolwiek reakcji. - Zaraz sobie pójde, a ty spróbuj chociaż troszeczkę. Bardzo się starałem, żeby wam smakowało - rzekł, by następnie wycofać się na z góry ustaloną pozycję.

Jeszcze przez chwilę Kokardka trwała w pozie rozkapryszonego dziecka, po czym z wyraźną niechęcią chwyciła w dłoń widelec. Profesor uśmiechnął się do monitora, przekazującego obraz z kamery. Uśmiechnął się jak ojciec.

W sobie tylko znany sposób Kłykieć przepelznął przez system ciasnych rur, dzięki czemu w oszalałym krótkim czasie znalazł się u wejścia do rozległej sali. Prócz gęstego powietrza i kilku karaluchów, nie zastał tam nikogo. Ze swoich legowisk wyniosły się nawet szczury, ale chłopiec wiedział, dokąd podążyły. Już miał ruszyć w pościg, lecz raptem przypomniał sobie żart, który wymyślił niegdyś w chwili całkowitego znudzenia. Tajemniczo uśmiechnął się do siebie, po czym z powrotem wpelznął w czarną otchłań dziury.

W wąskim tunelu brzmiało echo kroków. To Profesor krzywym nogami rozcinał grubą warstwę szlamu. Charcząc i pomrukując, nerwowo rozglądał się na boki, jak gdyby spodziewał się ataku ze strony ociekających brudem ścian. Kłykieć zauważył to podczas ostatnich „odwiedzin” i choć przed Profesorem udawał poważnego, to ledwo co powstrzymywał się od śmiechu, widząc ten karykaturalny marsz.

Skulony w wąskim tunelu nabrał w garść odrobinę gęstej mazi i gdy tylko biały kitel, zwieńczony potężną szopą włosów, znalazł się tuż pod nim - rzucił.

- Na Boga, cóż za przekłete szczurzyśka! - warknął Profesor, odskakując instynktownie na bok.

Wspiął się na palce i zajrzał w rure. Gdyby nie całkowita ciemność, zapewne dostrzegłby czerwoną z wesołości (i braku tlenu) twarz chłopca. Włożył głowę głębiej, świdrując wzrokiem czarną otchłań, tak że niemal zetknęli się nosami. Kłykiowi zaczynało brakować powietrza. Gwałtownie oderwał dłoń od ust, wydając z siebie głośnie parsknięcie. Przerażony Profesor odskoczył do tyłu. Potknął się o zdezelowaną oponę, w ostatniej chwili złapał za zwisający łańcuch, który jednak nie wytrzymał ciężaru i wraz z nim runął do błota. Wstał, klnąc na czym świat stoi. Jeszcze przed chwilą rażący bielą fartuch wyglądał teraz jak płaszcz uszyty ze skóry dalmatyńczyka. Kłykieć, który zdążył uciec z miejsca zdarzenia, wył ze śmiechu.

Gdy niedługo potem Profesor wkroczył do Sennej Sali, chłopiec zmienił się nie do poznania. Najmniejsze oznaki wesołości przepadły, za to na jego twarzy zagościł grymas bólu. Rękami obejmował brzuch. Kołysał się w rytm jedynej znanej sobie piosenki, którą nucił pod nosem, „Wlaź kotek na płotek”... W rozległej sali, gęsto usianej posłaniami, dziesiątki dzieci bujały się jednakowym rytmem. Na widok Profesora rozpromieniły się. Starły z twarzą słone strumyki i podbiegły do wybawiciela.

- Kochani! - krzyknął euforycznie Profesor, tuląc i obcałowując każde z osobna. - Kochani...

Dłuższą chwilę trwały radosne powitania, ale wkrótce nieznośna choroba przypomniała dzieciom o sobie. Z podręcznej torby Profesor wyciągnął słoiczek wypełniony opalizującym płynem. Gdy nabierał dawkę do strzykawki, jego twarz mieniła się różnobarwnymi odbłaskami. Kto tylko nadstawił nadgarstek do zastrzyku, zaraz odchodził z błogim uśmiechem. Po wykonaniu pozostałych rutynowych badań, zamyślonym krokiem Profesor ruszył w kierunku Sali Narad.

Stanąwszy na podium westchnął, zaburczał pod nosem, chrząknął, kaszlnął i po pełnej napięcia ciszy przemówił:

- Moi mili, doskonale wiecie, jak objawia się choroba. Doskonale wiecie, że niełatwo ją całkowicie wyleczyć, ale też wiecie, że po każdej wizycie co najmniej jedno z was opuszcza ten przeklęty loch. Tym razem nie będzie inaczej. Jedno z was zdaje się być niemal w pełni zdrowe, a tym kimś jest... - spauzował.

Czuł, jak krople potu spływają mu po twarzy. Zerknął na boki, bacznie obserwując ściany. Im dłużej mówił, tym, zdawało się, niżej opadała jego głowa. Garb narastał, przypominając mu, jak bardzo nienawidzi tego miejsca. Za każdym razem, gdy przestępował progi kanałów, ogarniał go niepokój, a nieraz i paniczny strach.

- Tym kimś jest... - chrząknął - Kły... - zadławił się i kaszlnął niczym astmatyk, wypluwający wraz z krwią swoje życie.

W Sali Narad rozbrzmiały podniecone głosiki. Dwie pochodnie, zawieszone na bocznych ścianach, wypalały się i dawały coraz mniej światła, kąpiąc w swym czerwonym blasku pełne nadziei twarze. Tymczasem Profesor miał coraz większe trudności z mówieniem. Co rusz rozpoczynał jakieś zdanie, ale po jednej głosce kończył je niemożliwym do opanowania kaszlem. Próbuąc umknąć wszędobylskiemu wzrokowi ścian, chował się za podestem. One patrzyły na niego, patrzyły wprost na niego!, krzyczały w myślach, obsesyjnie ściskając zimny kamień podium. Czuł się jak szalenciec, uzależniony od własnej klaustrofobii, jak buldog, chroniący się przed kwaśnym deszczem w budzie jamnika.

- To Kły... - kaszlnął. - To Chłystek - wysapał, i nim imię wybrańca dotarło do uszu wyczekujących dzieci, złapał chłopca za ramię i przy akompaniamencie głośnych plusków umknął porażającemu spojrzeniu ociekających brudem ścian.

Zamyślona Kokardka leżała w atlasowej pościeli. W dłoniach obracała wytartego misia. Pluszaki o najprzeróżniejszych kształtach, w najprzeróżniejszych kolorach, uśmiechały się do niej z regału. Kusiły, wyciągając mięciutkie łapki. Dziewczynka nie dotknęła żadnego z nich, od kiedy znalazła się w tym miejscu.

Miała swojego misia - burego z klapniętym uszkiem, bez jednej łapki, z guzikowymi oczkami. W jakiś magiczny sposób zabawka próbowała jej o czymś przypomnieć. O czym? Tego dziewczynka jak do tej pory nie odkryła.

Pod opieką Profesora mogła mieć dosłownie wszystko. Mogła urealnić niemalże każdą zachciankę. Do niedawna, tak jak inne dzieci, cieszyła się beztróskim życiem. Ale w pewnym bliżej nieokreślonym momencie ze zdziwieniem zauważyła, że coraz częściej leży wpatrzona w sufit, próbując rozplatać supeł osobliwych myśli. Podświadomie czuła, że codzienność może być tylko imaginacją. Jak gdyby świat, w którym przyszło jej żyć, istniał wyłącznie we śnie. Dziwił ją wszechobecny zapach kwiatów, idealny porządek i rażące bielą ściany...

Z zamyślenia wyrwał ją cichy szum rozsuwanych drzwi. Korytarz był pusty. Zimny przeciąg w towarzystwie tajemniczego szeptu wdarł się do pokoiku, tak jak gdyby próg przekroczyła niewidzialna postać. Czując dreszcz niepokoju przebiegający po karku, zamarła. Paznokcie chudej ręki błysnęły na framudze. Kokardka odetchnęła. Uśmiechnięty Profesor wszedł i przyklęknął tuż przy łóżku.

- Jak się czuje moja ulubiona pociecha?

- Dobrze - odpowiedziała młotownie.

- Na pewno? Jakoś źle wyglądasz. Zjadłaś wszystko, jak prosiłem? - zapytał, chociaż doskonale znał odpowiedź.

- Tak.

Nic nie mogło umknąć jego oczom, bo w tym świecie to on był ścianami. Tutaj nic się nie działo bez jego" wiedzy, każdy pierwiastek miał pod kontrolą. Tylko że nawet to nie pozwalało mu wejrzeć w głąb psychiki Kokardki, nie mógł odczytać jej myśli. Na ekranie monitora migotała jedynie wiecznie smutna twarzyczka o zamyślnym spojrzeniu. Niepokoiło go to, więc postanowił poświęcić jej więcej uwagi. Tyle że każde podejście utwierdzało go w przekonaniu, iż nie radzi sobie z kobietami. Tak naprawdę więcej w niej było dorosłości niż kobiecości.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Niedługo będziemy mieli nowego gościa, małego chłopca. Z początku będzie mu trudno przyzwyczaić się do tego miejsca, dlatego chciałbym, byś się nim zaopiekowała. Co ty na to? - uśmiechnął się w myślach, będąc pewnym triumfu.

Miał rację. Bez wątpienia był dobrym strategiem. Zresztą, kto by nie był, znając na wylot pole walki?

- Tak?! - wykrzyknęła podniecona Kokardka. - To, to... To po prostu wspaniale! - rzuciła mu się na szyję, a on uśmiechnął się.

Uśmiechnął się tak, jak tylko ojciec potrafi.

Kłykcia ogarnęła rozpacz. Istniało w kanałach takie miejsce, które nazywał Kącikiem Rozpaczy. Odnalazł je niegdyś całkiem przypadkiem, a nazwał ze względu

na to, iż tworzące je ściany rzeczywiście płakały. Nie wodospadami, jak wiele innych ścian; one zawodziły prawdziwie. To był dobry moment, aby się tam znaleźć.

Gdy oczekiwał werdyktu Profesora, gdy nie pozostawiające cienia wątpliwości „Kły...” wyrwało się z jego gardła, wpadł w prawdziwą euforię. Spodziewał się, ba! - był stuprocentowo pewien, że to on, tylko on, opuści ten śmierdzący kanał i pozna świat na zewnątrz. Tak często o tym marzył... A potem, w ułamku sekundy, jak uderzenie w głowę, spadło na niego rozczarowanie. Początkowo nie potrafił uwierzyć, ale nim zdążył zaprotestować, Chłystek był już daleko, coraz bliżej szczęścia.

Oparł się o wilgotną ścianę. Jedyne odgłos skapujących kropelek szlamu zakłócał idealną ciszę. Spodziewał się wybuchu rozpaczliwa łada chwila. Tak naprawdę miał w głowie swoisty zegarek - wszystko w lochach działo się o określonej porze, a on już wpasował się w ten rytm, dzielił z nim swój los. Gdyby nagle coś poszło nie tak, a konkretne zdarzenia przebiegły w innej niż zazwyczaj kolejności, cały jego świat, cała filozofia - zawaliłyby się.

Ciche łkanie rozbrzmiało za ścianą. Z każdą sekundą nasilało się i po chwili stanęło w szranki z gniewnym głosem. I nagle wszystko umilkło. Karaluch wymaszerował pomiędzy stóp Kłykcia. Znał tego karalucha. Pochodził zza Ściany Rozpaczy i codziennie o tej samej porze wymaszerowywał ze swojej małej norki. Chłopiec żałował, że nie może zapytać go, co znajduje się po jej drugiej stronie.

Zwiesił ręce. Zacerpnął wielki haust powietrza, lecz oddech utknął mu w gardle. Odskokczył jak oparzony - coś pod jego łokciem drgnęło. Spojrzał na ścianę i momentalnie spostrzegł, że jedna z cegieł wsunęła się głębiej. Bez zastanowienia popchnął ją. Ta poddała się lekko i spadła po przeciwnej stronie. Całkiem przypadkiem otworzył sobie okno na nowy świat.

Z bijącym sercem zajrzał do utworzonego otworu. Zobaczył ogólny zarys korytarza, tonącego w mroku. Był on długi i wąski, dalej ginął w egipskich ciemnościach. Po lewej widniały drzwi, pomiędzy szczelin wypływało światło. Niepewnie popchnął inną cegłę. Jeszcze łatwiej dała się poruszyć, ale nie spadła i nie poszerzyła otworu. Brakło mu odwagi.

Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że perspektywa poznania nowego świata może być jeszcze bardziej przerażająca, niż samo przebywanie w kanałach. Nim zdążyłby mrugnąć, całe jego wieloletnie doświadczenie przestałoby się liczyć. Miałoby dokładnie takie samo znaczenie, jak kropla szlamu, która wpada do potoku i kończy swój żywot. A skoro wszystko w tym przeklętym miejscu wydawało mu się złudzeniem, to może i chęć odzyskania wolności była pozorna? Co innego uciec z Profesorem, prawdziwym przyjacielem.

Kłykcia nurtowała jeszcze jedna myśl. Wiedział, że nosi w sobie nieuleczalną chorobę. Spluwając do studni, skazałby na zagładę całe miasto. Nie był mordercą, co najwyżej drapieżnikiem - zabijał, aby

przetrwąć. To Profesor wiedział, co jest dla niego najlepsze. Muszę po prostu cierpliwie czekać, pomyślał, odrzucając możliwość samowolnej ucieczki.

Tymczasem musiał radzić sobie z o wiele bardziej przyziemnymi kwestiami. Zaskoczony szczur nie zdążył umknąć jego zręcznym dłońmi. Zębami przetrącił mu kark i wgrzyzł się w pulsujące ciało.

Sensacyjna wiadomość w jednej chwili wypędziła z Kokardki cały smutek. Zastąpiła go dziecięca ciekawość, wzmagana przez beczynne oczekiwanie. Kokardka długo przebywała w domu Profesora, a jednak nie pamiętała, by kiedykolwiek przyjmowano do niego nowych „pensjonariuszy”. Nie przywiązywała wagi do twarzy, więc jeśli nie działo się to w czasie hucznego przyjęcia, mogła je po prostu przeoczyć. Tak - ci rówieśnicy z pewnością byli jej obcy.

Tym razem miało być inaczej. Tym razem miała otrzymać kogoś „na własność”. Kogoś, kim by się opiekowała, komu by pomagała, kogo by przytulała... Coś jak „żywego misia”. Tylko o wiele bardziej ważnego.

Nerwowo maszerowała z kąta w kąt, często zerkając na korytarz. Przecucie mówiło jej, że już niedługo wszystko się wyjaśni. Gdy późnym wieczorem niemal straciła nadzieję, w progu stanął uśmiechnięty Profesor. Na rękach trzymał białe zawiniątko. Bez słowa położył je na łóżku. Bawełniana kołderka zsunęła się i odsłoniła twarz. To nie był niemowlak, ale bardzo małe, może roczne dziecko.

- Nazywa się Krzyś. Jest jeszcze...

Kokardka uklękła przy łóżku. Nie słuchała Profesora. Nawet nie zauważyła, kiedy opuścił pokój. Maluch spał spokojnie, oddychał miarowo, ale jego powieki drżały. Śnił. Dziewczynka zaprażyła poznać jego sen, więc chwyciła za miniaturową rączkę. Zamknęła oczy, lecz nie zobaczyła nic, prócz ciemności. Zawiodła się. Nie wiedziała, że właśnie została jej przekazana ogromna moc.

Krzyś obudził się. Nieśmiało podniósł powieki, oślepiiony blaskiem żarówki. Przez chwilę obracał oczkami, by w końcu zatrzymać wzrok na twarzy Kokardki. Otworzył usteczka, jakby chciał coś powiedzieć.

- Śpij... - szepnęła dziewczynka, ale on nie dawał za wygraną.

- Ma... ma - wyjąkał wreszcie z trudem. Kokardka uśmiechnęła się jak matka.

Zapach środków dezynfekcyjnych wypełniał pomieszczenie. W błękitnym blasku lampy lśnił metalowy stół i wielkie szafy. Lodówka wydawała z siebie charakterystyczne, ledwo dosłyszalne buczenie. Wrażenie chłodu potęgowały zielone kafle na ścianach i podłodze. Metaliczny chrzęst zamka, powielony echem,

rozsadził ciszę. Wszedł Profesor, a zaraz za nim nieco niższy, młody chłopak o ostrych rysach twarzy.

Obydwaj założyli gumowe rękawiczki. Z podłużnej lodówki wyjęli zsiniałe ciało i ostrożnie umieścili je na stole. Energicznym ruchem Profesor zdarł ze stolika płachtę. W zimnym świetle metaliczne przyrządy zabłyszczały niczym narzędzia tortur. Sztynną skórę delikatnie połechtano ostrze skalpela, by po chwili bez pardonowo wdrzeć się w głąb ciała.

- To naprawdę przedziwne, mój przyjacielu - przemówił Profesor, nie zwracając uwagi na wzbudzone dreszcze chrupotanie. - Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak szybko one potrafią przystosować się do środowiska. Mimo iż całe dzieciństwo spędzają w dostatku, nie doznając krzywd ani zmartwień, w mgnieniu oka uczą się nowych zachowań, nowego trybu życia... Dziecięcy potencjał jest doprawdy zadziwiający! - wykrzyknął, wbijając kleszcze w klatkę piersiową.

Zdecydowanym ruchem wyłamał kości. Maseczki operacyjne w niewielkim stopniu niwelowały niesamowity smród, który wydobył się z wnętrza ciała. Z organów Profesor pobierał próbki i umieszczał je w pojemnikach wypełnionych for-maliną.

- Ten nowy środek, powodujący czasowe bóle brzucha, działa wyśmienicie. Teraz bez kłopotu mogę utrzymać ich w ryzach. No i nareszcie mam wytłumaczenie, dlaczego trzymam ich w tych lochach. Na wszelki wypadek, gdyby ocalałe szczątki wspomnień wydostały się na zewnątrz. Nawet nie masz pojęcia, jakiego bałaganu narobili ostatnim razem! Prawie cały eksperyment musiałem powtarzać! Zresztą - uśmiechnął się pod nosem - ty powinienes coś o tym wiedzieć. A teraz? Nie buntują się, bo widzą we mnie „wybawcę”? O ironio!

Zakrył pokiereszowane zwłoki płachtą. Milczący towarzysz pomógł umieścić je na powrót w chłodziarce. Strumień ciepłej wody popłynął z kranu. Nie zaschnięta krew łatwo dała się zmyć.

- Wiesz, czasem mam wyrzuty sumienia. Gdy trzeba zesłać kogoś, kogo darzę sympatią. No, nie patrz tak na mnie! Ja też mam uczucia. Kiedyś chyba się nawet zakochałem... Ale po co ja ci to wszystko mówię? Pewnie masz już dość mojego głędzenia? Ech, w zasadzie nie dziwię ci się... - westchnął i wytarł ręce.

Metaliczny chrzęst zamka sprawił, że w pomieszczeniu znów zaległa niepokojąca cisza. Tylko lodówka buczała w charakterystyczny sposób.

Przez całą noc Kokardka czuwała, choć Krzyś spał mocno. Dopiero nad ranem zmrużyła powieki. Wspomnienie, dotychczas ukryte głęboko w podświadomości, wydostało się na zewnątrz. Spowodowało to pojawienie się chłopczyka, który, o czym nie mogła widzieć, miał odegrać o wiele istotniejszą rolę.

Śniła o innym świecie, wielkim, niemalże nieograniczonym, kolorowym i pachnącym. Pełno było w nim krzyków, śmiechu... Śniła o świecie, w którym nie było sufitów, a zamiast nich niebieska przestrzeń, upstrzona śnieżnobiałymi plamami. Śniła o świecie, gdzie kwiaty były wielkie, gdzie ludzie byli mali i duzi, a zapach był miły i przykry. Nie było tam Profesora, stalowych drzwi i białych ścian. Jedna tylko rzecz łączyła świat ze snu ze światem Profesora - buri miś.

Dwie roześmiane twarze nachyliły się nad nią. Potem znikły, białe plamy przestały płynąć, pojawił się za to on - Profesor. O dziwo, nie uśmiechał się, był raczej przestraszony, zaaferowany. Chwycił za łapkę misia. Pociągnął, a ona oderwała się. Kokardka zaczęła płakać. Objął rozdygotane ciało dziewczynki i zaczął uciekać, jak gdyby popełnił jakąś straszną zbrodnię. A przecież chciał tylko pomóc - przecież był nieskończenie dobry. Trzasnęły stalowe drzwi, pojawił się sufit, biel, zapach kwiatów. Światło zgasło, oczy zalała smolista czerń.

Zbudziła się, zlane zimnym potem. Krzys głośno łkał. Kołysała go na rękach, śpiewała jedyną znaną piosenkę. Niespodziewanie zrozumiała, że dzieliła z nim swój sen. Nie potrafiła tylko zrozumieć, dlaczego płakał.

Kłykieć także śnił tej nocy. Obluzowana cegła odblokowała wcześniej niedostępny rejon pamięci. Śnił o innym świecie, w którym nie było szczurów, a dzieci się śmiały. Śnił o świecie, w którym ściany nie były czarne, ale białe, w którym ciemność trwała tylko wtedy, gdy spał, a brzuch nigdy nie bolał. Śnił o świecie, w którym zapewne znalazł się Chłystek, o świecie, którego pragnął.

Profesor także śnił tej nocy.

Krzys z dnia na dzień stawał się pogodniejszy, Kokardka szczęśliwsza, a Profesor bardziej zadowolony. Maluch stawał na nogach niezgrabnie, próbował wymówić pierwsze słowa, często się śmiał, a w nocy spał spokojnie. Kokardka czerpała z tego wiele radości, w przeciągu kilku chwil jej życie zyskało nowy wymiar. Nareszcie przestała czuć się niepotrzebna. Mimo to wspomnienie niepokojącego snu nachodziło ją, gdy tylko głos Krzysia milknął.

Ów sen był jak gdyby rozwinięciem osobliwych myśli. Powoli, jeszcze nieświadomie, dojrzewała w niej zdolność oceniania. Wiedziała, że senna mara zawierała w sobie coś złego, lecz źródła tego zła nie upatrywała w Profesorze, ani w niczym innym. Sposób jej myślenia nie był już dziecięcy, chociaż wciąż niedojrzały.

Gdy swoim zwyczajem siedziała wpatrzona w sufit, zaszumiały stalowe drzwi. Jej twarz znów oplótł zimny przeciąg. Szept, wyraźniejszy niż poprzednio, składał się z konkretnych wyrazów. Nie potrafiła zrozumieć ich sensu, ale brzmiały jak nawoływanie. Po karku przebiegł jej dreszcz niepokoju, ale tym razem paznokcie chudej dłoni nie zabłysnęły na framudze.

Miał tego kolejny raz rozległo się nawoływanie. Krzys obudził się i korzystając z nieuwagi Kokardki, zszedł na podłogę. Na czworakach podszedł do progu i wystawił głowę na korytarz. Zachichotał.

Kokardka otrząsnęła się. Pochwyciła małego w ramiona, równocześnie dostrzegając sprawcę całego zamieszania. Spory szczur stał na tylnych łapkach, kręcąc długimi wąsami. Na widok dziewczynki odskoczył jak oparzony, podreptał kilka metrów w głąb korytarza, po czym znów zamarł w bezruchu. Poruszając czarnym noskiem, wyglądał dość komicznie. Prawdopodobnie to sprawiło, że Kokardka, bardziej pewna siebie, z Krzysiem na rękach, ruszyła w pościg.

Gdy tylko robiła krok, gryzoń odskakiwał. Wyrażnie droczył się z nią. Doszła do wniosku, że właśnie stała się uczestnikiem kolejnej gry, wymyślonej przez Profesora. Rozbawiło ją to. Za to w czarnych oczkach szczura nagle załśniła niepewność. W wąskim wysokim korytarzu na dziesiątą część sekundy zgasły światła, a po chwili rozbrzmiał w oddali stukot chodaków.

Intruz rzucił się do panicznej ucieczki. Skręcił za róg, na moment znikając Kokardce z oczu. Zanim dobiegła do zakrętu, rozległ się pełen bólu i przerażenia pisk, tak makabryczny, że aż się wzdygnęła. W ramionach kurczowo ścisnęła Krzysia. Nie słyszała, jak szlocha. Wybiegła zza narożnika, lecz jeszcze szybciej odskoczyła do tyłu, kryjąc się za ścianą. Jej gardłem szarpał krótki oddech, z trudem przełykała ślinę. Przytknęła dłoń do piersi, wewnątrz której jak oszalałe waliło serce. Druga przerażająca myśl owładnęła jej umysłem. Miała puste ręce.

Cichy łomot odbijał się echem od stalowych ścian tunelu wentylacyjnego. Kratka, blokująca dostęp do jego wnętrza, leżała na podłodze. Teraz już nie wiedziała co gorsze. Zniknięcie Krzysia, czy widok rozwścieczonego Profesora, rozdeptującego czaszkę całkiem miłego gryzonia. Czarna posoka na tle śnieżnobiałej podłogi przypawiła ją o mdłości. Z trudem powstrzymywała odruchy wymiotne. Nie wiedziała co gorsze, ale przynajmniej w jednej sprawie mogła coś poradzić.

Kilka kropel szlamu skapnęło na rozczochrane włosy Kłykcia. W kanałach było to całkiem naturalne, więc nawet nie spojrzał do góry. Chrobotanie też było naturalne, toteż zostało przez niego zignorowane. Niczym nadzwyczajnym nie cechowała się ciurkiem spływająca po ścianach śmierdząca woda. Zirytowany całym szeregiem naturalnych, aczkolwiek denerwujących incydentów, chłopiec wstał i zamierzał oddalić się w inne miejsce. Nagle jednak jego uwagę przyciągnęło coś nie do końca zwyczajnego. Dziecięcy lament często wypełniał tunele kanałów, w których populacja dzieci nie ustępowała szczurzej, ale ten płacz był inny.

To, co po chwili wypęzło z rury, zaskoczyło go jak nigdy dotąd: malutkie dziecko umorusane błotem i kurzem. Z zaczerwienionych oczek sączyły się łzy. Kłykieć stał w kącie, próbując znaleźć oparcie na oślizgłych ścianach. Bezskutecznie. Upadł. Dyszał z przerażenia. Oto urealniał się jego sen.

- Ta... ta? - z trudem wyjąkał maluch.

Radość, która niespodziewanie pojawiła się na twarzy dziecka, nie pasowała do brudnych ścian, smrodu, miny Kłykcia, ani w ogóle do tego miejsca.

Chłopiec stopniowo trzeźwiał. Wciąż był przestraszony, więc nader ostrożnie ruszył w kierunku roześmianego brzdąca. Podkrażał się do niego niczym kot. Wyciągnął drżące dłonie, ale zawahał się. W końcu przezwyciężył niepewność, zamknął oczy i jednym ruchem pochwycił malucha w ramiona. W tej samej chwili cały niepokój uleciał.

Nigdy wcześniej nie widział tak małego dziecka. Tylko we śnie. W koszmarze, co prawdopodobnie stanowiło przyczynę przerażenia. Gdy jednak poczuł ciepło, bijące od malutkiego ciała, słabe bicie serca, gdy zobaczył szczery uśmiech - wtedy zdał sobie sprawę, jak złudne bywają senne mary. Spojrzał jeszcze raz do wnętrza rury. Miał dziwne wrażenie, że to jeszcze nie koniec niespodzianek. Usiadł i mimo całego szeregu naturalnych, aczkolwiek denerwujących incydentów, postanowił zaczekać.

Profesor po raz drugi miał ten sam koszmar. Śnił o świecie, w którym nie było eksperymentów. Dzieci uwolniły się i wśród radosnych okrzyków wybiegły na ulice. Laboratorium zarosło pajęczynami, a zapomniane zwłoki zgniły w nie działającej lodówce. Nawet hordy szczurów wydostały się ze śmierdzącego lochu. Pozostał tylko wszechobecny odór i dźwięk skapujących kropel. A w samym środku on - siedzący na wilgotnym murku, z brodą podpartą na pięści.

Zerwał się, zlany zimnym potem. Wypił duszkiem szklankę zimnego mleka, co pozwoliło mu w pewnym stopniu oprzytomnieć. Usiadł przy biurku, zapalił lampkę. Otworzył notes i zaczął wpisywać imiona. „Do zesłania” - widniało w nagłówku. Los czworga dzieci został przesądzony. Gdy wpisał pierwsze trzy litery imienia piątej, ręka mu zadrżała. Przypomniawszy sobie o czymś, o czym wolałby nie pamiętać. Westchnąwszy, zamknął notes, pozostawiając kleksa tuż obok liter: KOK.

Stali naprzeciw siebie, badając się wzrokiem. Kłykcia najbardziej zainteresowała wielka czerwona kokarda na głowie dziewczynki, barwy podobnej jak jej sukienka na szelkach. Ale sukienkę znaczyły w wielu miejscach ślady kurzu i błota. Wstążka natomiast była idealnie czysta. Nigdy nie widział tak czystego koloru, oprócz bieli fartucha Profesora. Skojarzył te fakty i

bezbłędnie wywnioskował, że ona pochodzi ze świata „na zewnątrz”.

Kokardkę najbardziej zainteresowały oczy chłopca. Były całkowicie czarne, w ogóle nie posiadały tęczywek (chyba że czarnych jak smoła). Całkiem jak oczy szczura. Połączyła te fakty i z łatwością wykoncypowała, że gryzoń pochodził z tego samego świata, co stojący przed nią chłopiec. Ze świata, w którym się właśnie znalazła.

Krzyś siedział pomiędzy nimi i taplał się w błocie.

- Jesteś ze świata, gdzie ściany są białe? - przemówił wreszcie Kłykieć.

Dziewczynka przytaknęła.

- Skąd wiesz?

- Śniłem o nim. Tam znalazł się Chłystek. Może i ja się tam kiedyś znajdę?

- Chłystek? Nie słyszałam takiego imienia. Ale tam jest dużo dzieci i nie znam ich wszystkich. Znam Krzysia - wskazała palcem na malucha. - To mój synek.

- Mój też - zawtórował chłopiec. - Czy tam jest pięknie? Na pewno. Jest miły zapach i jest czysto, i Profesor tam jest. Dlaczego tu przysłaś?

- Przysłałam za Krzysiem. Ale tam nie jest pięknie. Wszystkie pokoje są takie same, jest smutno i cicho. A Profesor... - zawahała się. - Zabił szczura.

- My tu też zabijamy szczury, to nic strasznego. Musimy przecież jeść - wytłumaczył i wzruszył ramionami. - Nic strasznego.

Kokardka spojrzała na niego z niepokojem.

- Jest jeszcze jeden świat - rzekł chłopiec po chwili milczenia. - Nie widziałem go, a tylko drzwi, zza których padało jasne światło. Były tam krzyki, bałam się zobaczyć.

Ciekawość rozbłysła w oczach dziewczynki.

- Widziałam ten świat we śnie! - wykrzyknęła. - Tam jest niebieski sufit, wielkie kwiaty i mili ludzie. Tam jest naprawdę pięknie, piękniej niż u Profesora. Jeśli świat z twojego snu istnieje, to ten z mojego też musi być prawdziwy. On tam na pewno jest, tam gdzie te krzyki! Musimy iść natychmiast!

Nie miał powodu, by jej nie wierzyć, lecz w głębi odczuwał strach. Mimo to chwycił Krzysia za rączkę i razem z Kokardką ruszyli w ciemny tunel. Kłykieć nigdy o tym nie wspominał, ale też śnił kiedyś o świecie z błękitnym sufitem i ogromnym kwiatami. Choć nie mógł tego wiedzieć, to jednak podświadomie czuł, że w tym świecie nie ma Profesora.

W ciszy patrzyli na ścianę, jak gdyby oddawali hołd miejscu kultu. Może nie sam mur, ale to, co znajdowało się zanim; w ich położeniu z pewnością zasługiwało na szacunek. Pierwszy wyciągnął dłoń Krzyś. W ruchach jego widoczne było dziwne natchnienie. Całkiem jakby wiedział, po co znalazł się w tym miejscu. Dotknął cegły, ale był za słaby, by ją przepchnąć. Kłykieć i Kokardka przemogli się. We dwoje nie potrzebowali wiele czasu, by wystarczająco poszerzyć otwór.

Druga decyzja była o wiele trudniejsza. Tak jak za pierwszym razem, w jej podjęciu pomógł niepozorny maluch. Na czworakach przeszedł przez dziurę. Odwrócił się i jęknął coś piskliwym głosem. Chłopiec i dziewczynka wzięli głęboki oddech i zamierzali przestąpić próg dzielący dwa światy, lecz w ostatnim momencie powstrzymał ich donośny krzyk.

Od brudnych ścian odbijały się echem rytmiczne pluski. Z tunelu wybiegł zdyszany Profesor. Z obawą spoglądał na boki, jego ręce drżały. Próbował przemówić, ale nie pozwalał mu na to astmatyczny kaszel. Wielką dłonią, o palcach niczym pajęczne odnóża, chwycił się za gardło. Przez moment charczał, toczył z ust pianę, ale w końcu przezwyciężył kaszel.

- Uciekajmy stąd, szybko! - wysapał.

Dzieci zbliżyły się do siebie, mocniej ścisnęły za ręce. Przerażonym wzrokiem obserwowały pajęczne ruchy Profesora. Gdy ten wyciągnął nieproporcjonalnie długie ręce w górę, odskoczyły do tyłu.

- Proszę was, tu nie jest bezpiecznie! W każdej chwili może was spotkać ogromna krzywda, nie mamy czasu! - tłumaczył bezskutecznie. - Kokardko, przecież tu jest tak... brudno, wszędzie śmierdzi, nie ma kreskówek ani pluszowych misiów. Kokardko, choć ze mną, a za chwilę znajdziesz się z powrotem w przytulnym pokoiku. Z dala od błota, szczurów i tych, tych, tych... - warknął gniewnie. - Pójdziesz ze mną, prawda?

Kokardka bez wahania pokiwała przecząco głową. Objęła w pasie Kłykcia i schowała się za jego plecami.

- Kłykcio, chociaż ty mi zaufaj! Jestem bliski wyleczenia twojej choroby, jeszcze tylko jeden zastrzyk i będziesz mógł spotkać Chłystka! Jeden zastrzyk, rozumiesz? On już czeka na ciebie, już wie, że przyjdiesz. Nie zawieź go. Nie zawieź... mnie, proszę. Przecież ja nigdy cię nie zawiodłem, nie zrobiłem krzywdy, tobie ani nikomu innemu. Wiesz o tym doskonale, prawda? No, powiedz, że tak, powiedz! Tyle razy tu przychodziłem, leczyłem twój ból...

Chłopiec bił się z myślami. Jakaś część jego podświadomości nie pozwalała mu usłuchać Profesora, inna znów rozkazywała natychmiast rzucić się w jego ramiona.

- W moim świecie też są kwiaty. A twój pokój mogę pomalować na niebiesko.

Wewnętrzny zegarek Kłykcia zatykał. Poczuł bolesne uklucie w brzuchu. Kokardka padła w kałuże błota i wybuchnęła płaczem, zalewając brązową maź deszczem diamentowych okrucieństw. Armia szczurów wybiegła z korytarza i rzuciła się w pogoń za Profesorem i Kłykciami.

Cienie na zimnych ścianach zadrżały. Wyciągnęli z lodówki zwłoki chłopca i umieścili je na stole. Metalowe narzędzia zaśniły w blasku lampy. Skrawki wątroby, trzustki, serca, kolejno lądowały w słoikach wypełnionych formaliną. Kropelki krwi ściekały ze

stołu, rozbijając się z pluskiem o posadzkę. Smród był jeszcze gorszy niż zazwyczaj. Chłystek nie wytrzymał i zwymiotował na podłogę.

Wiek lodówki opadło, zakrywając sobą przerażoną twarz Kłykcia. Tak wyglądał, gdy Profesor zarzął go nożem. Brzuch za szybko przestał boleć i chłopiec chciał uciec. Gdyby nie to, zapewne udusiłby się własnymi wymiocinami, wcześniej poczęstowany specjalną tabletką. Żadna z tych perspektyw nie była dla niego zbyt optymistyczna. Cóż, za drzwiami prowadzącymi do laboratorium to Profesor był panem sytuacji (i zazwyczaj bezwzględnie to wykorzystywał).

- Widzisz, Chłystku, gdy ci się wydaje, że już wszystko jest w należytym porządku, zawsze czeka cię niespodzianka. Zdażyłem się do tego przyzwyczaić - westchnął. - Jak tobie się udało? Nie mam pojęcia! Leczenie, kwestia przypadku... Ech, taki mój los. Nie ma czego zazdrościć. Ta cholerna maszyna do zacierania wspomnień działa coraz gorzej. A dziś muszę trzech wysłać do kanałów. Bury ma pierwsze symptomy, tak samo Czupryn i Nochal. Choroba zaczyna się uaktywniać, dłużej nie mogę ich tu pozostawić. Zbyt duże niebezpieczeństwo.

Umył ręce. Starł krew z posadzki. Na widok zwróconej zawartości żołądka Chłystka wzdrygnął się. Wydezynfekował narzędzia, słoiki umieścił na wózku.

- Najbardziej przeraża mnie myśl, że Kokardka uciekła z kanałów. Trzeba jak najszybciej zamurować tę ścianę, albo... O Boże! A gdyby tak przypadkiem trafiła do Sennych Sal i podzieliła się odkryciem z resztą tych przeklętych stworzeń? Przecież gdyby wydostały się na zewnątrz... - jego serce zabiło szybciej. - Nie, to niemożliwe! Na pewno przestraszyła się

I albo siedzi teraz skulona w kącie, albo pałęta po ulicach miasta. Gdyby ktoś ją znalazł, wszystko mogłoby się wydać... Niechże zgnije w ciemnym zaułku, tak! Tak byłoby najlepiej! - zirytowany rzucił w kąt zakrwawioną szmatę. - Przekłeta dziewczyna!

Metaliczny chrzęst zamka sprawił, że znów dał się słyszeć utulający szept lodówki.

W korytarzu zebrala się spora grupa dzieci. Na obszarze kilku metrów leżały postrzępione skrawki ubrania. Zdarta skóra, brak kończyn oraz niemal wszystkich narządów wewnętrznych uniemożliwiały identyfikację zwłok. Ciepła krew jeszcze parowała. Mleczną mgiełkę rozwiął mroźny oddech kanałów. Obok zmasakrowanej twarzy, w bordowej kałuży pływała kokardka.

Do tunelu wbiegła zgraja szczurów. Wyglądnie zwierzęta nie potrzebowały wiele czasu, by oczyścić kości z resztek mięsa. Gdy skończyły, pierzchły. W tunelu znów zaległa cisza. Gdzieś w oddali niespiesznie skapywały kropelki wody. Ostatni świeży powiew zmieszał się z gęstym, śmierdzącym powietrzem kanałów.

Maluchy rozeszły się w milczeniu. Przy zwłokach został tylko jeden chłopiec, obojętnie wpatrzony w obryzganą ścianę. Schylił się i zaczął węszyć. Nie wyczuł nic, więc rękawem łachmanów starł krew z warg i brody. Tu nie było więcej pożywienia. Szkoda, pomyślał, bo ta dziewczynka smakowała wybornie.

Gdy w końcu odszedł, a w chwilę potem jego umysł wyrwał się ze szponów demona choroby, zadał sobie pytanie. Zresztą- nie on jeden. Ta tajemnica była wspólna dla wszystkich dzieci i każde zastanawiało się, dlaczego tak często nowoprzybyli w niewyjaśniony sposób znikają.

A Krzyś - Krzyś chyba znalazł się po przeciwnej stronie tajemniczych drzwi.

Eryk Ragus

SEMPER FIDELIS

Gdy w latach osiemdziesiątych odkryto Bramę Niebios, nikt się tym, w gruncie rzeczy, nie zainteresował. Mini-czarna dziura w środku Układu Słonecznego? Hipotetyczna czarna dziura? A kogo to obchodzi, jedyny problem z nią związany, jaki mogli zobaczyć naukowcy, to, splaszając zagadnienie, czy zeżre Układ Słoneczny, czy nie. Nie zeżarła dotąd, to i nie zeżre.

Mikroskopijna czarna dziura wewnątrz Ziemi też jakoś nikogo nie podnieciła. Ot, następna hipoteza, której nie sposób właściwie do końca udowodnić.

Nam, przyzwyczajonym do swych cielesności, czarna dziura wewnątrz Ziemi nie może do niczego posłużyć, nie tak, jak mieszkańcom Królestwa, przywykłym do pokazywania się w różnych przebraniach, okrywających ich energetyczne istności. Więcej mamy problemów, przeprawiając się przez strumień, niż moi przyjaciele Stamtąd, przekraczając próg Bramy Wewnętrznej i przedostając się na przełaj przez, z ludzkiego punktu widzenia, absolutnie nieprzepuszczalne bryły skał i gorące rzeki lawy.

Wydajemy się gatunkiem całkowicie od nich osobnym, ale tak nie jest. Nie ma wielu gatunków, jest jeden, tyle że osobnicy różnią się od siebie w zależności od stopnia rozwoju.

Maleńka, pływająca, podobna do rybki istotka, nie przypomina w niczym żaby, prawda? Ani obrzydliwa gaśienica nie daje patrzącemu nadziei, by kiedykolwiek miała mieć skrzydła. Tak i my, nieszczęsne, ledwie urodzone potworki, wciąż uzależnione od naszych pieluch i butelki, w niczym nie przypominamy dorosłych osobników wspólnego dla nas. i Tamtych gatunku. Starzejemy się, nie dorastając, nie wychodząc z pokoju dziecinnego, strasząc się nawzajem opowieściami o pustce i samotności za drzwiami, a historie o spotkanych Dorosłych witamy gwizdami i wybuchami śmiechu.

Tak było też i ze mną.

Rozpoznałem Dorosłego chyba tylko dlatego, że byłem półżywy ze zmęczenia. Od dwudziestu godzin operowałem rannych, poparzonych domowej produkcji napalmem, postrzelonych, pochlastanych nożami, znoszonych wciąż z dziwaczного pola bitwy, które jeszcze niedawno było częścią wielojęzycznej metropolii. Broni ciężkiej nie używano, ale ręczne granaty i broń maszynowa na krótkim dystansie wśród budynków niosą śmierć z przerażającą łatwością. Wojna? Ależ skąd, utarczka na tle rasowym, o której będzie najwyżej niewielka notatka w prasie zagranicznej. A ja ślaniałem się ze zmęczenia, bojąc się wyjść ze szpitala, dotąd uszanowanego przez wszystkie, trzy lub cztery, strony konfliktu. Policja i wojsko

otoczyły kordonem płonąca dzielnicę, lecz nie wchodziły. Postępek słuszny, bowiem musiałyby wymordować wszystkich biorących udział w tej nietypowej wojnie. Nienawiść walczących grup obróciłaby się przeciwko nim. A tak była nadzieja, że konflikt sam zdechnie i chociaż część walczących przeżyje.

Z helikopterów, unoszących się wysoko ponad budynkami, dochodził jak grom głos burmistrza, wzywającego do opamiętania się i złożenia broni. Nagranie powtarzało się raz po raz, z radia dochodziło to samo, ale nie zsynchronizowane, wezwania do ugody zlewały się za oknem w jedno z końcowymi groźbami użycia wojska i ciężkiego sprzętu, które kończyły apel. Podobno prezydent miał przybyć lada chwila, ale, będąc tylko człowiekiem, jak miał zakończyć to szaleństwo?

A ja ugrzązłem.

Mój dom, położony trzydzieści kilometrów stąd, zapewne był cały. Tam nie działo się nic. Samochód, którym przyjechałem, ciągle stał na podziemnym parkingu szpitala, lecz był zupełnie bezużyteczny. Nie mogłem się wydostać z tej enklawy

o promieniu około dziesięciu kilometrów; odległość, którą truchtem pokonuję wczesnym rankiem, była od wczoraj subiektywnie równa promieniowi Wszechświata.

Ze zmęczenia miałem wrażenie, że zapadam się w sobie jak teleskopowa antena, a wciąż pojawiający się w moim polu widzenia ranni stali się mniej widoczni zza kolorowej mgiełki, którą brałem za efekt zmęczenia wzroku.

Kolega Jonas Zwiger właśnie postanowił mnie wymienić. Przespał parę godzin twardym snem na jeszcze twardszym łóżku w jednym z gabinetów, a ja, najpierw z ulgą, a potem z czymś, co dopiero po chwili rozpoznałem jako zdenerwowanie i niechęć, poszedłem zając jego dotychczasowe legowisko. Czyżbym się bał, że Jonas nie będzie wystarczająco dobry, przejmując moją robotę? Śmieszne. Ciągle byłem pełen niechęci do zejścia z posterunku, choć doskonale zdawałem sobie sprawę z ogromu własnego zmęczenia. Dla dobra tych ludzi szukających ratunku powinienem odpocząć, niepotrzebny jest im mylący się lekarz, powtarzałem sobie, wędrując zapchanym łóżkami korytarzem. Ludzie leżeli, niektórzy spali, niektórzy jęczeli, a wszyscy pokryci byli tęczowym lśnieniem mgiełki. Przekonany, że to tylko powidok, przenosiłem wzrok z leżących na łóżkach sylwetek w mglistych kokonach na ściany i z powrotem, jednak te powidoki nie chciały wędrować zgodnie z ruchem gałek ocznych, jakby były czymś rzeczywistym. Ale przecież tak być nie mogło.

Nie wierzyłem, by opowieści o widzeniu aury były czymś innym niż próbami hochsztaplerów wyludzenia zainteresowania lub pieniędzy.

W pokoju, w którym się wreszcie schroniłem, oprócz kozetki była też mikroskopijna kuchenka, lodówka i elektryczny czajnik. Udało mi się znaleźć swój zapas *yerba mate*, dzięki Bogu, nikt tego nie pił oprócz mnie, więc ocalał, resztki mleka w lodówce akurat mi wystarczyły; popijając gorący słodki wywar przez słomkę, usiadłem na kanapce i dopiero wtedy go zauważyłem. Facet siedział na krześle, odchylony nieco do tyłu, ze zwieszoną na pierś głową, jakby spał. Nie był z pewnością zatrudniony w szpitalu, pracowałem tu ponad pięć lat

I znałem wszystkich. Poza tym krzesło stało pod ścianą, doskonale widoczne, i przysiągłbym, że cały czas było puste. Halucynacje z powodu braku snu i zmęczenia? Powinienem podejść do niego, potrząsnąć go za ramię i obudzić, spanie w milczącym towarzystwie obcego wydawało mi się jakby głupie, nie na miejscu. Trochę przerażające. Podejście do niego też, chociaż byłem u siebie, a tamten, ewidentnie, nie. Gdy tak się zastanawiałem, mężczyzna podniósł głowę i uśmiechnął się. Wcale nie był przerażający: śniady, ubrany w dżinsy i białą koszulę, zbyt stary na studenta, lecz młody, mógł być stażystą, którego mi nie przedstawiono. Albo jednym z tych szaleńców z bronią, powodujących piekło za murami.

Nie jestem tchórzem. Byłem w wojsku dwa lata, padam na ziemię, gdy strzelają, a potem szukam broni i czołgam się w stronę zagrożenia. Nie znaczy to, że nie jestem ostrożny. Jednak w towarzystwie tamtego faceta czułem się nieswojo. Atmosfera zagrożenia? Nie, raczej egzaminu. Ale czemu? Bo promieniował autorytetem? Czyżbym na pół spał i stroił rzeczywistość we własne rojenia?

Najlepszy sposób na wyświetlenie sytuacji znalazł się sam, gdy wpojone obyczaje wzięły górę. Wstałem i ruszyłem w jego stronę z wyciągniętą ręką, mówiąc:

- Chyba się nie znamy, jestem Stanley Lemmer, doktor Lemmer.

- Wiem - odparł nieznajomy i podniósł się z krzesła, powoli, pomalutku. Miałem wrażenie, że obcy prostuje się całymi godzinami, rosnąc do absurdalnie wielkich rozmiarów starej topoli lub wieżowca, ale nie wytrzymałem, mrugnąłem i nieznajomy okazał się mniej więcej mojego wzrostu. Dłoń była nieco szorstka i przyjemnie ciepła.

- Nazywam się Michael Mikkelson, czekam na pana od dziesięciu godzin.

Zdziwiłem się.

- Przybyłem tu z propozycją pracy dla pana, ale był pan niezwykle zajęty. I tak nie udało mi się odejść, więc po prostu czekałem dalej.

- A jakim cudem pan się tu dostał? - spytałem. - Dziesięć godzin temu już było tu piekło.

- Sam nie wiem, najpierw utknąłem na skrzyżowaniu pod hotelem „Rosa Maria”, a potem już nie byłem w stanie uciec z pola bitwy, więc pchałem się

w stronę szpitala, zabierając rannych każdej ze stron konfliktu, Chyba miałem więcej szczęścia niż rozumu.

- A teraz nie wydostanie się pan stąd, dopóki nie skończą się zabijać - podtrzymałem temat.

- No cóż, przynajmniej dopóki nie zapytam pana, czy chce pan pracować dla naszej organizacji - odparł.

- Czy muszę teraz wysłuchać tej propozycji?

- Ależ skąd, doktorze, ależ skąd - uśmiechnął się Mikkelson i rozłożył ręce. - Doskonale wiem, co pan przeszedł przez ostatnie dwa dni. Poczekam z propozycją, aż się pan wyśpi. Czyli do zakończenia konfliktu, plus jeszcze ze dwa dni. Nie ma pośpiechu. Przed nami cała wieczność.

Chciałem się położyć, ale jakoś przy nim nie mogłem. Najwyraźniej to wyczuł, bo wstał i powiedział:

- No, a ja się przespałem, na medycynie się znam, to może spróbuję odciążyć jakąś pielęgniarkę.

Mruknąłem w odpowiedzi coś pełnego wdzięczności, nakryłem się kocem i zasnąłem. Gdy po czterech godzinach się obudziłem, było już po wojnie. Nadal napływali ranni, ale nie produkowano już nowych. Widziałem z daleka Mikkelsona, uwijał się między poustawianymi na podłodze holu noszami, pomachał, a ja mu odmachnąłem, szybkim truchtem podążając do sali operacyjnej. Gdy skończyliśmy łątać poszarpaną nogę piętnastolatka i zaszyliśmy mu dziurę w barku, większość rannych odjechała już karetkami do innych szpitali, u nas zostali tylko ci, których ze względu na ich stan nie można było przenosić.

Oznaczało to wysoki wskaźnik umieralności, który, po tych wszystkich wysiłkach, mógł być powodem depresji dla całego zespołu. Racjonalnie nie było ku temu powodu, ale mogliśmy mieć przed oczami jedynie tych, których uratować było niezwykle trudno, ci, którzy mieli wyzdrowieć, zdrowieli nie na naszych oczach. Znałem ten problem, już się z nim zetknąłem. Starałem się opowiedzieć - o tym tyłu członkom personelu, ilu było można, by przygotować ich na ten, najgorszy dla lekarza, okres.

Mikkelson dorwał mnie, gdy wreszcie, zastąpiony przez chirurga sprowadzonego ze szpitala Pearl Jacobson, szykowałem się pomaleńku do powrotu do domu. Jego koszula nie była już biała, nie była też czerwona, plamki krwi zrobiły się prawie czarne. Głupio mi było po prostu się go pozbyć, pielęgniarki mówiły mi, że to lekarz dużej klasy, choć o trochę nietypowych nawykach. Pewnie robił dyplom daleko stąd, w Afryce, może w Azji. Ale znakomity. Zaprosiłem go więc do siebie na noc, a on radośnie się zgodził.

Normalnie byłbym znacznie bardziej wylewny, takie piekło sprzyja bratanii się ludzi pracujących dla tego samego celu, ale było w nim coś takiego, co powodowało u mnie niechęć. A ta niechęć z kolei, gdy bliżej jej się przyjrzałem, była całkowicie nieuzasadniona. Facet nie miał w sobie nic, co mogłoby do niego nieprzychylnie usposobić.

Zastanawiałem się nad tym, gdy jechałem do domu, z samochodem Mikkelsona widocznym w tylnym lusterku. Co było w nim takiego, czego nie lubilem? Chyba wyłącznie fakt, że powodował u mnie jakieś złudzenia wzrokowe, a przecież tym halucynacjom, zrodzonym z bezsenności i przepracowania, on był winien najmniej. Co to wtedy widziałem, gdy wyszedłem z bloku operacyjnego? Poświęcę w kształcie skrzydeł? Trzy świetliste sylwetki z Mikkelsonem w centrum? Sam już nie wiedziałem. Gdy wpuściłem go do domu, nagle sobie przypomniałem, że dla obcego mój dom może wyglądać dziwnie. Wszędzie było pełno roślin, w doniczkach i suszących się na ścianach. Takie hobby.

Mikkelson jednak, czy to ze ,czy z nadmiaru taktu, nie zadawał żadnych pytań. Rozejrzał się z uznaniem po pokoju gościnnym, pohłasował chwilę w łazience i zobaczyłem go dopiero późnym rankiem, gdy ogolony i wykąpany, przeciągając się i ziewając, wszedłem do kuchni.

Pogwizdując, kroił chleb na grzanki, maszynka do kawy parowała, boczek na patelni syczał, a mój gość uwijał się jak wysokiej klasy gosposia. Jego obycie w kuchni źle mi się skojarzyło, przestraszyłem się, że zaraz uszczypnie mnie w tyłek, teraz naprawdę ciężko zgadnąć pleć, ale zaraz się uspokoiłem, ostatecznie pedzio nie znaczy „gwałciciel”, a ja zachowuję się jak stara panna, której jeszcze nie zaczepiono, a już krzyczy o ratunek. Zbiła mnie z tropu ta sytuacja, dotąd po kuchni w ten sposób uwijały się u mnie jedynie kobiety.

Mikkelson obejrzał się na mnie, przez chwilę zonglował dużym kuchennym nożem i łopatką, którą dopiero co szturchał boczek, a na widok mojej osłupiałej miny roześmiał się i złapał jedną ręką najpierw nóż, potem łopatkę, na końcu widelec, którego wcale do tej pory nie widziałem i który, z mojego punktu widzenia, spadł z sufitu. Czulem się jak dziecko w cyrku.

Mikkelson ofiarował mi bukiet przyborów kuchennych z , taką miną, jakby obdarowywał mnie mirrą, kadzidłem i złotem, i w końcu ja też zacząłem się śmiać.

- Czy gospodarz raczy mi pomóc? - spytał.

Gospodarz, przypomniawszy sobie o obowiązkach, poustawił na stole talerze, sztuce i resztę. W lodówce wciąż był nienaruszony galon soku pomarańczowego, znalazłem też mleko, a potem płatki kukurydziane. Na pewien czas zająłem się śniadaniem, a gdy większość z tego, co było na stole, znalazła się wewnątrz nas, Mikkelson spojrzał pytająco i popukał się w usta.

- Rozumiem, rozumiem - roześmiałem się - niech pan mówi, zaczynam być ciekawy.

- To propozycja dla lekarzy, którzy nie chcą mieć wygodnie - zastrzegł Mikkelson. - To propozycja dla byłych komandosów, którzy czują wstręt do zabijania, dla ludzi bezdzielnych, nie obciążonych obowiązkami rodzinnymi, słowem...

- ...Dla mnie - przerwałem mu.

- To, co panu powiem, musi pozostać między nami. Jeśli nie zgodzi się pan do nas przyłączyć, musi pan zapomnieć o wszystkim, o czym będziemy tu rozmawiać. Reprezentuję organizację rządową, a praca, o której mówię, jest objęta najwyższym stopniem tajności.

- A dlaczego zwraca się pan do mnie?

- Bo jest pan lekarzem, byłem komandosem, a na dodatek ma pan medal za odwagę. I nie znosi pan zabijania. I jest pan nie tylko chirurgiem, ale też skończył pan farmację. To wszystko się panu przyda. A praca, którą będzie pan wykonywał, zabierze pana bardzo daleko, tak daleko, że nie będzie mógł się pan komunikować z nikim ze znajomych. W zamian obiecuję panu coś, co mogą przeżyć tylko nieliczni.

- Co się stało? Wybuch cholery w jakimś kraju azjatyckim, w którym na dodatek toczy się wojna?

- Prawie pan zgadł. Ale musi się pan zgodzić w ciemno. Całą prawdę powiem panu dopiero, gdy zgodzi się pan ze mną pojechać.

- Chyba się nie zgodzę. Widzi pan, czuję awersję do mieszania się rządów jednych krajów do innych. Gdyby reprezentował pan organizację międzynarodową, pozarządową, pewnie byłoby mi łatwiej.

- Pański stosunek do tej sprawy nie tylko przynosi panu chlubę w moich oczach, ale też powoduje, że jest pan dla mnie jeszcze cenniejszym nabytkiem. Rząd, który mnie przysłał, jest właśnie rządem tego kraju, który dotknęła klęska. Nie szukamy pomocy przeciwko ludziom, lecz chorobie. Współpraca rządu pańskiego kraju jest dla nas bardzo cenna, ale potrzebujemy tylko informacji o ludziach takich jak pan, a nie wojska czy broni.

- Czemu więc nie będzie mi się wolno komunikować z rodziną?

- Bo mamy do czynienia z chorobą, której istnienie chcemy zachować w tajemnicy, dopóki się da. Ciągłe jest nadzieja na zlikwidowanie ogniska choroby zanim się rozprzestrzeni. Przy okazji próbujemy opracować szczepionkę. Na dodatek to pole bitwy jest oddalone od tak zwanej cywilizacji.

Nie podobało mi się to. Po pierwsze, mówił bez śladu obcego akcentu i nie wyglądał na przybysza z dalekich krajów. Po drugie, nie słyszałem nic o jakichś nowych chorobach, a przecież lekarze plotkują tak samo jak inni ludzie. Sztucznie stworzony zarazek wymknął się spod kontroli? Z drugiej strony moja ciekawość nie pozwoliłaby mi wycofać się ze sprawy, zanim się nie dowiem. W końcu podjąłem decyzję.

- Czy pozwoli mi pan sprawdzić pańskie, powiedzmy, referencje? - spytałem.

- Niech pan zadzwoni do Ministerstwa Obrony Narodowej, do generała Cagnere'a. On panu powie, czy mnie zna.

Zignorowałem podawaną mi wizytówkę, znalazłem telefon Ministerstwa w książce telefonicznej, a sekretariat połączył mnie z Wydziałem Kontroli, cokolwiek to miało znaczyć. Generał od razu wiedział, kto do niego dzwoni i po co. Nie powiedział mi nic

konkretnego, ale z naciskiem powtarzał o całkowitym zaufaniu do Mikkelsona, z tym że nie byłem pewien czy mówi o własnym zaufaniu, czy o zaufaniu, którym powinienem Mikkelsona obdarzyć. Odłożyłem słuchawkę z przekonaniem, że typowy obraz wojskowego z dowcipów już nie przystaje do rzeczywistości. Prerażony nieco tym nowym wojskiem jajogłowych, pękając z ciekawości i nieco obrażony na Mikkelsona, że pakuje mnie w taką randkę w ciemno, wreszcie się zgodziłem, zastanawiając się, kiedy zacznę żałować tej decyzji. Mimo to Mikkelson nie powiedział mi nic więcej, podkreślił tylko, że dopóki nie zobaczę, i tak mu nie uwierzę. Za jego namową zadzwoniłem do szpitala, dyrektor już był powiadomiony przez, jak to nazwał, autorytety, i podpisał mi urlop na czas nieograniczony. Dodał jeszcze coś o zatrudnieniu mnie z powrotem, kiedykolwiek będę chciał i nagle poczułem się, jakbym właśnie skoczył z mostu na bungy bez upewnienia się, czy lina jest właściwie umocowana do bariery.

Mikkelson mnie nie poganiał, ale pakowałem się, jakbym uciekał przed pożarem. Spakowany, zarzuciłem marynarski worek na plecy i zszedłem. Mikkelson był już gotów. Zadzwoniłem jeszcze do Franka, mojego najlepszego przyjaciela, z prośbą, by zajrzał czasem i podlał kwiaty. Powiedziałem, że znalazłem okazję na kilka miesięcy w Ameryce Południowej, tyle że muszę się pośpieszyć, bo wskoczyłem na miejsce innego lekarza. Wiedział doskonale o moim zielarskim hobby i nawet nie opieprzył mnie zbytnio za taki wyjazd bez uprzedzenia. Myślałem, że jedziemy na lotnisko, lecz Mikkelson skręcił na autostradę prowadzącą w góry. Minęliśmy kilka turystycznych miejscowości, potem zjechaliśmy w drogę drugiej kategorii, a po następnej godzinie ostrych zakrętów w ledwie widoczny trakt i wjechaliśmy do opuszczonego kamieniołomu. Mikkelson zatrzymał się w odległości metra od skalnej ściany, nacisnął zapalniczkę i zanim zdążyłem go zapytać o papierosy, skalna ściana przesunęła się, ukazując hangar wystarczająco duży na kilkanaście jumbo-jetów. Wjechaliśmy do środka i zaraz obstąpili nas ludzie w kombinezonach. Mikkelson wysiadł pierwszy, zauważyłem, jak poklepują go po plecach, ktoś otworzył moje drzwi i radośnie zapiał:

- Doktorek przyjechał, jak rany, wiedziałem, że ciekawość cię tu sprowadzi, kopę lat, doktorku, co?

Wielka łapa Małpiszona objęła moją, rzeczywiście od lat go nie widziałem, starego kumpla z wojska, ale byłem przekonany, że nie wrócił z interwencji w Angoli. Czyżby zwerbowano go wcześniej? Ale do czego? Wyglądało na to, że zaraz się dowiem. Małpiszon ciągnął mnie w stronę wysokich, smukłych kształtów, wyglądających jak samoloty pionowego startu. Eleganckie i zgrabne, świetliste białe, stały na ogonach jak nowoczesne kolumny.

- Co to jest? - wskazałem palcem na samolot.

- Nasze niewidoczne transportery - odpowiedział z dumą Małpiszon i już nie chciał mi powiedzieć niczego więcej, roześmiał się tylko.

Spojrzałem na niego surowo. Jego przystojna twarz gwiazdora filmowego, przez którą dorobił się ksywy, promieniała dumą. Zadzierał nosa, tego nie był w stanie podrobić. Uznałem, że muszę wypytać Mikkelsona.

Mikkelson, jakby to przewidywał, właśnie do nas podszedł.

- Zanim zaczniesz pan pytać, zabiorę pana na kwatere - zaproponował.

Niebotycznie zaciekawiony, ale też pełen sceptycyzmu, powędrowałem za nim do wózka golfowego, wsiałem, i dopiero teraz, jadąc pomiędzy kolumnami tych „transporterów”, zacząłem w przybliżeniu oceniać rozmiary ukrytego lotniska. Wyglądało na to, że wypatroszyli cały łańcuch górski. Gładkie z daleka powierzchnie samolotów z bliska sprawiały wrażenie włóchatej tkaniny; gdy wyciągnąłem rękę w stronę wznoszącej się nad nami białej płaszczyzny trójkątnego skrzydła, Mikkelson się roześmiał. Po chwili wiedziałem już czemu. Nie udało mi się jej dotknąć!

Dłoń zatrzymała się jakieś dwa centymetry od białego puchu, delikatne piórka tuż pod moimi palcami zadrżały, czułem miękkie, sprężyste opór pustego, jak się zdawało, powietrza, piórka podnosiły się ku moim palcom, a ja ich nie mogłem dotknąć i nadal nie widziałem przeszkody.

- Co to jest?

- Garuda - odparł Mikkelson, ubawiony moją miną, sam czułem, że jest szczególnie głupia.

- Jakaś nowa technika? Pole siłowe?

- Zapewne tak to można nazwać. Czy zamierzasz zapytać, skąd się bierze?

- Nie. Nie jestem fizykiem.

- Anty grawitacja.

- Anty grawitacja to tylko słowo, a jak podasz mi wzór fizyczny, to i tak go nie zrozumieć, więc cię nie pytam.

- To efekt przewagi energii nad grawitacją.

Po pierwsze, nabijał się ze mnie, a po drugie, przeszliśmy na ty.

Przejechaliśmy wreszcie przez połąć lotniska i dotarliśmy do korytarzy. Mikkelson wybrał jeden z nich, przejechaliśmy jeszcze z pięćset metrów i zgrabnie zaparkował w niszy, służącej do tego celu. Pokazał mi pokój, schludnie i w miarę wygodnie urządzony, z łazienką i maleńką garderobą na bagaż. W porównaniu z kwaterami, jakie miałem w armii, był to Hilton. Zmył się, zanim zdążyłem wymyślić pierwsze pytanie.

Nie chciało mi się spać, a nie dostałem wyraźnego polecenia pozostania w kwaterze. Ciekawość przeważała. Korytarze, choć drugie, były dobrze oznakowane, wszędzie wisiały mapki i nikt mnie nie próbował zatrzymać. Chodziłem więc, dziwowałem się rakietom, zaglądałem wszędzie, najwyraźniej nikt tu niczego przed nami nie pilnował. Na dobrą sprawę mogłbym się urwać, ale nie chciałem. Ku swemu zdumieniu przekonałem się, że prawie połowa z żołnierzy to kobiety.

Przysiadłem się do jednej takiej, gdy jadłem obiad w kantynie, miała na imię Sara i była świetnie wyszkolonym komandosem. I miała dosyć strzelania do ludzi, choć rozumiała politykę własnego kraju. Powiedziała mi coś, co mnie zastanowiło. Coś o kobiecie imieniem „Bezbożność”, zabranej w ołowianej skrzyni przez kobiety ze skrzydłami bocianów i postawionej na cokole.

- Zamknęto ją w efie - mówiła, wpatrując się we mnie ciężkim wzrokiem. - To skrzynia służąca do mierzenia zboża i innych sypkich rzeczy. Postawiono ją na cokole. To chyba znaczy, że miara była już pełna?

Było mi głupio, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Boję się świrów, a szczególnie świrów cytujących święte pisma. Zauważyła to i zmieniła temat. Dużo też gadałem z Jackiem Małpiszonem, który mnie odnalazł i przysiadł się do nas, ale ten bezczelny typ nic mi nie wyjaśnił, tylko się ze mnie nabijał. Gadał coś o podróżach w poprzek czasu, krainach elfów, duplikatach, i nie był w stanie utrzymać pokerowej twarzy. Miałem ochotę go udusić. Sara mu sekundowała, a ja nie wiem czy lubię, jak świry się ze mnie śmieją. Czuję się tak swobodnie jak mała pod wodą. Nie dali mi najmniejszego punktu zaczepienia. W końcu zrezygnowałem. Skoro nie miałem wystarczających danych, by roztrząsać problem, pozwoliłem mu, by roztrząsał się sam, bez mojej pomocy.

Wieczorem, gdy już aż nazbyt syty wrażeń kładłem się spać, zastukał do mnie Michael w towarzystwie jakiegoś blondyna, którego jeszcze nie widziałem.

- Masz ochotę na nagły wyjazd, połączony ze szkoleniem? Michael miał niezwykle zadowoloną z siebie minę. Najwyraźniej znów żonglował jakimiś łopatkami.

- Dokąd? - zdziwiłem się. Ostatecznie dopiero co przełożyłem nogi przez próg.

- Takie sobie szkolenko. Na razie jedynie jako obserwator - odpowiedział z uśmiechem, który miał być anielski, a był uśmiechem kota z Cheshire. Wisiał w mojej pamięci jeszcze długo potem, jak jego właściciel się zmył, przekazawszy mnie w ręce blondyna.

Blondyn zaprowadził mnie do pomieszczenia przypominającego małe kino, ale takie z filmów SF. Może raczej do kokpitu „Enterprise”. Pełno dużych ekranów, stanowiska komputerów, wygodne fotele, kolorowe światła, te rzeczy.

Blondyn bez pytania podał mi papierowy kubek z kawą. Przyjąłem go i usiadłem na wskazanym siedzisku. Podsunął sobie nogą drugie, rozsiadł się i zrobił z palców małą gotyką wieżyczkę, którą pukał się w podbródek, robiąc mi wykład.

- Są sytuacje - zagaił - gdy niewinni ludzie padają ofiarą zorganizowanych akcji prowadzonych przez rządy lub duże organizacje przestępcze, mające powiązania z władzą. Policja nie może im pomóc, ich własny rząd nie chce lub nie może im pomóc, powiązania polityczne uniemożliwiają działania oficjalnych organów. I wtedy wkraczamy my. Jest nas

za mało, by brać udział w każdej koniecznej akcji, są więc nam potrzebni sojusznicy. Tacy jak ty. Ciągłe szukamy następnych.

Postanowiłem nie psuć mu humoru i postarałem się zabrzmieć w miarę możliwości zgodliwie:

- Potrzebne wam psy wojny ze skrzydłami. •

- Coś w tym rodzaju. Nie zapominaj, że aniołowie noszą miecze.

Roześmiałem się.

- Wojownik i lekarz? To raczej archetyp z Dalekiego Wschodu.

- I poeta, nie zapominaj o trzecim ważnym wątku.

- I mag, koniecznie mag, potrzebujecie więc archetypów.

- Wystarczy mi, że znalazłem dobry materiał na archetypy. Jak popracujemy, znajdziemy rzeźbę w marmurze.

- To Michał Anioł! Dobrze znasz zachodnią kulturę, chyba długo tu siedzisz.

Roześmiał się tak, jakbym opowiedział dowcip stulecia. Na moje pytające spojrzenie odpowiedział następnym wybuchem śmiechu. Znowu przez mgnienie oka miałem wrażenie, że spotkałem kogoś tak wielkiego jak te samoloty w hangarze.

- No, dobra, ale skąd te tony supernowoczesnego wyposażenia?

- Powiedzmy, że grupa ludzi weszła w posiadanie pozaziemskiego sprzętu...

- Jaka grupa? - chciałem wiedzieć.

- Pozarządowa - odpowiedział z mrugnięciem.

- I pozwalają wam tak sobie używać? Każdy rząd raczej obwieści, że jesteście terrorystami, niż pozwoli wam działać na własną rękę.

- No, cóż - wycedził, spoglądając w punkt nad moją głową - początkowo tak właśnie zamierzali z nami postąpić. Zlikwidować kłopot, póki mały. Potem zmądrzeli.

- Więc jednak podjęliście jakieś działania terrorystyczne... - zacząłem.

- Nie wyobrażaj sobie za wiele - przerwał. - Nikt nie ucierpiał, chyba że urażona duma liczy się u ciebie za efekt działalności terrorystów.

- I? - pogoniłem go, bo zamilkł z uśmiechem, jakby kontemlował jakieś rozkosze.

- Cóż, okazało się, że wielu zrozumiało, na czym polega nasza działalność. Są teraz naszymi najlepszymi sojusznikami.

Znowu się roześmiał.

Chciałem wiedzieć więcej - skąd ten sprzęt, czy jesteśmy w kontakcie z inną rasą i tak dalej. Zamiast odpowiedzi słyszałem coraz to nowe wybuchy śmiechu.

- Na pewno jeszcze o tym pogadamy - powiedział w końcu, wycierając oczy.

- Nieżle cię ubawiłem, co?

- Kiedyś ci to wyjaśnię.

- Dlaczego nie teraz?

- Bo tak mam lepszą zabawę. Obraziłem się.

Pokręcił głową, ciągle jeszcze ubawiony.

- To nie tak, po prostu najpierw musisz tam polecieć, zobaczyć na własne oczy, a potem przyjdzie czas na dalsze tłumaczenia. Wtedy ubawisz się równie dobrze jak ja. I tak samo będziesz trzymał język za zębami.

- Gdzie polecieć? - naciskałem.

Do sali wszedł Michael z grupą żołnierzy i blondyn się zmył, nie odpowiedziawszy na moje pytanie.

Odprawa była krótka, nic z niej nie zrozumiałem. Miałem wrażenie, że oglądam końcówkę filmu. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi, w rękach trzymali coś, co wydawało mi się notebookami najnowszej generacji, rozdzielili się na grupki, choć nikt im nie kazał. Pojawił się Małpison i po prostu mnie zabrał, a ja poszedłem za nim jak owieczka, całkowicie ogłupiały. Po drodze rzucił mi tłumok z wyposażeniem, powiedział, że zdążę się przebrać w czasie lotu, i zdażyłem. Potem, kiedy wspominałem tę podróż, raz wydawało mi się, że lecieliśmy bardzo długo, udało mi się trzykrotnie umrzeć - z nudów, wypowiadać się Małpisonowi ze swoich dziwactw i uzyskać rozgrzeszenie, a w zamian wysłuchać historii jego ostatnich lat. To znowu wydawało mi się, że ledwo się przebrałem, usiadłem i zacząłem się rozglądać, już trzeba było wysiąść.

Trochę było tak, jakby wypluł nas balon, zawieszony centymetry nad ziemią. Spojrzałem w bok, tam drugi Garuda zwiślał tuż nad gruntem, kiwnął się, jakby dygnał, i na lodzie pojawiły się, ni stąd, ni zowąd, ledwie widoczne w swych białych ubraniach sylwetki. Właśnie - pojawiły się znikąd, nie skakały, ani nie schodziły pojedynczo. Próbowaliśmy się zastanowić, w jaki sposób sam wysiadłem, ale ten moment uniknął mi z pamięci. Podobnie jak moment wejścia na pokład. Czy Garuda ma pokład? Wstałem z fotela (jeśli to był fotel) i już miałem pod nogami lodowiec. Garuda gdzieś znikł, i nasz, i tamten, nie wiadomo kiedy, choć rozglądałem się po niebie. Było jasne jak nad biegunem. Nie spodziewałem się, że pełnia księżyca może dawać aż tyle światła. Prawie jak reflektor. Cel naszego marszu był widoczny z daleka niczym oświetlona scena i wyglądał właśnie jak teatralna scenografia.

Wyobraźcie sobie zamrożone na gładko jezioro z wysepkami wysokich skałek. Prawie się rozglądałem za Otylią, Odettą i resztą łabędzi, wpływających na środek na puentach. Nawet nie chrupało pod nogami. Płachta śniegu po wielokrotnych topnieniach i zamarzaniach była twarda jak marmur, zabrudzenia układały się w marmurowe żyłki. Podciągnąłem kołnierz panterki, Małpison - najwyraźniej podniecony sytuacją - ściągnął kaptur i odpiął wiatrołap pod szyją.

- Co ci tak gorąco? - zdziwiłem się.

Spojrzał na mnie ześlony i pokręcił dłonią: „uwaga, nasłuch!”. Wzruszyłem ramionami. Wiatr wył, oprócz nas i zrzuconych po drugiej stronie skałek naszych kumpli, niewidocznych w swoich białych okryciach, najwyraźniej nikogo tu nie było. A i do skałek nie mieliśmy tak blisko. No, dobra, pewnie chodziło mu o punkty karne - ale też nie brałem przecież udziału w

dzisiejszej akcji, miałem być tylko noszącym apteczkę obserwatorem.

Lazłem więc w milczeniu między rozrzuconymi kapryśnie skałkami za rozgrzanym ćwiczeniami Małpisonem, który znowu zaczął rozpinać kurtkę na kewlarowej kamizelce, trochę na niego obrażony, a trochę licząc na jakieś ciekawe wydarzenia, bo przecież nie wierzyłem, że przydam się tu zawodowo. Nikt nie planował wspinaczki, więc nawet złamanie nogi w tym gładkim terenie się nie spodziewałem. W watowanych ubrankach nie było sposobu stłuc sobie kolana.

Potruchtaliśmy tak do środkowej części skałek, były niespodziewanie wysokie, a przejścia między nimi prawie tak regularne, jak nawy starego kościoła. Małpison rozglądał się dokoła z zaciekawieniem. Wreszcie spojrzał na mnie i wskazał ręką grube nacieki z lodu. Kiwnąłem, że je widzę. Prawie jak rzeźby, jakieś motywy liści, kwiatów, twarzy wychylających się spośród roślinności, wszystko jakby roztopione, bardziej się ich domyślałem, niż widziałem. Światło księżyca podmalowywało je jak staroświecki fotograf-retuszer.

Małpison rozglądał się wokół, wreszcie pokazał mi dłonią ślad na lodzie. Przypominał zamrożony przerębel, ale przecież kto by tu ciął przeręble? Łowca łososi? Sterczałem tak, gapiąc się w szklisty owal, Małpison przykląkł, chwycił coś, czego nie widziałem, i otworzył właz. Właz? Nadal wyglądało to jak kawałek lodu, nie widziałem żadnych zawiasów, ale, ewidentnie, nie był to przerębel. Zaczął schodzić po niewidocznych schodach, postąłem, póki jego głowa nie schowała się w otworze, i sam spróbowałem zejść. Mój umysł wrzasnął. Nie było żadnych schodów! Leciłem jak kamień w dół, dopóki nie złapał mnie mój kumpel.

- Spoko, doktorku - wyszeptał. - Twój materialny światopogląd mi tu bruździ, zamknij oczy i wycacaj drabinę, ale już, bo cię nie utrzymam.

Posłusznie zamknąłem oczy i zacząłem wodzić rękami jak ślepiec. Wreszcie trafiłem na delikatne rowki w lodowej ścianie. Były nadspodziewanie wygodne, mogłem się ich ucześcić, a gdy Małpison wypuścił moje nogi z niedźwiedziego uchwytu, również zaprzeć się palcami stóp. Miałem wrażenie że, gdy tak się ich trzymam, grubiejają i chropowacieją. Dalsza droga w dół po pierwszym szoku to była łatwizna.

Znaleźliśmy się w korytarzu, wyciętym równo w brudnym lodzie, a może wylanym z betonu. Mętne światło z ukrytych gdzieś pod sufitem słabych żarówek było dziwnie mylące. Raz zdawało mi się, że idę między murami z ciosanego kamienia, to znowu widziałem po prostu zamrożoną ziemię. Korytarz kończył się, wpierw myślałem, że ślepo, ale okazało się, że dochodzi do poprzecznego, większego korytarza. Od lewej zbliżał się ktoś w bieli. Mały, krępy, uczesany w kucyk Azjata. Pamiętałem go z odprawy. Małpison poczekał, aż dojdzie do nas, i bez wahania skręcił w prawo. Kilka kroków dalej było następne skrzyżowanie. Z obu stron zbliżali się nasi.

- Żadnych strażników, jak dotąd - powiedział znajomy blondyn, dochodząc do nas od lewej.

- Nikogo nie było po drodze - uśmiechnął się wysoki Murzyn, idący z korytarza po prawej.

- To przecież tylko ćwiczenia — wtrąciłem swoje trzy grosze.

Popatrzyli na mnie, jakbym się nieziemsko wygłupił.

- Tak, ćwiczenia - bąknął blondyn. - My ćwiczenia traktujemy serio.

Zrozumiałem aluzję. Grzeczniutko i w milczeniu poszedłem za szerokimi plecami Małpizona. Moje plecy osłaniał Azjata.

„Nasz” korytarz skończył się w okrągłym pomieszczeniu z grubą kolumną w środku. Z pozostałych trzech wyjść wysypały się grupki ubrane na białe. Między nimi był Michael. Podeszedł do okrągłego wspornika i coś przy nim pomajstrował.

Kolumna nagle okazała się szybem windy. Gdy do niej wszedłem za Małpisonem i rzuciłem pożegnalne spojrzenie przez zasuwające się drzwi, ponad głowami pozostałej części oddziału zobaczyłem coś, co zaparło mi dech - znajomy widok holu Ratusza z windy chodzącej na poziom widokowy. Bywałem tam często. W kawiarence na górze dają naprawdę dobrą kawę. Część parteru i dwa pierwsze piętra zajmuje Sąd Okręgowy. W piwnicach, o czym rzadko się mówi, jest areszt i archiwum sądowe.

Winda ruszyła w dół i w pierwszej chwili pomyślałem, że zmierzamy do aresztu. Bywałem tam czasem zbadać aresztanta, zwykle symulującego chorobę, by uniemożliwić rozprawę, na którą go przywieziono. Nie pomyliłem się zbyttnio. Gdy wysiedliśmy, grupka, która zjechała wcześniej, właśnie coś kombinowała z zamkami krat, chroniących przejście do następnego pomieszczenia. Zamki ustąpiły z cichym trzaskiem i kraty zaiskrzyły.

Spodziewałem się jakiegoś skakania po ścianach, machania bronią i szybkich komend, ale weszliśmy do środka jak dzieciaki na wycieczce. Murzyn majstrował coś w skrzynce na ścianie i nagle drzwi do cel puściły. Rzędy pomieszczeń po obu stronach z początku wydały mi się puste i zdziwiłem się, że zadajemy sobie tyle trudu, by je otwierać. Jednak gdy wszedłem w korytarz zrozumiałem, jak bardzo się myliłem. W celach było tłoczno.

W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, co widzę. Jakieś dziwaczne wielorękie, wielonogie potwory? Związanych razem jeńców? Dziwaczny seks grupowy z użyciem masek karnawałowych? Wszystko to trwało praktycznie bez ruchu, wtulone w kąty cel. Czasem widziałem jakieś niewielkie przesunięcie, tyle że nie wiedziałem, co się przesuwa i czemu. Wzdłuż kręgosłupa podnosiły mi się włoski, jakby ktoś mi jeździł zimnym paznokciem po skórze. Czulem, że rodzi się we mnie wrzask; nigdy dotąd nie posadzałem się o histerię, ale to, co widziałem, było tak bardzo wbrew naturze, że nawet nie wiedziałem, co właściwie

widzę, wiedziałem tylko, że napawa mnie to nieprzytomnym obrzydzeniem.

Postarałem się zogniskować spojrzenie na grupie, czy czymkolwiek to było, za kratą tuż przy mojej lewej ręce. Po dłuższej chwili udało mi się odróżnić pół ludzkiej twarzy pod czymś, co wyglądało na wielopalczystą zabią łapę, pieszczotliwie masującą policzek. Druga połowa twarzy ginęła pod maszyną jak wyposażenie hi-tech z filmu sf. Od tego widoku oczy bolały, a co gorsze, kiedy lekko przekrzywiłem głowę, znów nie wiedziałem, co widzę. Żabia łapa stała się pękiem przewodów, a kolorowe światelka i drukowane płytki zmieniły się w bukiet ziół i kwiatów, ociekających szlamem. Odwróciłem więc głowę, spojrzałem wzdłuż korytarza, po-przyglądałem się naszym ludziom, otwierającym klatki i wchodzącym tam tak na luzie, jakby niczego dziwnego nie widzieli. Odpocząłem chwileczkę, popatrzyłem na Małpizona, który odwzajemnił mój wzrok ze spokojnym zaciekawieniem, i spojrzałem w głąb celi jeszcze raz.

Spośród kształtów, które mogły być różnokolorowymi kocami, udrapowanymi w tę i wewtę, wychylała się twarz z policzkiem zżartym przez raka, spuchniętym do niebywałych rozmiarów; na wystającym spod koca ramieniu po zdrowej stronie twarzy siedziała małpka, ubrana w kolorową kamizelkę. Wyszczrzyła się w moją stronę i chrypliwie zajazgotała, po czym nurknęła pod pierwszą z brzegu brudną szmatę. Z pewnością nie małpę widziałem przed chwilą. Teraz bałem się spuścić z oka więźnia choć na sekundę, bo podświadomie byłem pewien, że następnym razem zobaczę znowu coś innego i że tego nowego obrazu mój mózg po prostu nie wytrzyma.

Wpatrzony w zrakowaciały policzek, aż zaczęły mnie szczytać oczy, którym nie pozwalałem mrugnąć, po omacku wyciągnąłem rękę w stronę Małpizona i wygrzebałem mu z dłoni klucz. Nie, nie było w tym cudów, Małpizon po prostu jest inteligentny i domyślił się, czego od niego chcę.

Otworłem drzwi, wszedłem ostrożnie, wpatrując się cały czas w otulony szmatami kształt i wtedy się potknąłem. Zdażyłem pomyśleć: „przekłeta małpa” i już leciałem. Lecąc przed siebie, wyciągnąłem ręce i oparłem się o coś, co ustąpiło z młasnieniem.

To nie był koc.

Wrzeszczałem, wyciągając ręce z czegoś, co było otwartą, zaropiałą raną - ale istniała ona w oderwaniu od jakiegokolwiek ciała. Po prostu była, udawała koc na ciełe „więźnia”, ale nie była jego raną, „towarzyszka”, takie określenie przyszło mi na myśl, ale towarzyszka czego? Kogo? Kręciłem głową, nie mogąc zrozumieć, co widzę, wtedy nawet nie nasunęło mi się na myśl pytanie, dlaczego to widzę, po prostu rozpaczliwie starałem się znaleźć sens w tym, co komunikowały mi zmysły, to było jak błaganie się w wirtualnym świecie zrobionym z testów Rorschacha, ale ściągnąłem tę „ranę” z więźnia tak właśnie, jakby była kocem, i wtedy mnie ugryzła. Wrzasnąłem znowu, próbując strząsnąć z ręki ten za-ropiały kształt, który

teraz wyglądał bardziej jak wilcza skóra, którą dawniej kładziono przed kominkiem, takie coś płaskie z wypchanym łbem, i właśnie ten wypchany łeb trzymał mocno w zębach moją rękę. Działo się to tak szybko, że Małpison zdążył dopiero teraz do mnie przyskoczyć, chociaż byłem pewien, że skoczył już przy moim pierwszym wrzasku.

Jedno mocne uderzenie Małpisona i kształt sflaczał, mój kumpel związał go w trąbkę tak, jakby to ćwiczył codziennie przed śniadaniem.

- Co to jest, u diabła? - zapytałem zdziwiony.

- Takie specjalne łańcuchy - wyjaśnił. - Wszyscy tutaj je noszą.

Pamiętałem, co widziałem, ale ta rzecz w rękach Małpisona rzeczywiście wyglądała już inaczej. Naszpikowany techniką kaftan bezpieczeństwa? Co tu się działo?

Rozejrzałem się jeszcze raz i zaraz tego pożałowałem. Człowiek z rakiem skorzystał z okazji, by znowu się przepoczwarzyć. Spoglądało na mnie kilka par oczu w różnych kształtach i kolorach. Potrząsnąłem głową i przynajmniej jedna z wpatrujących się we mnie twarzy wydała mi się znajoma. Ale przecież to nie mógł być Jussuf ben Jakim, przywódca mniejszości muzułmańskiej w środowisku naszej mniejszości afrykańskiej (tak zwykle nazywały go media) w moim mieście? A jednak ta wygolona czaszka nad kręconą krótką brodą i niebieskie oczy były mi doskonale znajome.

- Jussuf? - zapytałem ze zdziwieniem.

- Jaki Jussuf? - zapytał mnie Małpison.

Odruchowo spojrzałem w jego stronę, a gdy spojrzałem znowu w stronę Jussufa, mrugnęły na mnie oczy na gigantycznym, trzymetrowym ogonie pawia, ale jakże żałośnie wyglądał ten ogon, unurzany w czymś ciemnym, czerwonej mazi, o którą wolałem nie pytać. Miałem kompletnie dość tego czegoś, czułem się naćpany, na kiepskim tripie. Powinienem zrobić jeszcze krok do przodu i chwycić mocno to coś, co zmieniało się z chwili na chwilę, ale ogarnęło mnie takie zniechęcenie, że byłem gotów płakać. To wszystko, co się działo, paliło mi końcówki nerwów jak kwas. Nie myśląc, co robię, po prostu osunąłem się najpierw na kolana, a potem ciężko usiadłem, a raczej osunąłem się na bok. Poczułem na ramieniu rękę, Małpison coś do mnie wrzeszczał, ale nie byłem się w stanie skupić, a raczej byłem zbyt zmęczony, by zwracać uwagę na wrzaski Małpisona. Pawi ogon mrugnął na mnie jeszcze raz, zwinął się, zmienił w połyskującego oczami na łuskach węża, w jego, splotach malutki jak lalka siedział Jussuf. Potrząsnąłem głową, bo wydawało mi się, że Jussuf jest znacznie dalej niż ściana celi, zatem nie może znajdować się w środku tych lśniących splotów, ale nie udawało mi się zogniskować na nim spojrzenia. Od węża oddzieliło się coś, fruwająca płachta, która opadła na podłogę i zaczęła się czołgać w moją stronę, a wąż spuścił głowę i zaatakował z sykiem. Paszcza rosła mi w oczach, ale było mi wszystko jedno.

Poczułem mocny uchwyt na plecach, Małpison ciągnął mnie do tyłu, zawzięcie, jak terier szczura. Łeb węża eksplodował w zamęcie podartych skrawków papieru, machinalnie podniosłem do oczu ten, który mi opadł na kolana. „Konstytucja”, głosiły wersaliki. Widziałem, że pełznący koc metamorfuje się, ale byłem zbyt zajęty czytaniem drobnych liter pod „Konstytucją”, by mu się przyglądać. Małpison pochylił się nade mną i o coś mnie błagał. Nie miałem głowy, by go słuchać, chciałem wiedzieć, co było napisane, jaka to „Konstytucja” rozpadała się w kawałki na moich oczach. Wreszcie, bardziej by się pozbyć Małpisona, niż by go wysłuchać, by surowo go doprowadzić do porządku, no bo przecież kto to widział, takie historyczne zachowanie u żołnierza to prawdziwy wstyd, podniosłem wzrok. Twarz Małpisona zwiślała nad moją, w oczach miał lęk. Za jego ramieniem powoli podnosił się otulony w fałdy kształt, jakaś karykatura człowieka, trójwymiarówka skrzydatego archanioła o popsutych proporcjach i kiepsko zrenderowana (nie wiedziałem czemu właśnie teraz miałem grać w jakąś idiotyczną grę komputerową, pamiętałem, że to chyba Małpison mnie do tego namówił) i już miałem mu powiedzieć, jak bardzo jestem niezadowolony z jego pomysłu spędzenia wolnego wieczoru w taki kretyński sposób, gdy tamto coś rozwinęło mięsiste, czerwone skrzydła, ukazując bardzo duże i bardzo ostre pazury, i te pazury wpiły się w twarz i szyję Małpisona. Krzyknąłem, bardziej ze zdziwienia niż z lęku, Małpison też krzyknął, bardzo głośno, chociaż nie miałem pojęcia, jak może krzyczeć z czymś takim w gardle, z tymi wszystkimi sztyletami, chociaż nie wiedziałem, skąd one tam się wzięły, i zacząłem się podnosić. Ktoś krzyknął: „Padnij”, nie słuchałem, ale byłem tak powolny, że jaskrawe promienie laserów strzelające nad moją głową nie wyrządziły mi krzywdy. Coś zapłonęło jak papier, Małpison upadł i wreszcie odzyskałem możliwość logicznego myślenia. Rzuciłem się na Małpisona, rozrywając w biegu polowy opatrunek. Za chwilę Małpison był tak dobrze obandażowany, jak to było tylko możliwe, leżał na noszach, a ja truchtałem obok niego, unoszonego przez jakichś dwóch naszych kumpli, którym nawet się nie przyjrzałem.

Lot był krótki i już po kwadransie mogłem zacząć szyc te wszystkie rany. Podłączyłem Małpisona do kroplówki pod uważnym spojrzeniem asystującego mi Mikkelsona, upewniłem się, że wszystko zostało zrobione jak należy i uznałem, że mogę wreszcie zająć się palącym mnie tematem.

- Trzymasz ich na prochach? - wrzasnąłem do Michaela. - Nas? - poprawiłem się, wliczając i siebie do grona „widzących inaczej”. Miałem ochotę przyłożyć mu trzymanym w rękę zapasowym stojakiem do kroplówek, ale mógł być mi potrzebny. Odstawiłem go i pomachałem pięścią w jego kierunku.

- Dodajesz coś do jedzenia, ty gnido?

- Przestań – wymamrotał ktoś słabo. Po chwili zorientowałem się, że to Małpison. Schyliłem się nad

nim. Dłoń podniosła się znad koca i wolno zawachlowała.

- Po prostu jeszcze jesteś nieprzyzwyczajony - wychrypiał zza bandażu.

Pochylony nad Małpisonem, zmierzyłem ponurym wzrokiem Michaela.

Wzruszył ramionami i wyszedł.

Odstawiłem stojak i uporządkowałem stolik przy łóżku. Ręce mi jeszcze drżały, upuściłem zużytą strzykawkę i schyliłem się po nią. Wturlała się pod łóżko, więc przyklęknąłem i po nią sięgnąłem. Niespodziewanie dla siebie zacząłem płakać.

- To moja вина - wymamrotałem do podłogi. - Widziałem tamto coś, ale to zlekceważyłem. To moja вина.

Wytarłem nos o rękaw i spędziłem chwilę przytulony twarzą do podłogi. Była przyjemnie chłodna. Gdy wylazłem spod łóżka, Małpison znów przywoływał mnie dłonią. Czoło miał zmarszczone. Z obawy, że to skurcz bólu, przeczłogałem się na kolanach bliżej.

- Nie rozśmieszaj mnie - wychrypiał - bo to boli. Ty durniu, to przecież ja miałem ciebie pilnować, a nie odwrotnie. Widziałem ten głupi wyraz na twojej twarzy odpowiednio wcześniej, po prostu zlekceważyłem sprawę. A ty nie miałeś broni.

Przez chwilę spoglądał w sufit, wyraźnie walcząc o odzyskanie powagi.

- Idź do Michaela, niech ci to wytłumaczy, a potem wróć.

- Nie zostawię cię samego - powiedziałem tak surowo i zdecydowanie, jak tylko mogłem w tych warunkach.

Czułem, że się znów ośmieszam, ale mokry nie może przecież już więcej zmoknąć. Sterczałem więc tak, nie wiedząc, co zrobić ze sobą, gdy weszła Sara, jak na zawołanie.

- Zostawisz mnie w dobrych rękach, prawda, pani doktor? Uśmiechnęła się.

- Po prostu tu sobie posiedzę, a pacjent poczeka, nie jest w formie do ucieczek. Bądź łaskaw poszukać siebie gdzie indziej.

Nic z tego nie rozumiałem, stałem jak słup, tyle że chwiejny.

- Przestań się kiwać nad łóżkiem, nie jesteś przed Ścianą Płaczu. - Sara potrafiła być dokuczliwa. - Na pewno nie umrze zanim wrócisz.

Poszedłem.

Nie musiałem iść daleko. Mikkelson zamaszystym krokiem przemierzał korytarz, wyraźnie czekając, aż się pokażę. Jak tylko zamknąłem za sobą drzwi, chwycił mnie za ramię i pociągnął za sobą. Ledwie za nim nadązałem, ale nie udawało mi się strząsnąć jego dłoni. Wciąż byłem wściekły, a teraz, gdy udawał mi, że jest silniejszy ode mnie - jeszcze bardziej. Gdy zbierałem się w sobie, by mu przyłożyć, dotarliśmy do Garud.

- Patrz! - szarpnął mną, aż zęby mi zadzwoniły. Spojrzałem.

To nie był samolot ani rakiet. Nad nami pochyłał się ogromny złoty dziób, a mądre, ciemne, ludzkie oczy patrzyły na nas z ciekawością. Może nawet z uśmiechem. Ogarnął nas wir ciepłego powietrza i nagle lecieliśmy - chociaż Garuda zniknął. i

Michael też zniknął.

Leciałem sam, sam jak palec wobec ogromnego, pokrytego gwiazdami nieba i zmalej nagle Ziemi, dziwnie kolistym ruchem ulatującej gdzieś w tył.

I nagle znowu byliśmy we trójkę - unoszący się nad nami Garuda, Michael, przypominający zawieszoną w powietrzu pochodnię o ludzkich kształtach, i ja, a wokół nas wznosił się dziwaczny ni to zamek, ni to rząd skał. Pamiętałem je. A jednocześnie te skały nie były niczym innym niż pomniejszonym obrazem miasta, które tak dobrze znałem. Pod moimi stopami, maleńki jak zabawka, stał model mojego domu.

A jednocześnie to był mój dom, tyle że oddalony ode mnie, a może to ja stałem się taki duży?

- Gdzie my jesteśmy? - zapytałem, chociaż najpierw chciałem zapytać go o wiele innych rzeczy, na przykład, jak to zrobił.

- Odkryłeś właśnie, że czas ma tak samo trzy wymiary jak przestrzeń - odpowiedział mi Michael.

- A co to ma do rzeczy? - Znów się zdenerwowałem. Ten facet grał mi na nerwach, a może na emocjach, lepiej niż nauczyciel Carlosa Castanedy.

- Widzisz świat z pewnej odległości czasowej, powiedzmy, „z głębi czasu”. I nie ma to nic do rzeczy z liczbą godzin czy lat. Inna perspektywa, rozumiesz? Czas ma swoje płaszczyzny, wzniesienia, odległości, tak samo jak przestrzeń, odszedłeś w bok od swojej „linii czasu”, wąskiej autostrady, którą pędzi Ziemia, Układ Słoneczny, gwiazdy, wszechświat. Ale to tylko jedna z wielu autostrad w nieskończonym, bogatym świecie trójwymiarowego czasu...

Byłem bardzo wystraszony. Głębia czasu. Wysokość czasu. Szerokość czasu. Wierzyłem mu. Nie wierzyłem mu. Nie wiedziałem, w co wierzyć. Wolałem myśleć, że to oszustwo. Nie mogłem.

Ruszyliśmy znowu trasą, którą już znałem, tyle że tym razem skały były jednocześnie budynkami miasta, a włąz stał się lotem w dół, w dół czasu. Winda już nie była windą, lecz stojącą w miejscu, zamrożoną w czasie trąbą powietrzną.

- Czarna dziura - wyjaśnił.

Spojrzałem na niego, niepewny, czy dobrze słyszę.

- Moglibyśmy dotrzeć inną drogą, ale to dobry skrót.

- Ja to widzę jak windę - powiedziałem. Wysiedliśmy, wiódł mnie tą samą drogą.

- Bo spełnia funkcje windy. - Uśmiechnął się. - Twój mózg musi to jakoś interpretować, wybiera najbardziej odpowiednie wyobrażenie.

- Więc co zaatakowało Małpisona?

- Pokażę ci - odpowiedział i zrobił to.

Rosnąc, rozepchnął wąski korytarz w górę i na boki, a ja cofnąłem się, jakbym nadepnął najeża. Nie było już

korytarza, nie było też Michaela Mikkelsona, nie było nawet lśniącego światła jak pochodnia o kształtach człowieka, którą przelotnie widziałem w czasie lotu. Tamte kształty były zrozumiałe. Teraz nie wiedziałem, co właściwie widzę. Michael był pełen oczu. Był też pełen ust, miał tysiące rąk, a jego głos był głosem wielu ludzi, jak szum wielu wód. Był Strażnikiem Prawa, był Obrońcą, był Zastępem Obrońców, był ich tworem i ich stwórcą, był zgodą grupy na przestrzeganie ustalonych reguł i był strażnikiem tych reguł, a przede wszystkim strzegł Ducha Prawa, tego czegoś, co istnieje w Kodeksie Hammurabiego, Deklaracji Praw Człowieka i w Dziesięciu Przykazaniach. Był również strażnikiem tych praw, których jeszcze nie zastosowaliśmy ani nie wymyśliliśmy, lecz kiedyś się ich nauczymy. Był Sprawiedliwością, która pilnuje Miłosierdzia. Był prawą ręką Króla, którego obrazu mój umysł już nie był w stanie objąć.

Z tym wszystkim wyglądał dostojnie ale i przerażająco, jak zlewające się na krzyż wody, niosące niezliczone odbicia istnień.

Nie padłem na kolana. Po prostu pozwoliłem, by zrozumienie znalazło sobie drogę do mojego umysłu. To, co we mnie pilnuje reguł, to, co z braku lepszego określenia nazywam „wewnętrznym poczuciem właściwości postępowania”, od razu rozpoznało swego zwierzchnika. Jedna z par rąk i jedna z par oczu Obrońcy należała do mnie. A raczej ja należałem do niego, miałem należeć lub musiałem należeć - w zależności od tego czy moją chęć przyłączenia się można nazwać wolną wolą, czy też przymusem spowodowanym wbudowanym sterownikiem emocji.

Mógłbym mu się tak przyglądać godzinami, gdyby nie otoczenie, które wydało mi się równie niepojęte. Ciągące się w nieskończoność łąki, lasy, góry wznoszące się to tu, to tam, gdzie właściwie trafiliśmy? Co to za miejsce bez horyzontu? Kraina elfów?

Michael roześmiał się i jego nieskończone odbicia złożyły się jak wachlarz. Znowu wyglądał jak człowiek.

- Możesz powiedzieć, że jesteśmy w miejscu określonym przez „Czas, dwa czasy i pół czasu” - powiedział i dodał: - Na Ziemi możesz przecież podać, gdzie jesteś, używając szerokości i długości geograficznej oraz wysokości, na jakiej się znajdujesz, prawda?

- Jesteśmy w czasie? - zapytałem niedowierzająco.

- Nie, jesteśmy w uniwersum sześciowymiarowym. Trzy wymiary przestrzeni, trzy wymiary czasu, wystarczy, by zobaczyć archetypy.

Chciałem zadać następne pytanie, ale pokręcił głową i wskazał palcem. Odwróciłem się, a świat wokół mnie drgnął i zwinął się, jak staroświecka kurtyna teatralna.

Znowu staliśmy w korytarzu aresztu i patrzyłem na Jussufa. Michael popchnął mnie lekko, zrobiłem dwa kroki, wyciągnąłem rękę i dotknąłem pierwszego nakrycia. Drgnęło pod moją ręką i okrwawiło mnie swą raną - raną odrzucenia. Lecz ja nie oderwałem ręki ze wstrętem, przecież jestem lekarzem. Wiedziałem, jak leczyć rany, i moja wiedza w sposób, którego jeszcze

nie rozumiem, zagoiła tę ranę. Żywy, pulsujący koc spelzł z Jussufa. Jussuf wciągnął powietrze ze świstem i przytknął oczy. Drugie nakrycie chroniło małpę. Robiła miny, kłapała zębami i nie dawała się złapać. Obejmowała Jussufa kurczowo za szyję, szarpała go za brodę i nie wiedziałem, co z nią zrobić. Obejrzałem się na Michaela. Pokręcił głową.

Nie chciał mi pomóc, to nie. Zabrałem się więc za koc. Był pełen zużytych strzykawek i pustych plastikowych torebek. Jussuf nie był narkomanem, wiedziałem o tym. Ale skąd te strzykawki? Nałóg? Nadal nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić, szarpnąłem więc za następną warstwę. Małpa się rozjazgotała, miękka jak gruby, mokry papier tkanina zaczęła mi puchnąć w ręku. Ciągnąc ją, zrobiłem krok do tyłu.

Jak rodzące się dziecko, głową do przodu spośród fałd nakrywających Jussufa po brodę, wynurzał się krwawoczerwony mężczyzna. Skórę miał połyskliwą jak lustro, odbijały się w niej oczy i usta. Rozwinał skrzydła z pawich piór, uniósł z dumą głowę i zapytał:

- Czemuż to Książę Prawa zabiera mi moich ludzi?

- Twoi ludzie należą do Króla, bez względu na to, co o tym myślisz.

- Zabrano im ich prawa, podarto je na ich oczach! - wrzasnął ze złością Czerwony.

- Dlatego uznałeś, że wolno je łamać także i tobie? - zimno zapytał Michael.

Stałem sobie skromnie z boku, pewien, że „nie należy się wtrącać do spraw Czarodziejów”, jak to ładnie określił nieśmiertelny Tolkien. Jussuf zgramolił się z pryczy i przysiadł na piętach obok mnie.

- Zwykle nie wtrącasz się w takie drobne historie - zjadliwie powiedział Czerwony.

- Robię, co do mnie należy - odrzekł Michael. - Powrót Króla jest blisko, to, co nazywasz „dużymi sprawami”, zostało już załatwione. Teraz twoja historia jest ważną sprawą.

- Król wraca? - ożywił się Czerwony.

- A jak myślisz, dla kogo szkolę tę armię? Sądziłem, że się dogadują, ale bardzo się pomyliłem.

- Nie oddam nikomu swoich ludzi - powiedział zdecydowanie Czerwony.

- Nie należą do ciebie - odparował Michael. Czerwony uniósł dłoń i kula ognia wybuchła przed twarzą

Michaela. Ten pstryknął palcami i ogień zgasł.

- Wieczny buntownik, co? - powiedział z uśmiechem.

- Król jest po mojej stronie - powiedział Czerwony. - Buntują się pokrzywdzeni.

- Mam się do niego odwołać? Czerwony pokręcił głową.

- Rozstrzygnijmy ten spór tu i teraz.

- Co robi przegrany?

- Odda swoich ludzi. Michael potrząsnął głową.

- Mówiłem ci już, że nie masz swoich ludzi. Ani ja.

- Nieprawda! - wrzasnął Czerwony i zapłonął gniewem. Zapłonął dosłownie.

Cała cela wypełniła się ogniem. Chwyciłem Jussufa za ramię i pociągnąłem w kąt. Nagły trzask i białe światło eksplodowało w środku czerwonego piekła. Ogień przygasł, białe światło trwało nadal. Widziałem dwie armie ścierające się ze sobą, ubranych na czerwono i ubranych na biało, białych było znacznie więcej, okrążyli czerwonych i spychali ich gdzieś w dół. Czerwoni podnosili ręce, poddawali się jeden po drugim. Został tylko jeden. Klęczał w środku osmalonej celi. Michael wynurzył się z nicości i stanął przed swoim przeciwnikiem. Czerwony podniósł twarz i zapytał:

- Zabijesz mnie? Proszę...

- Nie - odpowiedział Michael - śmierć nie należy do mnie.

- Zatem co zrobisz?

- Nic. Buntownicy widać też są potrzebni. Czerwony zwiesił głowę. Powoli, niespiesznie, przezroczyście i zniknął.

- Co to znaczy? - zapytałem. - Czy niszczymy bunt? Istotę buntu?

- Ależ nie - odpowiedział. - Trochę pomagamy sprawom toczyć się właściwym trybem. To tylko grupa Jussufa straciła na ważności. Istota tej grupy straciła na ważności. Nikt już nie chce walczyć z powodów, które założyły i podtrzymywały tę grupę. Anioł - archetyp zrodzony przez tę konkretną grupę umysłów, stał się niepotrzebny. Jego wyznawcy odeszli, przystąpili do innych grup - a raczej odejdą w najbliższym czasie, jeśli chcesz stosować ziemską miarę.

- Więc umrze?

- Prawdopodobnie znajdzie sobie innych wyznawców, grupę, której cele i sposób widzenia świata przywołają akurat tego anioła. Być może dla ciebie będzie to niepojęte, ale anioł grupy afrykańskich mahometan może pojawić się znowu jako anioł grupy Ku Klux Klanu. Jemu jest wszystko jedno, kto go wyznaje, byleby była to mniejszość nienawidząca wszystkich innych.

- Jest po prostu opiekunem rasistów?

- Miał pilnować tradycji, ale jego wyznawcy poszli znacznie dalej. A on ewoluował wraz z ich poglądami. Ale jest dla niego nadzieja. Kiedyś znowu będzie opiekunem tradycji. Sam nie lubi tego, czym się stał.

- Nie zauważyłem.

- Prosił o śmierć, pamiętasz?

Kiwnąłem głową. Diabeł okazał się nie taki straszny. No właśnie, przypomniałem sobie pytanie, które miałem zadać:

- Więc istnieje anioł buntu?

- Istota buntu jako takiego to znacznie, znacznie więcej niż duch grupy Jussufa. Na takie ważne bitwy nie mamy wystarczających sił. Szkolimy się na razie pokonując słabych przeciwników. Szukamy nowych żołnierzy. Robimy zaciąg. Kiedyś, niedługo, będziemy mieli więcej ludzi niż wszyscy nasi przeciwnicy razem wzięci. Wtedy będziemy gotowi na powrót Króla.

- My, to kto? - chciałem wiedzieć.

- Wojska Niebieskie, mały - odpowiedział i uśmiechnął się łobuzersko. - Uzupełniam ich liczbę. Parę osób tu, parę tam, aż przeciągnie się na swoją stronę wszystkich niezdecydowanych.

Dwa tygodnie ciężkiej roboty później dostałem parę dni urlopu.

Patrzyłem na rozświetlone witryny sklepów, na kolorowe światełka, śpieszące się tłumy odświętnie uśmiechających się ludzi z naręczami paczek, na cały ten przedświąteczny kram, przysypyany jak kolorowym cukrem wiszącymi wszędzie bombkami choinkowymi. Zatrzymałem się na rogu Main i First Ave, rozglądając się bez pośpiechu i napawając atmosferą. Nie widziałem niczego, co miałoby więcej niż trzy wymiary, a czas był po prostu świąteczny. Byłem na przepustce. Miałem wolne. W gwar wielojęzycznego tłumu, zagłuszając dźwięki ulicy, wdarł się nowy odgłos. Spojrzałem w bok. Ulicą nadchodził facet z Armii Zbawienia, przebrany za Świętego Mikołaja. To on machał dzwonkiem i wołał żałośnie:

- *Poor have no Christmas! Poor have no Christmas!*
Biedni nie mają Świąt!

Wrzuciłem wszystkie drobne, jakie miałem, do jego puszek i uśmiechnąłem się. Uświadomiłem sobie właśnie, że ja też jestem, w pewnym sensie, żołnierzem Armii Zbawienia.

Ewa Misztal

POLICZCIE PIRAMIDY

*Renacie i Maciejowi Sawickim
Barbi, dzięki za podrasowanie końcówki*

Notka prasowa

„Wczoraj, na wspólnym spotkaniu czołowych polskich egiptologów i przedstawicieli sfer biznesu, powołano do życia Program Wspierania Polskiej Egiptologii „Sfinks” S.A. Celem tej inicjatywy jest dofinansowanie przez kręgi polskich biznesmenów badań historycznych i archeologicznych. Na pierwszy ogień wybrano egiptologię jako dziedzinę, w której polscy naukowcy odnoszą największe światowe sukcesy. „Sfinks” S.A. jest próbnym programem scalającym polską naukę i prywatnych inwestorów. Jeśli program spełni pokładane w nim nadzieje to zostanie rozszerzony na wszystkie działy nauki w naszym kraju.

- Oczywiście chodzi tu o pieniądze. Chcemy tylko, żeby polscy archeolodzy i historycy reklamowali polskie firmy. Nikomu chyba nie będzie przeszkadzało, że w Egipcie nasi naukowcy będą nosić koszulki z nadrukami reklamowymi naszych firm - mówi ze śmiechem Mirosław Popławski, zastępca kierownika „Sfinksa” S.A., a jednocześnie biznesmen z woj. podlaskiego. - Na początek chcielibyśmy zapoznać się z głównymi problemami polskiej egiptologii, dlatego zorganizowaliśmy wspólną wyprawę, a raczej wycieczkę, do Egiptu.

Trzeba przyznać, że taka inicjatywa w obecnej chwili to koło ratunkowe dla polskiej nauki. W sytuacji, gdy budżet na przyszły rok przewiduje zmniejszenie o piętnaście procent nakładów na edukację, jest to jedyny sposób na dalszy rozwój naszej nauki.”

Giza:**kompleks świątynny u stóp piramidy Cheopsa.**

Abdul, żołnierz nacjonalistycznej organizacji „Jihad”, przez lornetkę obserwował pierwszy autokar z turystami, który zatrzymał się u stóp piramidy Cheopsa. Stwierdził z zadowoleniem, że dookoła grobowca kręci się jeszcze niewielu Egipcjan. Atak mógł się odbyć bez strat wśród jego rodaków.

- Nadają się - stwierdził w końcu, zwracając się do Mustafy, kolejnego wojownika „Jihad”. - Powiedz Hassanowi, że nie ma dzieci, a i naszych jest niewielu.

Mustafa pomknął w głąb zabudowań świątynnych, gdzie pod dowództwem Hassana czekali pozostali żołnierze jego organizacji.

„Jihad” przystąpiła do realizacji planu.

Najpierw w stronę autokaru poszybowały dwa pociski przeciwpancerne. Pojazd podskoczył i stanął w

kuli ognia. Smolisty słup dymu sięgnął nieba, niczym ofiara całopalna prastarym bogom.

Sekundę później w kierunku tych, którzy zdążyli wysiąść z autokaru, a nie zginęli w eksplozji, posypały się serie z kilkunastu karabinów maszynowych. Rozpoczęła się jatka. Gdy wszyscy obcokrajowcy leżeli na ziemi, a ich krew wsiąkała w pustynny piasek, Hassan osobiście przeszedł się od ciała do ciała i profilaktycznie oddał po jednym strzale w głowy turystów.

- Co teraz? - spytał go Abdul, gdy truchtem zbliżali się do ukrytych samochodów.

- Czekamy, w którym świńskim kraju Europy zacznie wrzeć

- odpowiedział Hassan. - Potem prześlemy tam naszą notę.

Fragment pierwszej strony jednej z głównych polskich gazet.

„Krwawy mord na polskich naukowcach i biznesmenach. Wczoraj w godzinach rannych u stóp piramidy Cheopsa w Gizie w brutalnym ataku terrorystycznym zginął trzon polskich archeologów i elita prywatnych inwestorów Rzeczypospolitej. Śmierć poniosło czterdzieści pięć osób, w tym takie sławy polskiej egiptologii jak profesor Mikołajczuk i doktor Katzberug...”

Pałac Prezydencki,**Warszawa, Rzeczpospolita Polska**

- Nota protestacyjna wysłana? - prezydent Rzeczypospolitej nerwowo potarł gładko ogolony policzek.

- Oczywiście - odpowiedział mu sekretarz.

- I co?

- Czekamy na odpowiedź.

Prezydent zaczął nerwowo obchodzić dookoła biurko.

- Co donosi wywiad?

- Nasza komórka w Kairze dopiero zaczęła się rozwijać...

- ...więc nic nie wiemy - dokończył za sekretarza prezydent, kiwając przy tym znacząco głową.

- Coś niecoś wiemy - z niejaką dumą stwierdził sekretarz.

- Zasięgnęliśmy języka w Mossadzie...

- Mossad!? - zdziwił się prezydent. - To Żydzi chcą jeszcze z nami rozmawiać? Zapomnieli już o Jedwabnem i blokadzie LOTu w Nowym Jorku?

Sekretarz westchnął ciężko:

- Arabowie są ich głównym przeciwnikiem. Nas czepiają się tylko z nudów... Ale przejdźmy do sedna. Jak wiemy już z noty od terrorystów, za zamach odpowiedzialna jest „Jihad”, a ich przywódcą jest, według doniesień Mossadu, niejaki Hassan ibn Rashid! - nazwisko to sekretarz niemalże wykrzyknął.

Prezydent popatrzył na niego przeciągle i stwierdził krótko:

- A mój pies nazywa się Fredek, i co z tego?

- Hassan ibn Rashid jest bratem Ajudżila ibn Rashida!

- Pies z tego samego miotu co mój Fredek nazywa się Benek. Powiedz wreszcie, o co chodzi! - zdenerwował się prezydent.

- Ajudżil jest ministrem spraw zagranicznych w Kairze - wyrzucił z siebie sekretarz, po raz kolejny odczuwając satysfakcję z faktu, że bez jego osoby prezydent utonąłby w niewiedzy. - Nie ma więc szans na to, że sprawcy zamachu zostaną ukarani; ba, najprawdopodobniej nigdy nie zostaną schwytani!

Prezydent ciężko opadł na fotel:

- Co z tego dla nas wynika?

- Mamy w tym roku wybory; jeśli sprawa „Sfinksa” nie zakończy się sukcesem, to praktycznie nie ma pan szans na reelekcję. Sukces w naszym przypadku to posadzenie tych z „Jihad” w pierdlu. Nie uda się to, bo organizacja ma plecy w Kairze. Jeśli nic pan nie zrobi w sprawie „Sfinksa”, będzie miał pan przeciwko sobie dwa potężne lobby: świat nauki, a co za tym idzie młodzież studencką i tak zwaną inteligencję oraz świat biznesu. Jeśli biznes nie poprze pańskiego programu gospodarczego to, że tak powiem, leżymy i kwiczymy.

- Co w związku z tym sugerujesz?

Sekretarz uważnie popatrzył w oczy prezydentowi.

- Musimy sprawę wziąć we własne ręce.

- To znaczy?

- Sztabowcy właśnie opracowują plan operacji „Za Sfinksa”.

Katowice, Rzeczpospolita Polska

Magister Krzysiu, znany w świadku interaetowym jako „One”, przywódca grupy hackerskiej „Gods of Spam” siadał właśnie po powrocie z pracy do swojego domowego komputera. Odebrał wiadomości, przeczytał pierwszą z nich, znieruchomiał i pobladał. Wiadomość nadesłał jeden z członków „GoS'u”, a brzmiała krótko:

„M.A.T.R.I.K.S. ma ciebie”

Z marazmu wyrwało magistrza Krzysia brutalne walenie w drzwi i dobiegający zza nich donośny głos:

- „M.A.T.R.I.K.S.”, otwierać!

Magister Krzysiu powlókł się na ciężkich nogach do drzwi. Na progu czekało dwóch agentów. Jeden bardzo wysoki, a drugi niewiele niższy.

- Nazywam się Jędrzej Rozwadowski-Schtolz - pierwszy odezwał się ten wyższy. - Mój kolega to agent Stanisław Mulda. Obaj jesteśmy z Międzywydziałowej

Agencji Tropienia Rozboju Internetowego „Krótkie Spięcie”...

- ...inaczej „M.A.T.R.I.K.S.” lub po prostu „Krótkie Spięcie” - dokończył za Rozwadowskiego-Schtolza niższy agent.

Rozwadowski-Schtolz zgromił wzrokiem Muldę, ale nic nie powiedział, tylko wszedł do mieszkania. Za nimi, jak automat, powlókł się magister Krzysiu.

Obaj agencji wygodnie rozsiedli się w fotelach w salonie. Przywódca „GoS'u” nieśmiało przysiadł na pufie. Zaczął Mulda:

- Jest pan szefem hackerskiej grupy „Gods of Spam”. Proszę nie zaprzeczać. - Mulda uniósł dłoń widząc, że „One” chce coś powiedzieć. - Jesteście najlepszą grupą w Polsce i jedną z najlepszych w świecie. Osobiście całe „Krótkie Spięcie” was podziwia, ale swoim działaniem łamiecie prawo. Mamy na was całą teczkę. Wystarczy ją tylko dać prokuratorowi, a z pierdla wyjdziecie gdzieś za piętnaście lat, zrozumieliście?

Załamany i przestraszony magister Krzysiu skinął tylko głową.

- Mamy dla was jednak propozycję... - tym razem podjął Rozwadowski-Schtolz.

W oczach magistrza Krzysia zapaliły się isierki nadziei.

Gabinet Ovalny w Białym Domu, Waszyngton, USA

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, Joseph Levinsky, oparł się wygodnie w fotelu, popatrzył na ambasadora Rzeczypospolitej i parsknął śmiechem.

- Raczy pan wybaczyć, że się śmieję, ale to, co planujecie w tej swojej Rzeczypospolitej, jest perfidne i barbarzyńskie. Stany Zjednoczone, jako ostoja demokracji, sprawiedliwości i praworządności, nie poprą waszej operacji „Za Sfinksa”.

- Nie chcemy waszego poparcia - przystąpił do składania wyjaśnień polski ambasador, Jerzy Ostrowski. - Chcemy waszej neutralności, no i co najwyżej „poskromienia” Rosji drogą dyplomatyczną. Misja ta, to dla nas, Polaków, sprawa honoru...

- Polacy i honor! Kpiny!

- Panie prezydencie... - upomniał Levinsky'ego sekretarz Miles.

- Przepraszam - krygował się prezydent. - Trochę mnie poniosło. Jednak Stany Zjednoczone nie przyłożą ręki do tej barbarzyńskiej misji! To moja ostateczna odpowiedź!

- W takim razie - niewzruszenie podjął ambasador - nie pozostawia nam pan żadnego wyjścia.

Prezydent i sekretarz z niedowierzaniem patrzyli na zacięty wyraz twarzy Ostrowskiego. W końcu Levinsky głośno wypuścił powietrze:

- Grozisz nam wypowiedzeniem wojny!

Ambasador zauważył, że rozwścieczył prezydenta nie na żarty. Levinsky zaczął do niego mówić „per ty”.

- Nie mamy szans w starciu konwencjonalnym z taką potęgą jak Stany Zjednoczone - spokojnie kontynuował Ostrowski - ale...

Ambasador znacząco zawiesił głos.

Levinsky przymrużył oczy, próbując dociec implikacji wynikających z tego jednego małego „ale...”. W końcu zrozumiał i znowu chciał się roześmiać, jednak powstrzymał się. Oficjalny przedstawiciel dyplomatyczny nie rzucałby słów na wiatr.

- Czyżbyście grozili nam uderzeniem atomowym? - spytał w końcu z niedowierzaniem.

Ambasador przymknął oczy i pokiwał głową.

Levinsky zaczął się śmiać do rozpuku. Sekretarz stanu również nie wytrzymał. Po chwili się uspokoili, a prezydent, ocierając oczy, powiedział:

- Skąd niby będziecie mieli pociski z głowicami jądrowymi? Przecież wasza nauka wyprzedza zaledwie o dwadzieścia lat kraje Trzeciego Świata?

- Mamy dostęp do Internetu, zresztą przez was wymyślonego, i najlepszych hackerów na świecie.

- A co to ma do rzeczy?

- Słyszał pan o włamaniu na rządową stronę Chin? Zrobili to nasi hackerzy z grupy „Gods of Spam”. Chiny mają potężny arsenał nuklearny. Co się raz udało, uda się i drugi raz.

Prezydent pobrał:

- Nie zrobicie tego!

- Ależ owszem. Włamiemy się do systemu obrony Rosji i wystrzelimy w was pociski. Polska stała się pośmiewiskiem wśród narodów. Naszych obywateli, i to światłych obywateli, można bezkarnie mordować. Nikt nie opowie się po stronie Rzeczypospolitej. Musi pan jedno zapamiętać o „Polaczkach”: gdy ktoś się z nich naigrawa, to „Polaczki” robią się niebezpieczni i kłają czym się da i gdzie się da.

- Pieprzę waszą martyrologię i to, że się z was śmieją, a wasze czcze przechwałki o ataku jądrowym mam w dupie!

- Panie prezydencie... - Sekretarz Walter G. Miles znowu uspokajał Levinsky'ego.

- Przepraszam.

Ambasador sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy.

Mulda odłożył słuchawkę:

- Możecie zaczynać, „One”. Jeśli uda się wam włamać, macie wolność i pracę w „M.A.T.R.I.K.Sie”. Zrozumiałeś?

Magister „One” Krzysiu przytaknął, z trzaskiem wyłamał knykcie i założył słuchawki na uszy. Jego palce zaczęły śmigać po klawiaturze.

- „Gods of Spam” po raz ostatni w akcji - rzucił tylko do mikrofonu.

- Długo mamy jeszcze czekać? - irytował się prezydent. Ambasador również z niepokojem zerknął na zegarek. Zadzwoił telefon. Prezydent przerażony patrzył na czerwony aparat. Linia bezpośrednia z Moskwą. Odebrał.

Kilkanaście minut później wściekły rzucił słuchawkę na widełki.

- Durne Polaczki! Coście narobili! Rosjanie zrywają pakt o rozbrojeniu! Według nich ktoś z Pentagonu chciał się włamać do ich systemu obrony, unieszkodliwić programy sterujące i spowodować detonację rakiet w silosach! Idioci! Czterdzieści lat zimnej wojny poszło na marne...

- Nic się nie stało - ambasador podniósł się, szykując do wyjścia. - Jeszcze nic się nie stało. To była tylko próbka naszych możliwości...

- Waszych!? Przecież to ktoś z Pentagonu się włamał...!

- Och - Ostrowski uśmiechnął się skromnie. - Nie chcieliśmy powalić waszego mitu, że jesteście najlepszym narodem na świecie, i to nie tylko jeśli chodzi o demokrację i patetyczność.

Prezydent poczerwieniał i zaczął sapać:

- Wynocha, polska świni! Nie poprzemy waszej operacji! Nigdy w życiu!

- Nie potrzebujemy już waszego poparcia. Gdy wy i Rosjanie będziecie wymieniać dyplomatyczne noty, próbując uratować co się da z waszych porozumień, my w tym czasie zrobimy małą zadymę na Bliskim Wschodzie.

Budynek Ministerstwa Spraw Zagranicznych Egiptu w Kairze.

- Ajudził ibn Rashid, słucham.

- Z tej strony sekretarz stanu Walter G. Miles, dzień dobry.

- Dzień dobry. Chyba nie dzwoni pan w środku nocy, żeby powiedzieć mi „dzień dobry”?

- Nie. Chcę panu przekazać, że Polacy szykują małą zadymę w waszym kraju...

- Może jakieś szczegóły? Będziemy starali się zapobiec przykrym wydarzeniom...

W tym samym czasie. Piramida Cheopsa, Giza, Egipt.

- Majorze Klosz!

U stóp piramidy Cheopsa rzadko kiedy można późną nocą usłyszeć polską mowę. Jednak dzisiaj egipskie ciemności wokół kompleksu Wielkiej Piramidy rozbrzmiewały gwarem polskich rozmów.

- Majorze Klosz! Czemu to cholerstwo takie duże!

- Cicho bądźcie, sierżancie Kropidło! I bez żadnych tutaj stopni, zrozumiano!?

- Sam pan major...

- Ja to ja! Zakładać ładunki i spieprzamy do Izraela.

- Panie ma... Kloszu! Mamy za mało ładunków na tę kupę gruzu!

- Nie pieprzcie mi tu sier... Kropidło! Dwie ciężarówki plastiku rozpieprzą wszystko!

- Może i tak, ale trzeba by było zakładać je trzy miesiące...

- Kurwa, Kropidło, nie mędrkujcie mi tu! Goście od logistyki zawsze mają rację! Możecie być pewni, że zanim obliczono ilość materiałów wybuchowych potrzebnych do wysadzenia tego budynku, z pewnością zasięgnięto porady u fachowców, to znaczy u archeologów i egiptologów!

- Jakich archeologów? Jakich egiptologów? Wszyscy zginęli pod tą piramidą. Skąd logistycy mogli się dowiedzieć? Z książek? Chyba pan maj... tfu! Klosz żartuje! U nas, w GROMie, to jedynie pisarz chodzi do biblioteki, a i tak wypożycza tylko te japońskie komiksy. Chłopaki od logistyki pewnie stwierdzili, że skoro piramida Cheopsa jest największą budowlą w Egipcie, to nie może być wiele większa od Pałacu Kultury, dali więc mniej plastiku niż gdybyśmy potrzebowali na Pałac Kultury!

- Co więc radzicie sier... tfu! Kropidło?

- Rozpieprzymy tego pieska z głową hipisa.

- Świetny pomysł, Kropidło! Zniszczymy cel zastępczy! Aha, sierżancie, po powrocie do kraju czekają was trzy dni paki.

- Mnie!? Za co?

- Za pouczenie oficera, Kropidło! Do roboty!

Fragment notki prasowej w jednej z polskich gazet.

„Wczoraj w nocy, o godzinie trzeciej rano czasu warszawskiego, w potężnym wybuchu zniszczeniu uległ symbol Egiptu, popularnie zwany Sfinksem. Kilka godzin później do rządu egipskiego dotarła wiadomość: „Nie chcecie turystów u stóp waszych piramid, więc po co wam same zabytki? ". Kartka była podpisana „Polscy Turyści". Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej twierdzi, że ma tu miejsce prowokacja, mająca na celu poróżnić dwa zaprzyjaźnione narody.(...)”

Jedna z kwater Mossadu, Jerozolima, Izrael

Major Klosz poczekał, aż jego grupa operacyjna zajmie miejsca przy stole, a następnie dał znać sierżantowi Kropidło, że może zaczynać odprawę.

Sierżant Kropidło rozłożył wymiętoszoną kartkę i zacinając się zaczął czytać:

„Dwie godziny temu spalony został w Polsce drewniany kościół z jedenastego wieku. Do tego barbarzyńskiego czynu przyznała się organizacja „Jihad", odpowiedzialna za zamordowanie czterdziestu pięciu polskich naukowców i biznesmenów w Egipcie.”

- Jak się pewnie domyślacie oznacza to, że czeka was jeszcze jedno zadanie...

Konferencja prasowa rzecznika Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

- Jaka będzie reakcja polskiego rządu na spalenie przez „Jihad" zabytkowego kościoła?

Rzecznik opuścił głowę. Po chwili podniósł wzrok, a jego oczy wyraźnie uśmiechały się drwiąco.

- Policzcie piramidy - powiedział cicho.

Wojciech Świdziniewski

NIE BĘDZIESZ SAM

Łańcuchy puściły nagle. Z łomotem zwałił się na kamienną podłogę. Syknął z bólu i zaczął rozcierać pokaleczone nadgarstki. Było nienaturalnie cicho. Coś ciężkiego wisiało w powietrzu, coś, co umykało oczom, ale było prawie namacalne i dobrze wyczuwalne oddechem i skórą. Uświadomił sobie, że mimo iż nie było zimno, całe jego ciało pokrywała gęsia skórka. Odkasznął; po malej, pustej salce nie rozeszło się żadne echo. Przeszedł go lodowaty dreszcz, nie wiedział czego bardziej, obrzydzenia czy strachu. Zauważył, że pomieszczenie wypełnia, ledwie dostrzegalna, czarna mgła. Chciał odruchowo odegnąć sprzed oczu zwisającego z sufitu pajaka, który nie usiłował nawet uciekać. Nie był pajakiem. Metr nad podłogą wisiała, zatrzymana w połowie drogi ku podłodze, kropla wody. Zaczął krzyczeć.

Zasuwa pękła bezgłośnie, nie stawiając żadnego oporu. Bez wysiłku otworzył ciężkie, okute metalem drzwi. Wyszedł na korytarz. Oba jego końce ginęły w mroku. Na ścianie naprzeciwko jego celi grubymi czarnymi kreskami wyrysowany był jakiś symbol. Przyjrzał mu się uważnie, ale nie znalazł jego odpowiednika w swojej pamięci. To boleśnie przypomnielo mu, że nie wie, skąd się tu wziął, ani co to za miejsce. Jak przez mgłę pamiętał luźno wyrwane obrazy z przeszłości. Czas uwięzienia, niezliczone tortury, którym był poddawany. Odruchowo spojrzał na swoje ręce. Nie było na nich nawet śladu blizn, chociaż zdawał się pamiętać okropny ból wyłamywania stawów i przypalania rozżarzonym żelazem. Jeszcze raz spojrzał na symbol, a po chwili na podłogę. Pod ścianą leżała duża gruda czarnej kredy. Podniósł ją, pasowała do jego dłoni. Gęsia skórka ciągle nie ustępowała.

Cele były rozmieszczone po jednej stronie korytarza, co dwadzieścia dziewięć kroków. Wszedł do pierwszej z nich, umieszczonej na lewo od swojej. Drzwi ponownie nie stawiały żadnego oporu. Wewnątrz, na pryczy, leżał półnagi mężczyzna w nieokreślonym wieku. Nie ruszał się. Czas zastygł także dla niego. Wyglądało na to, że wchodzący jest jedyną istotą zdolną do ruchu i działania. Podeszedł do nieruchomego więźnia i spojrzał w jego półprzymknięte oczy. Czerń wokół wyczuwalnie zgęstniała. Nagły dreszcz przeszył ciało stojącego człowieka. Dreszcz przypomnienia. Małe nagłe olśnienie, biegnące drżeniem podniecenia od łądźwi do czubka głowy, momentalnie stawiające włosy dęba - wiem! wiem! wiem, co mam robić! Przykucnął, mocno przycisnął czarną kredę do kamiennej posadzki i zaczął rysować. Pierwszy okrąg był dość koślawy, lecz szybko go poprawił. Po kilku kolejnych kreskach ręka przestała mu dygotać.

To wyszło jak mgła, pasmami cienkimi i długimi jak węże, z kamienia, spod Znak. Wbiło mu się w pięty, rozdzierającym bólem przeszło wyżej, wyszło łydkami, by na zewnątrz okrążyć ciasnymi spiralami kolana, wbić się w uda, splątać wokół wnętrzości, wyjść łądźwiami, wypalić piekielnym żarem swój symbol na plecach, wejść w stawy barkowe, wyjść poniżej łokci i spiralnie podążyć do nadgarstków, owijając mu się wokół wskazujących palców. Ból był ogromny, choć sprawiał mu jednocześnie ogromną przyjemność. Stał się Tym, To złączyło jego dłonie silnym kłaśnięciem i dopiero wtedy oddzieliło się od Znak na podłodze. Otworzył usta, ociekające krwią z przegryzionych warg, i spojrzał na swe ciało. Przenikała go i otaczała sama esencja pulsującej czerni, wypełniała luki w jego pamięci, w jego zagubieniu i wątpliwościach. Stał się istotą kompletną. Wyszedł ze Znak. Poczuł setki, tysiące, miliony otaczających go żywych istot, a pierwsza z nich leżała tuż przed nim.

Przecięta równo tuż poniżej nosa, niby najostrożniejszym mieczem, głowa więźnia wlepiła w niego swoje przerażone oczy. Pozwolił jej przez chwilę podążać razem ze sobą w jego strumieniu czasu, by uchwycić ten jeden błysk największego strachu, wypełniającego martwe już teraz oczy. Starym siennikiem dokładnie i metodycznie usunął z podłogi pozostałości kredy. Regularnie ułożył w tym miejscu wnętrzości swojej pierwszej ofiary. Równoboczny trójkąt, a w środku połowa czaszki, tak, ten wzór był mu bliski. Wyszedł z celi. Otaczające go zewsząd isierki życia świeciły w jego umyśle jasno i wyraźnie, otwierając przed nim nowe, całkowicie nieludzkie zmysły. Czarne spirale wystające z jego przedramion przeciągnęły się jak głodny wąż. Krew ofiary, którą były pokryte, wsiąknęła w jego dwoiste ciało. Poczuł się silniejszy. I bardziej głodny.

Dwieście odebranych istnień później, kiedy był pewny, że ból rozkoszy rozsadzi jego czaszkę, czerń powoli go opuściła. Wsiąknęła w kamienną posadzkę, nie pozostawiając po sobie żadnego materialnego śladu. Stał na korytarzu sam, obryzany krwią swoich ofiar i swoją własną, wypływającą z ran pozostałych po wyjściu Tego. Czuł się podobnie jak ktoś po zabiegu akupunktury, kiedy ból wystających igieł staje się czymś normalnym, a ich nagłe usunięcie powoduje sekundowe uczucie głodu, porównywalnego z narkotycznym. Był najsamotniejszą istotą we wszechświecie. Był znowu tylko człowiekiem. Człowiekiem w obcym więzieniu, pełnym podobnych mu ludzi, nie znającym ani przyczyny, ani celu. Jak większość z nich. Więźniem, który zabił innych

więźniów, mordercą. Nie było mu z tym źle. Obliznął wargi i uśmiechnął się. Na krótko.

Kilometry korytarzy, niekończące się spirale schodów, ucieczka przed powracającym echem własnych kroków. I czerń, która dogoniła go znowu, tuż przed główną bramą. I ból głowy, który nieco zelżał i zmienił się w zrozumiałą głosi Nadchodzące w rytmie uderzeń serca słowa: „...dobrze ...nagrodę ...wydostał”. Strażnicy leżeli na ziemi, z ich uszu i oczu nienaturalnie powoli sączyły się strumienie krwi. Z całych sił naparł na bramę. Otworzyła się powoli, z metalicznych zgrzytem.

Czerń nie pojawiła się więcej. Dwa miesiące ucieczki. Zszedł sam i bez broni z gór i żył. Dowłókł się do wioski, gdzie zaopiekował się nim jakiś chłop. Przemywał jego rany i dawał jeść. Może robił to ze strachu, nie wiedząc, kim jest ranny, a może z prawdziwej litości. Ocalony przedstawił mu się jako Korren de Brignac, pan na pięciu wsiach z regionu Trzech Rzek, zdradzony i podstępnie zaatakowany przez towarzysza podczas polowania na niedźwiedzie w górach. Taką tożsamość wykoncypował sobie jeszcze w drodze. Wymyślona pozycja była na tyle wysoka, by chłopci trzymali się z daleka, i na tyle niska, by nie była warta sprawdzenia przez szlachtę. Przekonał chłopca, by nie mówił nikomu o tym, że przeżył, bo tak będzie mu łatwiej dotrzeć do domu i wykazać wszystkim nikczemność i zdradę jego konkurenta do ręki pani Adrielli, najpiękniejszej damy w królestwie, oczywiście zaraz po królowej. Po wyzdrowieniu pomieszkał u swojego wybawiciela jeszcze kilka dni, obiecując mu w zamian za opiekę dobrego konia do pług i drugiego pod wierzch.

Jedna rzecz nie dawała mu tylko spokoju w tym chłopskim obejściu. Namazany niedbale nad drzwiami stodoły symbol ochronny. Widać było, że jest częściowo zatarty, a pod nim znajduje się drugi, dużo starszy. Oba budziły w nim jakieś odległe wspomnienia. Oba też- na pewno były symbolami sił, z którymi na razie wolał się nie mierzyć. Jednocześnie żaden nie napawał go strachem. Korren postanowił rozwiązać ten problem później, czuł bowiem, że na pewno jeszcze tu wróci. Wypytał chłopca o okolicę i udał się pieszo do Naparstka Fiorri.

Miasto rozłożone było na przełęczy, między górami Szpikulec i Odwaga Pięciu. Zamykało jedyną naturalną drogę przez góry i wyznaczało południową granicę królestwa. Warunki naturalne czyniły z niego niezdobytą fortecę. Powinno tam mieszkać dobre parę setek ludzi, w tym sporo silnych wojowników. Wzdrygnął się na sam sposób, w jaki o nich pomyślał. Jak o swoim pożywieniu, tak jakby już byli martwi. Resztką człowieczeństwa przez chwilę usiłowała

upomnieć się o swoje prawa. Kolejny raz przegrała. Blizny, znajdujące się w miejscach, skąd wyszło Tamto, zaczęły go swędzieć.

Pomiędzy pokrytymi śniegiem szczytami wschodziło słońce. Miało niespotykany o tej porze roku kolor, wpadający z czerwieni w purpurę. Przed wschodnią bramą stało kilkanaście wozów wyładowanych towarami. W chwilę po opuszczeniu mostu strażnicy sprawnie zaprowadzili porządek wśród oczekujących. Korren de Brignac był jednym z nielicznych pieszych. Stanął spokojnie na końcu i czekał na swoją kolej. Dwie godziny później wkroczył na pełen ludzi rynek. Znalazł kawałek wolnego miejsca, tuż koło rynsztoka, wyjął z kieszeni czarną kredę i zaczął rysować.

W samym mieście zginęło ponad tysiąc osiemset osób. Wszystkie, prócz jednej. Dazella Brownreedle stała przerażona, wciśnięta w kąt sali jadalnej kupieckiego domu. Przy drzwiach leżała jej macocha, rozszarpana niesamowitymi, czarnymi pazurami tego, który zniszczył miasto. W oczach ocalałej dziewczyny czaiła się histeria. Nie wybuchła krzykiem tylko dlatego, że strach zatkał jej gardło. Była najstarszą, choć przybraną, córką szanowanego w mieście kupca, handlującego winem. Miała dwadzieścia lat, była wysoka i szczupła. Miała drugie, ciemne, falujące, opadające na ramiona włosy i duże niebieskie oczy. Z większej odległości ktoś mógłby pomylić ją z młodym chłopakiem, pokroju tych, co rozweselają gawiedź, tańcząc na rozwieszanej nad rynkiem linie. Jej matka zmarła przy porodzie, a Dazella była jej jedynym dzieckiem. Stała teraz twarzą w twarz ze śmiercią we własnej osobie. Tak się jej przynajmniej wydawało. Człowiek przedstawiający się u bram miasta imieniem Korren de Brignac nie był Śmiercią, był tylko jej ulubieńcem.

Podszedł kilka kroków, zatrzymał się i spojrzał na nią. Zaczął kiwać głową płynnie na boki jak tańczący wąż. Wysunął ku niej ręce i w tym momencie wystrzeliły z nich struny ciemności, jednocześnie prostując się na jego ciele, czym wywołały nienaturalny przykurcz nóg. Czarne linie dopadły jej nadgarstków, owinęły się wokół nich i rzuciły dziewczyną o podłogę, ciągnąc jednocześnie ku niej mężczyznę. Dazella dopiero teraz zaczęła krzyczeć, jej oczy zaczęła pokrywać mgła szaleństwa. Gdy ich ciała zetknęły się ze sobą, ciemne pasma wyrwały się z łydek i ud Korrena, i zaczęły formować u jego podbrzusza ogromny fallus. Czarny, długi może na łokieć, z czubkiem zakończonym dwoma krótkimi, wijącymi się, cieńszymi pasmami, przyciągnął szybko ciało opętanego mężczyzny do skrepowanej kobiety. Ruchome końcówki szybko rozerwały jej granatową suknię i nie przestając młócić dookoła, weszły w kobietę, wciągając do środka całego demonicznego fallusa. Korren zaczął rytmicznie podrygiwać, raz wolniej, koncentrując się na zadawaniu cierpienia, raz szybciej, zaspokajając swą żądzę. Po paru minutach było po wszystkim. Mężczyzna, uśmiechając się

szeroko przez cały czas, rozerwał resztki zakrwawionej sukni, wydarł z niej długie pasy i skrępował zgwałconej dziewczynie ręce. Przywiązał ją do belki podtrzymującej strop. Pasma czerni z powrotem wróciły na swoje miejsca w jego nogach.

Ulubieniec Śmierci zszedł schodami na dół, wyszedł z budynku i omijając zwłoki udał się w kierunku pomocnej bramy. Czasami, jakby od niechcenia, wykonywał którąś ręką gest, jak gdyby rozsiewał ziarno. Chwilę później, wskazane przez niego gestem siewcy budynki zaczynały płonąć zielonym płomieniem, wywołującym czarny, gryzący dym. Dazella Brownreedle ciągle krzyczała. Tak samo jak kiedyś jej matka. Prawie tak samo. Jej matka krzyczała ze szczęścia.

Korren wyszedł z miasta przez roztrzaskaną bramę. Zdawał się ignorować nielicznych, którym udało się zbiec z miasta przed rzezią, obecnie ukrywających się za pobliskim pagórkiem. Oni jednak na jego widok rzucili się do panicznej i bezładnej ucieczki. Spokojnym krokiem podszedł do miejsca, w którym przywiązali swoje konie. Wybrał trzy. Sam dosiadł największego, poza białymi, skarpetkami całkowicie czarnego, a dwa pozostałe przywiązał luzem do siodła.

Spiał ostro swego wierzchowca i w tym momencie pasma czerni, ciągle spowijające jego postać, zaczęły się rozwiewać. Część z nich zdawała się wnikać w boki nagle spłoszonego zwierzęcia. Po chwili koń uspokoił się i ruszył galopem przed siebie. Jeździec ledwie utrzymał się w siodle. Jechał przerażony, trzymając się końskiej grzywy, a nie puścił się tylko dlatego, że bał się stratowania przez konie cwałujące za nim. Oba miały pianę na pyskach i prawie ludzki obłęd w swych zwierzęcych oczach.

Jechali tak może z godzinę, mijając rzadki i niski las, ciągnący się po lewej stronie. Dwa razy przejechali przez jakąś małą osadę, budząc strach wśród mieszkańców. Korrenowi wydawało się, że raz nawet kogoś stratowali. Zbiełymi dłońmi trzymał się grzywy i próbował ogarnąć myśli. W jego głowie, gdzieś na granicy słyszalności, daleko za tętentem kopyt i cichym, zasapanym rżeniem, rozbrzmiewała muzyka. Brzmiała jak zniekształcone pogłosem bezdennej studni ogromne dzwony, wygrywające pogrzebową melodię.

Po kolejnej godzinie Korren odczuł nagle mocne szarpnięcie, niemal wyrzucające go z siodła. Podniósł głowę i spojrzał za siebie. Padł koń przywiązany z lewej strony, lecz mocna skóra; z której wykonana była uprząż, wytrzymała szarpnięcie, o mało nie wyrrywając siodła spod jeźdźcy. Wierzchowiec Korrena rwał się do przodu; kolejne pociągnięcie zerwało w końcu uzdę z martwego łba, popędzili znowu. Drugi luzak wyglądał, jakby za chwilę miał podzielić los swego towarzysza.

Jeździec zgarnął wiszące dotąd luźno wodze i wbił mocno pięty w końskie boki, nakazując zwierzęciu zatrzymać się. Koń stęknął i niechętnie stanął. Korren

szybko z niego zeskoczył, lecz ugiął się na rozedrganych nogach i upadł wprost pod koński brzuch. Próbował jeszcze odruchowo zasłonić głowę przed opadającym kopytem. Wierzchowiec jednak nie kopnął go, lecz w połowie drogi do jego czaszki wykonał nogą ruch, jakby otrząsał się z czegoś. Wyciągnięta ręka nie była dostateczną obroną przed pasmami czerni, które oplótły głowę leżącego człowieka. Korren leżał i krzyczał, gdy czarne niczym rozdarcie rzeczywistości węże wgryzały się w jego oczy i gardło.

Wstał, otrząsał z siebie grudy ziemi, wilgotne od końskiego moczu. Był teraz znowu kimś innym. Przez spływające z oczu krwawe łzy widział wszystko niewyraźnie, lecz rozpoznał okolicę, w której się znalazł. Tak, był już tutaj. Cóż za ironia, trafić w pobliże chaty chłopca, który uratował jego. cielesną powłokę. Obiecałem mu kiedyś konia, pomyślał, więc konia dostanie. Korren stanął naraz prosty i dumny, pociągnął mocno nosem, wciągając wypływającą z niego krwawą wydzielinę, i zaczął się śmiać. Na ten głos miejscowy osiłek, skradający się do niego od tyłu, zapewne w celu ograbienia nieostrożnego przybysza, rzucił pod nogi krótki, sękaty kij i zaczął uciekać ze spuszczoną głową, kuląc się w sobie niczym mysz zaatakowana przez kota.

Ulubieniec Śmierci chwycił konia za uzdę i pociągnął go w kierunku pustej chaty i dalej, do stajni. Tak, teraz był już pewien, że może stanąć przeciwko sile, którą oznaczały znaki nad odrzwiami. Z głośnym skrzypnięciem otworzył wejście i wprowadził tam swego wierzchowca. Podszedł aż pod przeciwległy koniec, przywiązał spienione i spocone zwierzę do belki podtrzymującej dach. Wysunął bardziej poza siebie czarne sploty i odwrócił się do wejścia. Tam ktoś był.

Stojąca naprzeciw niego postać ubrana była w ciemnogrnatową szatę, opinającą całe ciało, spiętą szerokim, złotym pasem. Wyciągnęła przed siebie lewą dłoń i wskazała na tego, który zwał się Korrenem de Brignac.

- Kami! Moriti! Preto! - powiedziała postać.

Czarne zwoje, opasujące Ulubieńca Śmierci, nagle znikły.

- Mirto! Zwini! - kontynuowała zjawa, wyciągając przed siebie prawą dłoń i łącząc palce wskazujące.

Korren opadł na kolana.

- Satu! - W tej chwili, jak gdyby od silnego powiewu wiatru, zjawie zsunął się z głowy kaptur.

Korrenowi wydało się, że postać zamiast głowy ma kulę światła, silniejszego nawet od słońca w południe. Na moment odzyskał część wspomnień i postać ze świetlistą głową wydała mu się znajoma. Na pewno widział ją już wcześniej. Spróbował przyjrzeć się rysom jej twarzy, lecz nie wytrzymał natężenia światła i odruchowo zacisnął powieki. Światłość nie znikła od razu. Nieznośnie powoli, jak opadanie liścia z czubka drzewa, jasny blask zamienił się w czerń. Tym razem zwykłą czerń utraty świadomości. Już ludzkiej świadomości.

Budził się długo. Jednostajny dźwięk ni to kropel, kapiących z wysokości na kamienną posadzkę, ni to odległych dzwonów, doprowadzał go do szaleństwa. Spróbował otworzyć oczy, lecz wydawały się czymś sklezione. Podniósł prawą rękę i przetarł je z jakiejś kruszącej się pod palcami substancji. Dopiero teraz je otworzył i rozejrzał się.

Leżał na zimnym kamiennym podwyższeniu, pośrodku dużej kwadratowej celi. Jedyne źródło światła stanowiło umieszczone w suficie małe okienko, przegrodzone grubą metalową kratą. Całe pomieszczenie pełne było rozpadających się, zdruzgotanych jakąś ogromną siłą mebli. Oglądając szczątki domyślił się, gdzie kiedyś stał stół, krzesła i szafy. Ostrożnie usiadł na tym, co kiedyś zapewne było łóżkiem. Wydawał się sobie dziwnie lekki. Podsunął przed zapuchnięte i zaropiałe oczy swoje ręce i gdzieś na wysokości żołądka chwycił go skurcz strachu. To, co ujrzał, wyglądało jak dłonie bardzo starego człowieka. Wstał i na drżących nogach obszedł całą celę. Na żadnej ze ścian nie znalazł drzwi. Pośrodku tej, przy której stały kiedyś jakieś półki, ujrzał głębokie ślady pazurów. W najbardziej oddalonym od pryczy rogu znajdowała się kloaczna dziura, podobnie jak okienko w suficie przegrodzona grubą kratą. O mało nie przewracając się na śliskim podłożu, wyszedł na środek pomieszczenia i spojrzał w górę. Światło docierające przez mały kwadratowy otwór nie było światłem słońca. Nad nim również znajdowało się pomieszczenie, a na poziomie jego podłogi stało kilkanaście zapalonych świec. Wszystkie były blado błękitne. Kropla rozpuszczonego wosku kapnęła mu na ramię. Syknął z bólu i odsunął się szybko. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest zupełnie nagi.

- Jest tam kto?! - zakrzyknął w kierunku światła i zaniósł się suchym kaszlem.

Nikt mu nie odpowiedział.

Zebrał kilka ocalałych desek i ułożył je na swojej pryczy. Usiłował znaleźć jakiś koc, lecz niczego takiego tu nie było. Dobrze że przynajmniej nie ma tu robactwa, pomyślał. Podciągnął kolana pod brodę i skulił się w samym rogu. Siedział tak kilka minut, a może kilka godzin. Całkowicie zatracił poczucie czasu. Kiedy pozycja stała się już na tyle niewygodna, że chciał znowu wstać, by rozprostować kości, dodatkowo głośnym burczeniem odezwał się jego żołądek.

- Przecież muszę coś jeść! - krzyknął ponownie w kierunku sufitu.

Tym razem zauważył jakieś poruszenie. Tak jakby znajdujące się powyżej świece zamigotały pod wpływem ciągu powietrza. Usłyszał nad sobą odgłos chrobotania metalem o metal, a później głośny zgrzyt otwierania ciężkich drzwi i zbliżające się kroki. Ktoś stanął w pomieszczeniu wyżej, nieopodal kwadratowej dziury, i zaczął wrzucać do jego celi jakieś przedmioty. Uwięziony dopiero po chwili rozpoznał w nich małe

bochenki chleba i kawałki sera. Następnie ten ktoś u góry wylał na to wszystko wiadro wody. W kamiennych zagłębieniach pośrodku celi utworzyło się kilka małych kałuż.

- Jak mam to jeść? - zapytał na głos osadzony. - Dajcie mi jakiś koc. Kim jesteście?

Przez chwilę na górze nic się nie działo, a później dobiegło go ciche westchnienie, szybkie kroki i ponowny zgrzyt ciężkich drzwi.

Zsunął się z pryczy i podszedł w kierunku zrzuconego mu z góry jedzenia. Podniósł chleb i powąchał go. Mimo że był teraz cały mokry, nie wydawał się ani spleśniały, ani czerstwy. Ugryzł go i zaczął powoli żuć. Robił to delikatnie i powoli. Bolały go. dziąsła. Gdy zabierał się do drugiego kęsa, ponownie dobiegł go dźwięk otwieranych na górze drzwi i kroki. Tym razem było ich więcej. Przełknął nie do końca przeżuty kawałek chleba i odsunął się z powrotem w kierunku pryczy.

- Kim jesteś? - dobiegł go męski głos.

- Kim wy jesteście? Czemu mnie tu trzymacie? - odpowiedział więzień.

- Kim jesteś? Od tej odpowiedzi zależy twoje życie. Zapadła cisza. Uwięziony próbował sobie przypomnieć, kim jest, by tylko odpowiedzieć swemu katowi, by mieć nadzieję, że cały ten koszmar się skończy. Nie umiał sobie przypomnieć nic sprzed ostatniego obudzenia.

- Nie... nie wiem... - powiedział cicho, bardziej nawet do siebie.

Na górze dało się słyszeć jakieś ściszone rozmowy i ponowne szybkie kroki kogoś wybiegającego i wracającego. Tym razem krokom towarzyszyło brzęczenie. Potem nastąpiło kilka cichych zgrzytów i kwadratowy cień kraty poruszył się i zniknął. Z sufitu opuściła się drabina.

Zszedł po niej wysoki, postawny mężczyzna, ubrany w błękitny płaszcz. Gdy tylko postawił stopy na mokrej posadzce, z góry ktoś podał mu pochodnię. Mężczyzna ponownie wspiał się na kilka szczebli drabiny i odpalił ją od świec. Trzymając ją w jednej ręce, a w drugiej niesiony do tej pory na łańcuchu na piersiach symbol, podszedł do więźnia.

- Masz, załóż to - powiedział, podając mu ciężki metalowy przedmiot.

Mężczyzna wziął go do ręki i zaczął oglądać. Sam kształt nie kojarzył mu się z niczym. Rozplatał palcami srebrny łańcuch i założył go sobie na szyję.

- Kim jesteś? - zapytał ponownie mężczyzna w błękicie.

- Naprawdę nie wiem... Nie pamiętam...

Przybyły mężczyzna uklęknął na jedno kolano i opuszczył głowę.

- Nie bój się. Pamięć ci wróci. Chodź ze mną teraz ku światłu, o Wybrany.

- Spędziłeś w Komnacie Oczyszczenia prawie dwanaście lat, o Wybrany, zanim Zło opuściło cię na dobre. Jesteś już teraz bezpieczny. Zło nigdy więcej nie dosięgnie twego ciała ni twjej duszy.

Siedzieli w dużej, ośmiokątnej, wysokiej sali, przy starym stole, wykonanym z ciemnego drewna. Poza stołem i krzesłami w pomieszczeniu nie było innych mebli. Nad drzwiami i każdym z ośmiu okien paliły się olejowe lampy, od których roznosił się delikatny zapach lawendy. Pośrodku stołu stał bogaty, srebrny świecznik, w którym paliło się dziewięć grubych błękitnych świec. Ten, którego nazywali Wybrany, siedział naprzeciwko trójki innych ludzi, wszystkich ubranych na niebiesko, choć w różnych odcieniach.

- Kim jestem? - Spojrzał na swe żylaste, czyste już ręce i na swą białą szatę, zdobioną złotymi i błękitnymi nićmi, w którą ubrano go, nim go tu przyprowadzono.

- Kiedyś byłeś jednym z nas. Byłeś najsilniejszy. Miałeś największą wiarę - odezwał się siedzący pośrodku, ubrany w najjaśniejszą szatę.

- Czemu zatem nic nie pamiętam?

- Wziąłeś na siebie ogromne brzemię. Zgodziłeś się poświęcić za naszą wspólną sprawę, choć wiedziałeś, że możesz to przypłacić nawet swym życiem. Na szczęście Pan Światła był dla nas i dla ciebie łaskawy.

- Jak nazywałem się, gdy byłem jednym z was?

- Nadal jesteś jednym z nas. Nazywasz się Tomas. Tomas z Deszczu Kowadeł.

- Tomas... - przez chwilę jakby smakował to słowo, wypowiedziane własnymi ustami. - Tak, znam to imię.

- Jeśli Pan Światła pozwoli, niedługo przypomnisz sobie wszystko.

- Czy wypełniłem swe zadanie?

- Tak. Wypełniłeś swoją misję.

- Co to była za misja, skoro o mało nie postradałem przez nią zmysłów.

- Wolelibyśmy teraz nie mówić ci o niej, przynajmniej dopóki nie przypomnisz sobie wszystkiego. Pamiętaj jednak, że to ty byłeś pomysłodawcą tego przedsięwzięcia. Obawiam się, że gdybyśmy powiedzieli ci o wszystkim teraz, mógłbyś nic nie zrozumieć, albo, co gorsza, zrozumieć wszystko opacznie. Mógłby to być dla ciebie wielki cios.

- Czy nadal jestem waszym więźniem?

- Nie, oczywiście że nie.

- Czy mogę więc w każdej chwili odejść z tego miejsca? Napawa mnie ono wątpliwościami. Nie potrafię powiedzieć czemu, lecz czuję, że powinienem być teraz gdzie indziej.

- Tak, możesz. Wolelibyśmy jednak, byś pozostał między nami przynajmniej na czas, dopóki nie odzyskasz w pełni sił i nie poprawisz stanu zdrowia. Być może także wróci ci pamięć, a wtedy nie będziesz chciał nas opuszczać.

- Być może... Nie czuję się jednak słaby... Lecz dobrze, zostanę tu kilka dni. Jak nazywa się to miejsce?

- Jesteśmy teraz w świątyni Pana Światła. Najstarszej i największej w całym królestwie. Świątynia znajduje się niespełna dzień marszu od miasta

Kamienny Łuk. Byłeś tu Najjaśniejszym Kapłanem i jako jedyny miałeś prawo chodzić w bieli. Przewodziłeś nam wszystkim i mam nadzieję, że będzie tak znowu.

Tomas milczał długą chwilę.

- Nic nie będzie takie jak kiedyś - powiedział i energicznie wstał.

Ubrany w granatową szatę, zapewne jeden z ostatnich kapłanów odprowadził go do pokoju. Tomas wszedł, rozejrzał się powoli, odprawił grzecznie przewodnika, przysunął jedno z dwóch krzesel do okna i usiadł na nim. Rozsunął grube białe zasłony i otworzył okiennice. Z okna roztaczał się widok na część podwórca i stojącą na nim, parterową, właściwą świątynię. Jej dach wykonany był z wypolerowanej blachy, odbijającej teraz nagle światło gwiazd. Siedział tak i wpatrywał się to w kopułę, to w gwiazdy, starając się nie myśleć o niczym. Zmęczony położył się spać dopiero wtedy, gdy na horyzoncie pojawiła się luna wschodzącego słońca.

Nikt nie przerywał jego snu. Dwukrotnie tylko, o świcie i w południe, cicho wszedł któryś z kapłanów i sprawdził, czy Tomas już się nie obudził i czy czegoś mu nie brakuje. On jednak przespał cały dzień i zbudził się dopiero godzinę po zachodzie słońca. Śnił mu się koszmarne sen, w którym wydawało mu się, że jakaś świetlista postać usiłuje wrzucić go do dołu pełnego jadowitych węży.

Wstał z łóżka i rozmasował obolały bark. Usiadł na krześle i ze zdziwieniem stwierdził, że ciągle jest noc. Przez moment przebiegł go dreszcz strachu. Okiennice jednak były zamknięte, więc złe przecucie prysło. Ze stojącej na stole karafki nalał sobie do kubka czystej wody i wypił ją, głośno przełykając. Wyszedł do przedsionka, umył w misie twarz i ręce. Wylał je w płócienny ręcznik i wyszedł na korytarz.

Na końcu korytarza paliła się tylko jedna olejowa lampa. Poszedł w tamtym kierunku. Tak jak się spodziewał, lampa oświetlała wyjście z budynku. Przypuszczał, że drzwi wejściowe będą skrzypieć, dlatego otworzył je powoli. Wyszedł na podwórze, podszedł kilkanaście kroków w kierunku właściwej świątyni, zatrzymał się i zaczął rozglądać. Nie zdziwił się, że wystarczyło mu do tego tylko nagle światło gwiazd. Nie pamiętał, że powinno być inaczej.

Gdy tak wpatrywał się w niebo, zauważył spadającą gwiazdę. Wykreśliła na nieboskłonie jasną kreskę. Jednak jej błysk nie był tak krótki jak innych, jej poświata została na niebie. Tomas zamrugał oczami raz i drugi, spojrzał w innym kierunku i wrócił wzrokiem na poprzednie miejsce. Jasna kreska, zakończona jaśniejszą kropką, nadal tam była. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że zrobiło się nienaturalnie cicho. Znikło gdzieś granie świerszczy i pohukiwanie nocnych ptaków. Spojrzał na światło zawieszoną na podwórzu lampy. Jej płomień nawet nie drgnął. Czas się zatrzymał.

Stał tak przez chwilę zdezorientowany i rozglądał się powoli, obracając się na pięcie. Coś się jednak ruszało. Delikatny blask dobiegający z głównej świątyni jak gdyby zmieniał swój kolor. Tomas powoli podszedł do drzwi i dotknął zimnej, żelaznej klamki. Szarpnął ją mocno, lecz ta ustąpiła prawie bez oporu. Pociągnął za uchwyt i po chwili jedna strona ciężkich drzwi była już otwarta. Dobytą się ze środka światło było mlecznoblade i zdawało się wypełniać sobą wnętrze niczym mgła. Tomas wysunął przed siebie dłoń i zanurzył ją w tym osobliwym zjawisku. Nic się nie stało. Wszedł.

Przeszedł krótki korytarz i dotarł do dużej, okrągłej sali. Tu wszechogarniający blask zdawał się pulsować w większym zakresie kolorów. Rozejrzał się, lecz światło jakby rozmywało kontury dalej położonych obiektów. Tomas podszedł do umieszczonego naprzeciwko głównego wejścia ośmiokątnego ołtarza. Świece, zapewne zazwyczaj stojące w małych, owalnych zagłębieniach, umieszczonych przy każdym rogu, teraz leżały bezładnie rozrzucone na jego środku. Mogły też w tej pozycji tworzyć jakiś rodzaj symbolu. Tomas obejrzał się za siebie, po czym, upewniwszy się, że jest sam, sięgnął ręką ku najbliższej, gdy nagle do jego uszu dotarł głośny krzyk. Podobny był do głosu zawodzącej kobiety lub dziecka. Głos dochodził zza, albo raczej spod kamiennego ołtarza. Tomas obszedł regularny ośmiokąt i stanął w miejscu, gdzie zapewne stawali kapłani podczas odprawiania rytuałów. W dolnej części ołtarza dostrzegł duży, kwadratowy otwór, zaczynający się tuż poniżej górnej powierzchni i kończący się na poziomie podłogi. Kucnął i ostrożnie zajrzał do środka. Otwór miał dwa łokcie szerokości, a wysoki był na tyle, by Tomas zmieścił się w nim, idąc tylko lekko przygarbiony. W środku znajdowały się schodzące stromo w dół schody. Krzyk powtórzył się, tym razem jeszcze głośniejszy. Nie był to głos, jaki wydają z siebie ludzie podczas tortur czy cierpienia, ale raczej zawodzenie, podobne głosom płaczków. Tomas postawił nogę na pierwszym stopniu, upewnił się, że droga nie jest zbyt śliska, i zaczął schodzić. Światło na ścianach wąskiego korytarza zdawało się tętnić coraz jaskrawszymi i wyraźniejszymi kolorami.

Dziewiętnaście kroków niżej znajdował się wąski, schodzący lekko tylko w dół, korytarz. Na jego przeciwległym końcu były kiedyś drzwi. Teraz świadczyły o tym tylko metalowe okucia, nadal trzymające się zawiasów, i połamane deski, zaścielające podłogę. Tomas przeszedł po nich ostrożnie, tak jakby uważał na to, by nie wywołać żadnego dźwięku. Za drzwiami znajdowała się mała sala. Tomas zauważył kilku kapłanów, zastygłych w połowie ruchu. Ominął ich i przyjrzał się czemuś, co stało na środku pomieszczenia. Gdy podszedł nieco bliżej, zdał sobie sprawę, że słowo „stało”, to złe określenie. Na wysokości może stopy ponad podłogą wisiała, skulona w pozycji embrionalnej, naga nastoletnia dziewczyna. Jej długie włosy były proste i zupełnie siwe. Umieszczona była w świetlistej kuli. To właśnie ów

kokon emanował różnokolorowym światłem. Tomas podszedł bliżej i ukucnął, próbując dostrzec rysy twarzy uwięzionej. Jego ciało przeszły dreszcz przerażenia. Aż rzuciło nim o podłogę, gdy dziewczyna podniosła szybko głowę i wbiła w niego wzrok.

- Wiele czasu zajęła ci droga do mnie - powiedziała. Jej głos był wysoki i skrzeczący.

- Kim...? Kim jesteś? - zapytał, próbując wstać.

- Przecież wiesz... - uśmiechnęła się szeroko, odkrywając dwa rzędy ostrych jak brzytwy zębów.

- Nie... nie wiem - Tomas lekko pokręcił głową.

- Chcesz tak stać i się gapić? Czy może w końcu mi pomożesz, tato? - przechyliła mocno głowę w lewą stronę. Zrobiła to tak szybko, że nie zdążył nawet zauważyć ruchu.

- Jak...? Dlaczego mam ci pomagać? Kim... czym ty jesteś? Dlaczego mówisz do mnie „tato”? Nie jestem twoim ojcem! - ostatnie słowa prawie wykrzyczał.

- A więc wymazali ci pamięć, dziadku. Niedobrze, niedobrze. Pomóż mi się stąd wydostać, a ja pomogę ci ją odzyskać - powiedziała, tym razem wykonując podobnie szybki ruch głową, lecz w drugą stronę.

- Dlaczego „dziadku”? Tylko tak mnie nazywasz, prawda?

- Nie przedłużaj, tato, nie naginaj mojej cierpliwości. Może wymazali ci pamięć, ale na pewno nie stałeś się głupcem.

- Kto mi wymazał pamięć? Dlaczego?

- Oni! Ci wszyscy, którzy tu stoją. Musisz ich zabić. Dobrze wiesz, jak to się robi, prawda? - przy wypowiedzianiu ostatniego słowa spojrzała mu w oczy. Spojrzenie było tak silnie hipnotyzujące, że Tomas nie mógł oderwać wzroku od jej oczu ani nawet mrugnąć.

Jej źrenice drażyły go coraz głębiej, aż nagle poczuł, że coś w jego wnętrzu puszcza i umysł zalała fala wspomnień. Tak samo zatrzymany czas, seria demonicznych morderstw i cała droga jego ucieczki z więzienia w górach, znaczone krwią setek ludzi.

- Tak, tak właśnie. Wiesz dobrze, jak się zabija bezbronnych - powiedziała, odrywając nagle od niego wzrok. Zaczęła się śmiać. Jej głos był skrzekliwy, choć dość niski. Równie nagle śmiech ustał. - Zabij, zabij tych, którzy cię, do tego zmusili!

Tomas ocknął się jak z letargu, spojrzał na swoje ręce, na stojących, zatrzymanych w czasie kapłanów, i podszedł do pierwszego z nich. Złapał go za szyję i ścisnął z całej siły. Wszystko przez moment drgnęło i poruszyło się. Głowa kapłana zwisła bezwładnie, lecz ciało nie zdążyło upaść nim czas znowu się zatrzymał.

- Jesteś Złem, zaburzasz równowagę - powiedziała dziewczyna w kierunku zawieszonych nad podłogą zwłok.

- Jak mam cię uwolnić? - zapytał Tomas, gdy zamordował już wszystkich obecnych w sali kapłanów.

- Sama to zrobię - uśmiechnęła się i wyprostowała. Gdy tylko jej stopy dotknęły dolnej, a głowa górnej krawędzi świetlistego kokonu, ten rozpadł się i zniknął, niczym szybko rozpuszczający się w powietrzu lód.

- Czy oni więzili cię tu swoją mocą? - spytał Tomas.
- Dlatego musiałem ich zabić?

- Nie ma na tym świecie potęgi, która mogłaby mnie uwięzić.

- Więc zabiłem ich za nic?

- Zabiłeś ich, ponieważ posiedli zbyt wielką wiedzę. Nie wolno im było jej użyć. Wbrew swej woli, ty byłeś ich narzędziem. Nie mogłam na to pozwolić.

- Dlaczego zatem mnie nie zabili, kiedy stałem się im niepotrzebny?

- Ależ dziadku, ciągle byłeś im potrzebny - uśmiechnęła się, ponownie ukazując ostre zęby i powoli zaczęła sunąć w jego kierunku. Jej stopy nie dotykały podłogi.

- Do czego? - spytał Tomas i odruchowo zaczął się przed nią cofać.

- Chcieli cię jeszcze sparować ze mną. Dopiero to ukończyłoby ich dzieło. - Jej oczy nagle zabłyśły zimną bielą i zaczęła sunąć w jego kierunku nieco szybciej. - I muszę przyznać, że to wcale nie byłby taki zły pomysł.

Tomas właśnie rozpoczynał krzyk, gdy nagle zdał sobie sprawę, że ma usta zatkane. Sprzed jego oczu znikła cała sala, a pojawił się sufit. W dużej mierze przesłonięty ciałem dziewczyny. Błyskawicznie spojrzał na jej błyszczącą bielą twarz, małe piersi ze sterczącymi sutkami, kolorem nie różniące się od reszty ciała, płaski brzuch, poprzecinany splotami mięśni i niżej, w miejsce jej kobiecości. Kończyła właśnie ruch jak gdyby kucała. Ze zgrozą zauważył, że sam jest nagi, a jego wyprężony członek wchodzi właśnie w jej ciało. Chciał dokończyć zaczęty krzyk, lecz usta miał zatkane jej ręką.

- Zapomniałeś, tato, że to ja rządę czasem - wydyszała, oblizując swe blade wargi długim językiem. Tomas przysiągłby, że jej język był rozdwojony na końcu i cały czarny.

Podczas kolejnej minuty najbardziej na świecie chciał stracić przytomność. Udałoby mu się to zapewne, gdyby nie jej wzrok, ponownie hipnotyzujący, pełen pożądania i chuci, ale także współczucia i smutku. Siedziała na nim okrakiem, ciągle zatykając mu usta dłonią, jej ruchy były ostre, gwałtowne, bardzo szybkie. Mimo całego obrzydzenia, które czuł do tej istoty, nie potrafił zapanować nad swoim ciałem i jego podnieceniem. Doszedł do szczytu bardzo szybko i gdy wstrząsnął nim spazm rozkoszy, ona zdjęła rękę z jego ust i pocałowała go. Tym razem udało mu się zacisnąć oczy. Jej usta były słodkie niczym wiosna, budząca do życia pierwsze kwiaty.

Zemdlał.

Śniło mu się, że jest chłopcem, płynącym na małej tratwie rzucanej po morzu przez ogromny sztorm. Kurczowo trzymał się resztek tego, co kiedyś było masztem. Raz po raz zalewała go ogromna fala. Któraś z kolei była tak ogromna, że znajdował się pod wodą

tak długo, aż zaczął się dusić. Gdy jego płuca nie wytrzymały, zachłysnął się wodą. Wtedy się obudził.

Natychmiast otworzył oczy i usiadł. Świtało. Siedział nagi, na pełnej nieznanych mu kwiatów łące. Rozejrzał się i dostrzegł swoje ubranie. Leżało złożone równo tam, gdzie śpiąc miał głowę. Wstał i ubrał się. Poranek był chłodny i jego ciałem raz za razem wstrząsał dreszcz. Podskoczył w miejscu kilka razy, pomachał rękami, klepiąc się po ramionach.

- Widzę, że już wstałeś, Tomasie - doszedł go nagle głos. Odwrócił szybko głowę w kierunku, z którego dochodził. Nie było tam nikogo.

- Nie rozglądaj się, Tom. Mogę tak do ciebie mówić, prawda? Nie zobaczysz mnie.

Tomas odruchowo znowu skierował wzrok w miejsce, z którego dochodził głos. Znowu nie zobaczył nikogo.

- Kim jestem? Czemu cię nie widzę? Gdzie jestem? Co to za miejsce? Czy umarłem? Kim ty jesteś? - wyrzucił szybko z siebie, tonem zaciekawionego dziecka.

Głos zaśmiał się. Przyjacielsko.

- Nie tak szybko. Nie wszystko na raz. Po kolei. Kim jesteś? Oto twoja pamięć.

Pustka w głowie Tomasa wypełniła się powoli jak lampa olejem. Przypomniawszy sobie wszystko. Swoje dzieciństwo. Przepowiednię kapłanów, że zostanie najwyższym z nich. Swoje wstąpienie na naukę do świątyni Pana Światła. Wszystko, za co był chwalony i awansowany, zawsze przed innymi. Swoją pierwszą wizję, w której objawił mu się sam Pan Światła i poprosił go, by został jego apostołem. Wszystkie przygotowania i sam rytuał, podczas którego doznał oświecenia i połączył się z boską istotą.

Przypomniawszy sobie pierwsze zadanie, podczas którego, z pomocą swego boga, pokonał Ulubieńca Śmierci, niszczącego wszystko i zabijającego wszystkich. Potwora, któremu nikt nie mógł się oprzeć.

Przypomniawszy sobie drugie zadanie. Odnalezienia kobiety o czystym sercu, głęboko wierzącej i nie bojącej się śmierci. Kobiety, z którą podczas rytuału potrójnego zjednoczenia spłodził dziecko. Miał się nią i jej potomkiem opiekować i bronić jej przed dostępem Ciemności.

Przypomniawszy sobie swój powrót z nią do świątyni, by zapewnić jej najlepszą ochronę. I chwilę, w której Pan Światła go opuścił i pozostawił samego.

Przypomniawszy sobie dzień, w którym świątynia została zaatakowana, a on sam wzięty do niewoli i zamknięty w górskich jaskiniach, przerobionych na więzienie. Przypomniawszy sobie wszystkie tortury, którym był poddawany. I dzień, gdy się załamał i poddał.

Przypomniawszy sobie, jak wtedy wyrzekł się Światła i gotów był, w zamian za uwolnienie, zaprzysiąc się nawet Śmierci. I przypomniał sobie, jak Śmierć go wysłuchiwała. Jak uciekł i spłodził jej potomka, z własną córką, będącą Córką Światła. I jak w stajni spotkał samego siebie sprzed dwudziestu lat.

Przypomni sobie wszystko. Do jego oczu napłyły łzy. Usiadł.

- Czemu mnie nie widzisz? - ponownie odezwał się gos.

- Widzia mnie ju nie raz. Co prawda za kadym razem wygldaem inaczej, lecz to zawsze byem ja. Wszystkie te postacie s prawdziwe, a jednocześnie adna z nich nie jest mo wasn. Ja w tym świecie nie mam postaci. Nie jest mi do niczego potrzebna.

- Czyja...?

- Czy umar? Nie. Nadal masz ciao, nadal oddychasz, ale nie jeste te ywy. Jeszcze nie. Co to za miejsce, zapyta

- kontynuowa gos. - To jest miejsce pocztku i koca. Twój świat zaczął się bez ludzi i tak samo się skończy. Ciebie to jednak nie dotyczy.

- A ty? Kim ty jeste?

- Przecie wiesz, Tom - gos brzmia bardzo ciepo.

Te same sowa. Przed oczami stan mu nagle postać dziewczyny w podziemiach świątyni. Dziewczyny, która była jednocześnie jego córk i wnuczk.

- Nie. Nie jestem ni - gos czyta w jego myłach. - Ona była tylko moim posncem, cho kapani uwaali j za kogo innego. Gupcy. Gupota nie jest nawet chaosem, a oni uwaali się za przedstawicieli Świata. Gupota jest zaprzeczeniem natury. A mnie nie mona bezkarnie przeczy - gos zamik. - Co czujesz, Tom? - odezwał się po chwili.

- Nie wiesz, co czuj? - Tomas wydawa się by zdziwiony.

- Oczywicie, e wiem, Tom. Przecie znam ci tak dobrze. Chc tylko, by sam mi to powiedzia.

- Czuj... Czuj, e jest mi smutno, a jednocześnie jestem szczliwy. Chc mi się paka i śmia jednocześnie. I... taczy?

- Taczyć. Taniec to bardzo przyjemna rzecz. Taniec jest jak ptasie zaloty i jak fala na oceanie. Jak gora, która pluje ogniem, i jak wyskakujce nad wod delfiny. Tak, Tom, to dobrze, e chcesz taczyć. Bdziesz mg taczyć, gdy urodzi się nowy lis i gdy umrze ostatni z wilkw. Chcesz ju i?

- Gdzie mgbym i? Jest dla mnie jakie miejsce?

- Tom, moesz i wszdzie, w kade miejsce na tym świecie. Bez strachu i bez pogardy. To jest teraz twój świat. Chciabym, eby wzi te kwiaty, które rosn pod twoimi nogami. We je ze sob i zasad gdzie nad wod, poród drzew. To s kaczece.

Tomas kucn i nazbiera du gar kwiatw, wyjmujc je z ziemi z caymi korzeniami. Nie sprawio mu to adnego problemu, tak jakby roliny go suchay. Pogaska je po odygach.

- Id prosto przed siebie, a dojdziesz do strumienia. Po jego drugiej stronie jest ju świat, który znasz.

- Pjd. - Tomas przez chwil się waha, jakby chcia co jeszcze doda, lecz zda sobie spraw, e nie ma ju nic, co mgby powiedzie. Z pocztku szed, lecz po chwili zaczął bie, podskakujc.

- Jeszcze jedna rzecz, Tom - gos dobieg go ponownie z tyu, lecz Tomas nie odwroci się, ani nie zwolni tanecznego kroku. - S jeszcze inni. Nie bdziesz sam.

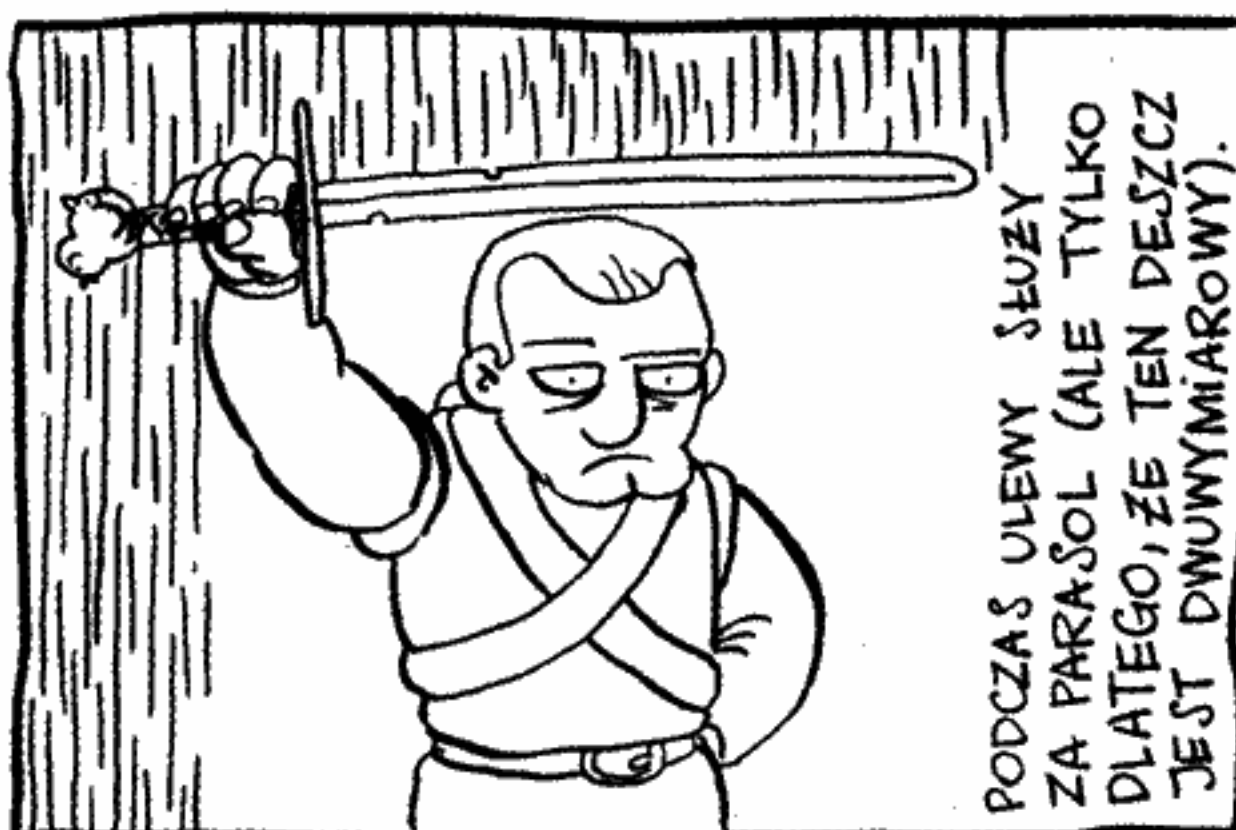
Andrzej „Soulless” Kozakowski



PRZEZNACZENIE MIECZA



DZIELNIE WSPOMAGA PORISY WOKALNE GIERWALDA.



ZA POMOCĄ MIECZA
STRACA SKRZATOM
CZAPECZKI.

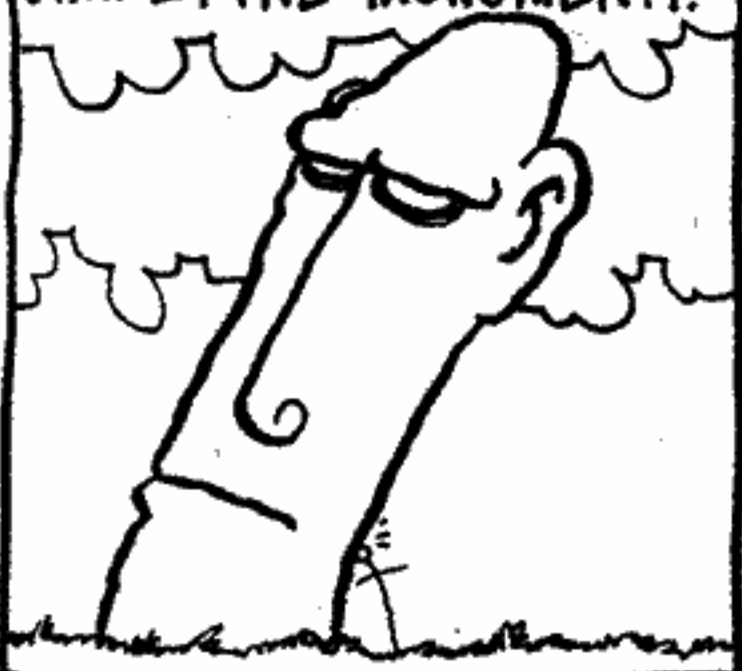


FAKT, TO PASKUDNE,
ALE GIERWALD PO
PROSTU NIE POTRAFI
SIĘ OPRZEĆ...

CZASEM SIĘ NIM GOLI.
ZA KAŻDYM RAZEM OBIECUJE
SOBIE, ŻE TO OSTATNI
RAZ.



NIERZADKO PODPIERA NIM
STAROŻYTNE MONUMENTY.



TYM WŁAŚNIE MIECZEM
GIERWALD OBCIĄŁ UCHO VAN
GOGHOWI (TO DŁUGA HISTORIA).

VINCENT, SORRY!



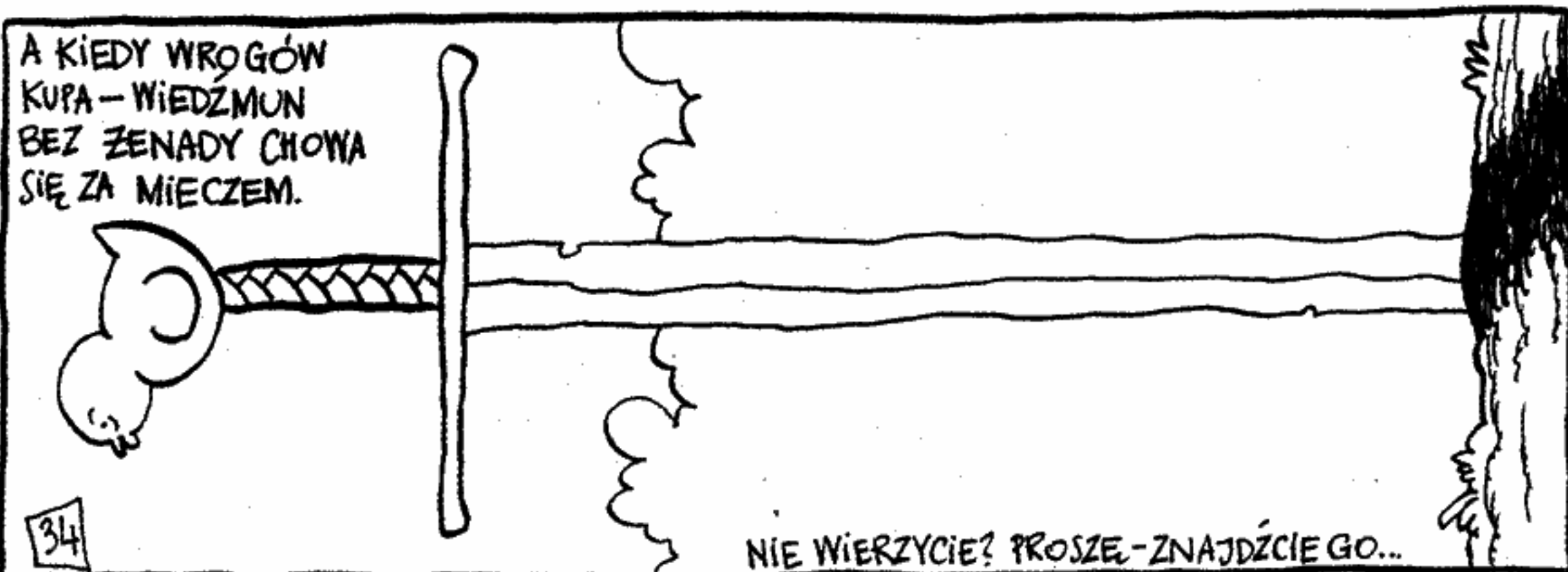
KIEDY OBRAZKI
SĄ ZA MAŁE, GIER-
WALD MIECZEM
ROBI SOBIE
MIEJSCE.



SILDIHILDI DRYNDRYNHIL ŚWIETNIE GRA W SZACHY.
WIEDZMUN ŚWIETNIE GRA NA GRZEBIENIU.

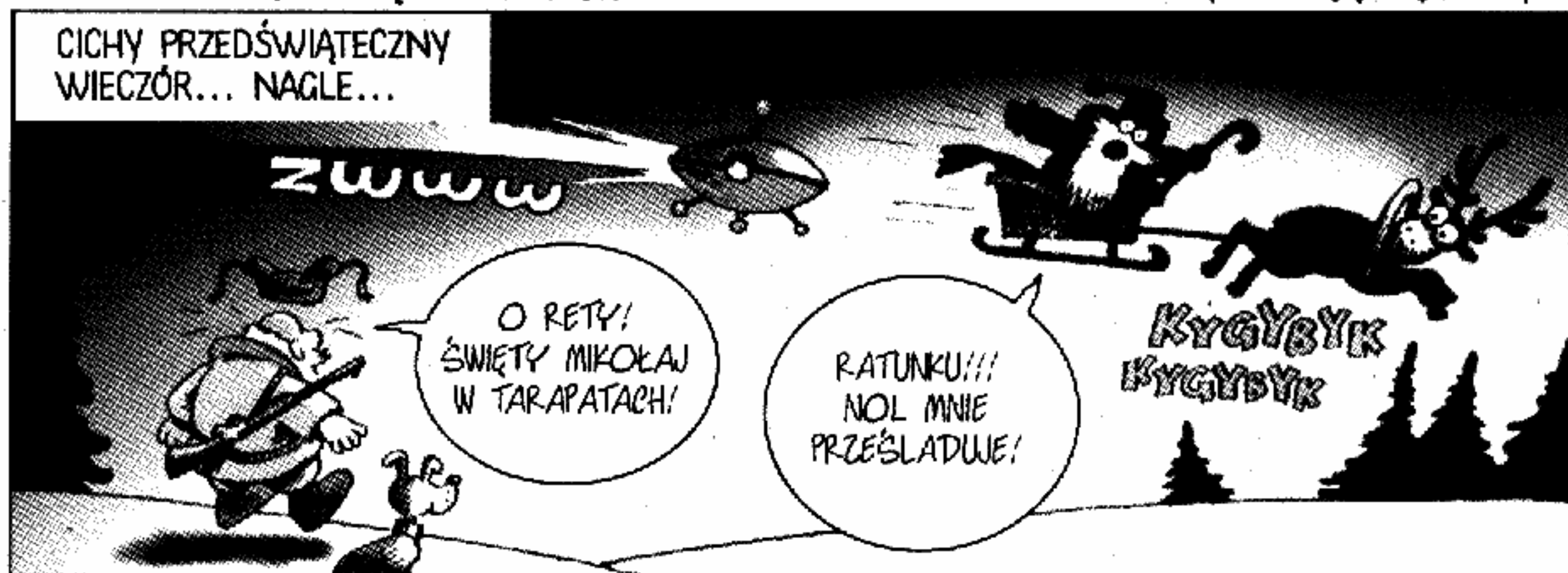


A KIEDY WRÓGÓW
KUPA - WIEDZMUN
BEZ ZENADY CHOWA
SIĘ ZA MIECZEM.



NIE WIERZycIE? PROSZĘ - ZNAJDŹCIE GO...

CICHY PRZEDŚWIĄTECZNY
WIECZÓR... NAGLE...



*BRZYDKI WYRAZ OBCYCH